Mój czatbot już mnie nie kocha

▶24

Helena Wolińska
Jednoosobowa żydokomuna

▶40

WYSOKIE OBCASY

Marianna Zydek
Uczę się odmawiać

FOT. ARCHIWUM AKT NOWYCH/REPR. WALDEMAR GORLEWSKI, SHUTTERSTOCK

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

CZWARTY ROK WOJNY

Kiedy Zełenski odpocznie

▶2-9

FOT. BEATA ZAWRZEL/NURPHOTO VIA GETTY IMAGES

Gazeta Wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 345198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 08

Ivan Krastew
Mniejsi muszą ruszać się szybciej

▶19

Tomasz Włosok
zwierza się mamie

▶28

O czym rapuje maturzystka
QueenKutee ze Szczecina

▶32

Buty od Hiszpańskiego
Na bal, na koń, na Manhattan

▶44

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 21-26 lutego 2026 | Redaktorka prowadząca Ewa Wieczorek | Cena gazety 11,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 43.11142, 1 Nakład 73 tys. + 317 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 7b63c07719

CZWARTY ROK WOJNY

Z nami nie może być miękkiej gry

W czwartą rocznicę rosyjskiej agresji na Ukrainę i rok po inauguracji prezydentury Donalda Trumpa **oswajamy się z myślą, że bezpieczeństwo w naszym regionie zapewni własna broń jądrowa.**

Bartosz T. Wieliński

Każdy, kto spróbuje nam przeszkadzać, a tym bardziej stwarzać zagrożenie dla naszego kraju i naszego narodu, powinien wiedzieć, że reakcja Rosji będzie natychmiastowa i doprowadzi do konsekwencji, jakich nigdy nie doświadczyliście w swojej historii. Jesteśmy gotowi na każdy rozwój wydarzeń. Podjęto już wszystkie niezbędne decyzje w tej sprawie. Mam nadzieję, że zostałem wysłuchany – tak brzmiały ostatnie zdania orędzia Władimira Putina wygłoszonego nad ranem 23 lutego 2022 r., w którym obwieszczał światu, że wydał siłom zbrojnym rozkaz inwazji na Ukrainę. Komunikat był precyzyjny i przerażający. Pamiętam lodowate ukłucie, gdy kilkadziesiąt minut po wygłoszeniu odsłuchiwałem nagranie putinowskiej tyrady. Władca Rosji otwarcie groził Zachodowi użyciem broni jądrowej. A na liście celów był nie tylko Waszyngton czy Londyn. Były również – a może przede wszystkim – Rzeszów, Poznań, Warszawa.

Cztery lata nowej perspektywy

Trwającą już cztery lata wojnę Rosji z Ukrainą opisywaliśmy przez pryzmat zmiany, jaką wymuszała w różnych dziedzinach naszego życia. W obliczu wojennego zagrożenia powrót poboru do wojska przestaje być tabu, a inwestycje w zbrojenia na wielką skalę stają się koniecznością. Tak jak wzmożona czujność społeczeństwa, które musi chronić się przed coraz śmielej poczynającymi sobie rosyjskimi sabotażystami.

Cztery lata żyjemy z ukraińskimi uchodźcami. Choć opłacani przez Rosję dezinformatorzy podsycają do nich nienawiść i wmawiają nam, że to nie nasza wojna, ciągle potrafimy okazać im wielką solidarność. Ostatni przykład to wielka zbiórka na generatory dla pozbawionych ogrzewania ukraińskich miast, gdzie Rosjanie mimo siarczystych mrozów zbombardowali elektrociepłownie.

Pilnie uczymy się na doświadczeniach ukraińskiej obrony cywilnej. Odgruzowujemy dawne schrony i szykujemy się do budowy nowych, myślimy o konieczności ewakuacji, kompletujemy plecaki ucieczkowe.

Wprowadzenie na pole walki dziesiątek tysięcy dronów – dochodzi do sytuacji, że ukraińskie i rosyjskie maszyny walczą same ze sobą – zmieniło wojnę. Wojskowi uczą się więc od Ukraińców nowych metod walki i sztuki nieustannej improwizacji. Na razie idzie średnio. Na niedawnych manewrach w Estonii mały ukraiński oddział operatorów dronów wyeliminował z walki dwa natowskie bataliony pancerne. Oby ta lekcja pokory przyniosła dobre skutki.

Atom polisą ubezpieczeniową

W cieniu rozważań, czy niewiarygodny rozwój dronów uczynił czołgi czy artylerię przestarzałymi, trwa dyskusja na temat broni jądrowej. Niespełna 20 lat temu, gdy władzę w USA przejmował Barack Obama, wydawało się, że najbardziej niszczycielski typ uzbrojenia w historii ludzkości zniknie z arsenałów. Ówczesny amerykański prezydent sprawowanie urzędu zaczął od takiej właśnie obietnicy. Zaś politycy w Europie domagali, się by Ameryka wycofała swoje atomowe zabawki z baz lotniczych na Starym Kontynencie.

Dziś jednak, gdy Rosja nieustannie grozi jądrową zagładą, atomowy parasol to najpewniejsza polisa ubezpieczeniowa. Problem w tym, że po rozpoczęciu prezydentury Donalda Trumpa mamy coraz więcej wątpliwości, czy możemy być na sto procent pewni amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa. A ponieważ zagrożenie ze strony Rosji rośnie, nad Europą trzeba otworzyć europejski parasol atomowy.

W latach 60 XX w. wojną atomową co chwila straszył Nikita Chruszczow, pierwszy sekretarz sowieckiej partii komunistycznej. W dobie kryzysu kubańskiego Związek Radziecki pod względem liczby głowic jądrowych i międzykontynentalnych rakiet do ich przenoszenia znacznie ustępował USA. Groźby Chruszczowa, że pogrzebie Zachód, były puste. ZSRR pod amerykańską presją musiał wycofać się z pomysłu instalowania rakiet średniego zasięgu na Kubie, Chruszczow stracił twarz, a wkrótce po tym stanowisko.

„My pójdziemy do nieba, oni zdechną”

Po 24 lutego 2022 r. nikt nie zamierzał testować Putina, który atomowym arsenałem straszył od lat. Zaraz po rozpoczęciu inwazji Rosja podwyższyła gotowość operacyjną w wojskach strategicznych. Kremlowska propaganda zaczęła wygrażać Europie i Ameryce atomowym zniszczeniem. Beztroska, z jaką wyliczano kolejne miasta, na które powinny spać rosyjskie głowice zakrawała o fanatyzm. – My pójdziemy do nieba, oni zdechną – tak o wojnie jądrowej z Zachodem mówił sam Putin. Grozę wzmacniały informacje – wysyłane od lat – że nieustannie modernizowane rosyjskie rakiety przenoszące głowice nuklearne są nie do zatrzymania. Przebieg ukraińskiej wojny weryfikował rosyjską propagandę. Ukraińska obrona przeciwlotnicza niszczyła pociski manewrujące Kalibr, czy lecące na cel z siedmiokrotną prędkością dźwięku głowice Iskanderów. Ściągano hipersoniczne Cyrkony. Użyty dwukrotnie przeciwko Ukrainie pocisk średniego zasięgu Oresznik, rzekomo jedna z najnowocześniejszych broni w rosyjskim arsenale, okazał się niecelny i skomplikowany w użyciu.

Czy w ciągu trwającej cztery lata wojny Putin był bliski decyzji o użyciu broni jądrowej? Przeciwko NATO chyba nie, choć Sojusz, wspierając Ukrainę przekraczał – choć ostrożnie – kolejne wytyczane przez Kreml czerwone linie: początkowo uruchomił dostawy artylerii, zaczął przekazywać Ukrainie systemy przeciwlotnicze, czołgi zachodniej produkcji i pociski manewrujące o kilkusetkilometrowym zasięgu. A także wspierał ją precyzyjnymi danymi wywiadowczymi. Ukraińcy dzięki temu już w kwietniu zatopili krążownik „Moskwa”, flagowy okręt Floty Czarnomorskiej, uderzali w rosyjskie składy z zaopatrzeniem i lotniska. W końcu jesienią 2022 r. przeprowadzili kontrofensywę wypierając Rosjan z okupowanych Kupiańska, Izjumu i wyzwalając Chersoń.

Putin był wówczas pod presją radykałów – Ramzan Kadyrow, rządca Czeczeni krzyczał wprost: „zrzuć atomówkę” – by zatrzymać natarcie Ukraińców przy pomocy taktycznej broni jądrowej. Amerykański wywiad – wówczas USA rządził jeszcze Joe Biden – zaalarmowały dyskusje w tej sprawie wśród rosyjskich oficerów. Na Rosję wywierano presję – także za pośrednictwem Chin i Indii – by nie użyła przeciwko Ukraińcom ładunków atomowych. Wywiady państw NATO bacznie śledziły, co dzieje się w składach broni jądrowej. Wyjazdy pilnie strzeżonych konwojów oznaczałyby, że Rosjanie przerzucają głowice w pobliże frontu. Nic takiego nie zaobserwowano.

Estoński scenariusz

Obecnie Rosja utknęła w Ukrainie, na froncie na Zaporożu miejscami się nawet cofa. Jej gospodarka jest w opłakanym stanie, dochody z handlu ropą, prowadzonego przy pomocy tankowców z floty cieni, spadają. Mimo to nic nie wskazuje na zawalenie się reżimu Putina. Wręcz przeciwnie, można sobie wyobrazić kolejny hazardowy ruch z jego strony.

Prof. Carlo Masala, wykładowca Uniwersytetu Bundeswehry w Monachium w książce „Jeśli Rosja wygra” opisał scenariusz, w którym Rosjanie niewielkim kosztem mogliby rozbić jedność NATO. Jego zdaniem wystarczyłaby inwazja na wschodnią Estonię, przeprowadzona pod pretekstem ochrony ciemiężonej rosyjskojęzycznej ludności. – Czy NATO ryzykowałoby wojnę jądrową dla skrawka ziemi? – retorycznie pyta prof. Masala. Czy zaryzykowałyby ją atomowe mocarstwa, Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Francja? Brak wsparcia dla Estończyków oznaczałby koniec Sojuszu. Mimo utraty ponad miliona żołnierzy (zabitych, rannych i zaginionych), dziesiątek tysięcy czołgów i pojazdów opancerzonych, setek samolotów i śmigłowców, Rosja jest w stanie przeprowadzić taką ryzykowną operację. Na-

eprasa.pl 7b63c07719

• **Ukraińscy rekruci ćwiczą się w sztuce wojennej na polu słoneczników w rejonie zaporoskim. Tuż przed prawdziwą walką. Sierpień 2025 r.**
FOT. ANDRIY ANDRIYENKO/AP/EAST NEWS

groda w postaci skłócenia sojuszników i rozpadu NATO rekompensowałaby koszty. Dla Ukrainy taki scenariusz oznaczałby rychły koniec, dla krajów wschodniej flanki Sojuszu rychłą samotną wojnę z Rosją. Dlatego pod koniec czwartego roku wojny dochodzimy do wniosku, że kraje wschodniej flanki NATO muszą zwiększyć swoje zdolności do odstraszania.

Z odtajnionych niedawno dokumentów wynika, że w latach 60, gdy Chruszczow wygrażał Zachodowi, neutralna wówczas Szwecja od lat intensywnie pracowała nad własną bronią atomową. Ładunki miały przenosić w bombach szwedzkie samoloty, uzbrojone w atomowe torpedy okręty podwodne i artyleria rakietowa. W razie ataku na Szwecję taktyczne głowice jądrowe miałyby spaść m.in. na nadbałtyckie porty wojskowe i bazy lotnicze w krajach Układu Warszawskiego. Szwedzi nie oglądali się wówczas na Amerykanów. Mieli wielkie złoża uranu, z którego w reaktorach można produkować potrzebny do broni pluton, mieli niezniszczony wojną nowoczesny przemysł zbrojeniowy, a sytuacja neutralnej Szwecji wciśniętej między ZSRR a NATO była niepewna.

Tamtejsi naukowcy byli w zasadzie o krok od przeprowadzenia testów prawdziwych atomowych ładunków (wcześniej na poligonie w Laponii symulowano działanie mechanizmów bomby wykorzystując makiety, lub konwencjonalne ładunki wybuchowe). Ostatecznie władze zrezygnowały z nuklearnej Szwecji, bo w świecie zaczął wiać inny wiatr. Po upadku Chruszczowa ZSRR rozpoczął politykę odprężenia, ludzie powszechnie uznawali broń jądrową za zło, wreszcie utrzymanie zaplecza programu jądrowego było niezwykle kosztowane. W 1972 r. Szwecja podpisała Układ o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Stała się krajem promującym powszechny pokój. Do wejścia do NATO w 2023 r. skłoniła ją dopiero rosyjska inwazja na Ukrainę.

Sygnał ze wschodniej flanki

Do tamtych atomowych doświadczeń można jednak wrócić. Szwedzkie złoża rud uranu są uznawane za największe nieeksploatowane zasoby tego rozszczepialnego pierwiastka na świecie. Jesienią zeszłego roku parlament zezwolił na ich wydobycie. W Szwecji działa sześć reaktorów jądrowych, każdy z nich – jako produkt uboczny – produkuje pluton. Brakuje tylko zakładu, w którym ten uzyskiwany w reaktorach pluton poddawano by oczyszczaniu i obróbce, aby uzyskać parametry potrzebne do zainicjowania reakcji łańcuchowej. Uruchomienie takiej fabryki – jeśli byłaby to priorytetowa inwestycja – to kwestia kilku lat. Zaś szwedzki przemysł obronny jest uważany za jeden z najdoskonalszych na świecie.

Mogę sobie wyobrazić nordycko-bałtyckie konsorcjum, które finansowałoby pracę nad własną bronią atomową. Mogę sobie w tym konsorcjum wyobrazić Niemcy, którym prac nad bronią jądrową na własnym terytorium zabrania konstytucja. I Polskę, gdzie o konieczności posiadania własnej broni jądrowej zgodnie mówili premier Donald Tusk i prezydent Karol Nawrocki. Wreszcie wyobrazić sobie mogę, że taki projekt zyskałby aprobatę Londynu i Paryża. Francja i Wielka Brytania jadą z nami na jednym wózku, silniejsza wschodnia flanka leży też w ich interesie.

Wschodnia flanka miała raz swój krótki nuklearny moment. Po nalocie rosyjskich dronów na Polskę (celowały w lotnisko w Rzeszowie, główny punkt logistyczny wojskowej pomocy dla Ukrainy), do naszego kraju przybyły francuskie myśliwce Rafale, zdolne przenosić pociski ASMP uzbrojone w głowice jądrowe o mocy 300 kiloton. Był to mocny sygnał wobec Rosji. Gdyby w szwedzkich, fińskich i polskich bazach lotniczych powstały magazyny analogicznych pocisków manewrujących, Rosja miałaby pełną świadomość, że miękkiej gry z nami nigdy nie będzie, bez względu na to, jak będą kształtować się relacje Europy z USA. ●

Wiadomości z kraju i ze świata czytaj teraz na
wyborcza.pl

UŻYJ BEZPŁATNEGO KODU i bądź na bieżąco przez cały weekend*

M3ZU5FT

1. Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
2. Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
3. Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
4. Aktywuj dostęp w ten weekend

• Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 21-22.02.2026 r.

Andrzej rysuje

eprasa.pl 7b63c07719

FOT. HANDOUT/AFP/EAST NEWS

PRACOHOLIK NA WOJNIE

Często pytałem Zełenskiego, co będzie robić, gdy nastanie pokój. Powtarzał jedno.

Z **SIMONEM SHUSTEREM,**
AUTOREM „SHOWMANA",
BIOGRAFII PREZYDENTA UKRAINY,
ROZMAWIA **WIKTORIA BIELIASZYN**

Pan spędził z Wołodymyrem Zełenskim mnóstwo czasu, regularnie przeprowadza pan z nim ekskluzywne wywiady. Jak udało się tak do niego zbliżyć?
– Poznałem prezydenta Zełeńskiego i jego zespół, gdy jeszcze nie zainstalowali się w biurze prezydenckim na Bankowej, w marcu 2019 roku, kiedy trwała kampania wyborcza. Po ich zwycięstwie pozostawaliśmy w kontakcie, opisywałem ich poczynania, sytuację w Ukrainie.

Kiedy nowi ludzie dołączali do ekipy prezydenta, również się z nimi poznawałem, rozmawiałem, korespondowałem, więc kiedy Rosjanie rozpętali pełnoskalową wojnę, miałem już dość dobre relacje służbowe i z zespołem prezydenta, i z nim samym. Jeszcze przed wybuchem dużej wojny przeprowadziłem z nim kilka wywiadów.

Kiedy więc w kwietniu 2022 roku przyszedłem do niego i opowiedziałem, że chciałbym napisać książkę, zapytał: „A co ja powinienem zrobić, żeby ci pomóc?". Powiedziałem: „Proszę mi pozwolić pozostać tutaj przez najbliższe miesiące albo aż wojna się zakończy". „No dobrze, jeśli chcesz tu być i obserwować, to masz pozwolenie". I to wszystko. Nic skomplikowanego, po prostu kilka lat znajomości, kilka lat wspólnej pracy. Myślę, że już miał do mnie pewne zaufanie. Znali mnie, wiedzieli, jak piszę, jak podchodzę do mojej pracy. Jestem im bardzo wdzięczny.

Według pana jedną z fundamentalnych cech prezydenta Ukrainy jest pracoholizm.
– Mówiła o tym Ołena, jego żona. Zanim Zełenski wszedł do polityki, skupiał się głównie na pracy. Wychodził z domu wcześnie, wracał późno, ciągle był przemęczony. Ołena uważała, że poświęca za mało czasu rodzinie. On sam wprost mówił, że wiele momentów z życia swoich dzieci przegapił.

Dlatego dzisiejsza Pierwsza Dama Ukrainy nie chciała, by mąż wszedł do polityki. Wiedziała, że nowe obowiązki jeszcze bardziej go pochłoną. Miała rację, ich życie w 2019 roku bardzo się skomplikowało, a on coraz bardziej koncentrował się tylko na pracy. Naturalnie, ten problem tylko się pogłębił, kiedy rozpoczęła się pełnoskalowa wojna.

A jak opisałby pan Zełenskiego nie jako polityka i prezydenta, tylko jako Wołodymyra, zwykłego człowieka?
– Jest bardzo uparty i niezwykle pewny siebie. Zawsze, także na początku kariery, kiedy pracował w telewizji, był komikiem, tworzył studio „Kwartał 95", był liderem. Współpracownicy czy koledzy opisywali go jako „parowóz".

To on, swoją siłą i energią, motywował tych, którzy zaczynali wątpić w siebie czy w sens danego projektu. Zełenski zawsze w takich momentach mówił im, żeby się nie martwili i że wspólnymi siłami sobie poradzą.

Jego znajomi i przyjaciele opowiadali mi, że nie zawsze się udawało, wiadomo, jedne projekty kończyły się sukcesem, inne nie. Ale Zełenski zawsze miał w sobie pewność, że się powiedzie. Że finał będzie dobry. To jego fundamentalna cecha.

To było widać w jego kampanii wyborczej i tuż po objęciu urzędu, prawda?
– Zdecydowanie. Zełenski przekonywał tych, którzy z dużą rezerwą odnosili się do pomysłu, że gwiazdor telewizyjnej rozrywki miałby objąć urząd prezydenta, że nawet jeśli czegoś nie rozumie w kwestiach państwowych czy gospodarczych, znajdzie profesjonalistów, którzy mu pomogą.

A pan co myślał?
– Nie ukrywam, że na mnie zrobił wrażenie dosyć naiwnego człowieka. Uważałem, że nie jest gotowy na wyzwania i zadania związane z nową rolą. Dziwiło mnie jego przekonanie, że doświadczenie z branży telewizyjnej i show-biznesu wystarczy, by odnieść sukces w wielkiej polityce na międzynarodowej arenie. Przecież już wtedy przed prezydentem Ukrainy stały zadania takie jak zakończenie wojny w Donbasie, dogadywanie się z Donaldem Trumpem i Władimirem Putinem.

Może to właśnie jego doświadczenie showmana, umiejętność wchodzenia w role, pomogły mu w tak trudnych chwilach po rosyjskiej inwazji?
– W dużej mierze właśnie te cechy i umiejętności pomogły mu utrzymać uwagę nie tylko zachodnich liderów, ale i wielu ludzi na całym świecie, którzy widzą i jego, i wojnę na ekranach telewizorów, w gazetach, w regularnych wystąpieniach w internecie.

eprasa.pl 7b63c07719

Zełenski stara się wszelkimi sposobami zachować uwagę międzynarodowej społeczności, bo to oznacza podtrzymanie jej wsparcia. A narzędzia do tego zdobył właśnie jako showman: wie, jak przyciągać, utrzymać i zarządzać uwagą ludzi.

Niektórzy wskazywali, że to miecz obosieczny. Dla osób, których celem jest zdobycie sympatii i uwagi „widzów", krytyka bywa dużo bardziej bolesna.
– To był jego problem na początku kadencji. Był wtedy bardzo wrażliwy na krytykę i mocno brał sobie do serca nawet wypowiedzi anonimowych komentatorów, którzy zamieszczali w serwisach społecznościowych hejterskie albo prześmiewcze wpisy na jego temat. Bardzo go to irytowało, złościł się.

Widzę, jak bardzo się pod tym względem zmienił, zwłaszcza w czasie wojny. W ciągu ostatnich czterech lat stał się bardziej odporny. Ma znacznie grubszą skórę.

Wydaje mi się, że widzimy to w jego relacji z Trumpem. Niemal wszyscy światowi liderzy obchodzą się z prezydentem USA jak z jajkiem, choć z nich kpi, ale Zełenski powstrzymuje się nawet przed drobnym grymasem, bo w przypadku Ukrainy urażenie go może mieć tragiczne konsekwencje.
– Właśnie to widzieliśmy w Gabinecie Owalnym w lutym przed rokiem. Tamta wymiana zdań miała duży wpływ na strategię Ukrainy wobec Stanów Zjednoczonych. Prezydent oraz ukraińscy dyplomaci tłumaczyli mi, że po tamtym spotkaniu postanowili, że już nigdy nie pozwolą Trumpowi wątpić w to, że Ukraina chce zakończyć wojnę.

Od tego czasu w każdy sposób starają się to pokazać. To dlatego zgadzają się na wszelkie propozycje Amerykanów dotyczące procesu pokojowego. Zgadzają się na natychmiastowe zawarcie rozejmu, na różne negocjacje, w tym z Rosjanami, na spotkanie osobiste Zełenskiego z Putinem. On sam powiedział mi dosłownie kilka dni temu: „Jesteśmy gotowi na wszystko, na wszystkie propozycje. Najważniejsze to nie dać Amerykanom wątpić w to, że Ukraina chce zakończyć wojnę".

Wtedy Zełenski stracił złudzenia? Bo wcześniej, jeszcze przed wojną, gdy rozmawiałam w Kijowie z dyplomatami, słyszałam, że prezydent Ukrainy był do Trumpa nastawiony optymistycznie i wierzył, że wzajemne relacje będą układać się dobrze.
– Na początku prezydentury Zełenski uważał, że dość łatwo znajdzie wspólny język z Trumpem. Myślał, że łączy ich status outsiderów, których kariera polityczna rozpoczęła się w nieoczywisty sposób, ale też showmanów. Wierzył, że to ich zbliży i nawet jeśli nie uda się nawiązać relacji przyjacielskiej, to przynajmniej dzięki podobieństwom przełamią lody.

Ekipa prezydenta też w to wierzyła?
– Niektórzy ludzie w jego zespole podchodzili do Trumpa bardziej trzeźwo. Wiedzieli, że nie jest wielkim zwolennikiem Ukrainy. Pamiętali jego wypowiedzi żywcem wyjęte z rosyjskiej propagandy, jak ta, że jego zdaniem Krym bardziej należy do Rosji, bo mieszkańcy mówią po rosyjsku. Ale Zełenski, jak to on, uważał, że uda mu się przekonać Trumpa i zrobić z niego prawdziwego sojusznika.

Niedawno Roman Badanin, biograf Putina, który też obserwował go od początku wielkiej kariery, tłumaczył mi, jak władza zmieniła prezydenta Rosji, wzmocniła jego najgorsze cechy. Prezydenta Zełenskiego też to dotyczy?
– W jakimś stopniu na pewno, tylko że to nie musi działać w jedną stronę – u każdego wydobywać to, co najgorsze, pozbawiać hamulców. Ludzie o silnym charakterze mogą zmienić siebie i swój kraj również na lepsze. Zełenski należy do tej grupy. Może nie wszyscy jeszcze dzisiaj to widzimy, ale uważam, że on zmienił charakter władzy w Ukrainie, a więc zmienił

Ukraińskie „czerwone linie", które na początku negocjacji trwających od początku pełnoskalowej wojny wydawały się nieprzekraczalne, stają się różowe lub białe

jej historię. A prawdę mówiąc, może za parę lat będziemy mówić o wpływie jego przywództwa na całą Europę.

Nie zaprzeczam, bo bohaterska postawa Ukraińców, ich samoorganizacja, nadspodziewanie sprawnie funkcjonujące państwo i sposób bycia ich prezydenta zrewidowały i lekceważące stereotypy, i poglądy znacznej części Zachodu na Rosję oraz naszą część Europy. Ale jednocześnie myślę, że część czytelników zarzuci panu wystawienie Zełenskiemu laurki. Nie tylko z czystego sceptycyzmu czy niechęci. Nie brakuje w mediach doniesień, które budzą pewne wątpliwości. Krążą opowieści o jego pamiętliwości, podejrzliwości, przekonaniu, że krytyka jego czy jego otoczenia szkodzi wysiłkowi wojennemu, o próbach cenzury, ochrony skompromitowanych współpracowników...
– Jeśli władza go zmieniła, to raczej nie w ten sposób, że go skorumpowała czy że on kurczowo się jej trzyma. Porównuję jego zachowanie przed wojną i w jej trakcie i widzę, że on pozostaje zaskakująco przyziemny, normalny, prosty w kontaktach, otwarty, uprzejmy. Stał się twardszy, ale to akurat zrozumiałe, zważywszy na presję i wojenne okoliczności. To, co widzi, te wszystkie straszne rzeczy, te kryzysy, z którymi musi zmagać się każdego dnia – to go zmienia. Ale sama władza? Nie wiem...

Pamiętam dzień, kiedy ogłoszono, że Walerij Załużny, niezwykle popularny wśród Ukraińców głównodowodzący, bohater pierwszych miesięcy wojny, zostaje – rzecz jasna w uznaniu zasług i by wykorzystać jego zdolności na drugim, dyplomatycznym froncie – pozbawiony dowództwa i oddelegowany do Londynu jako ambasador. Większość ekspertów twierdziła, że szczery wywiad Załużnego dla zachodniej gazety o sytuacji na froncie i ukraińskich słabościach to był pretekst. Zełenski przestraszył się możliwego konkurenta.
– Nie zgodzę się. Oni po prostu byli w złych relacjach. Często mieli zupełnie inne zdanie odnośnie strategii na polu bitwy, wykorzystywania zasobów wojskowych, działań dyplomatycznych Ukrainy... Co ciekawe, oni omawiali ze sobą te wszystkie kwestie, mimo że część z nich należy do kompetencji prezydenta, a nie naczelnego dowódcy.

Mówiąc krótko: współpracowali, dzielili się odpowiedzialnością, każdy oddawał kawałek swojego pola, ale kłócili się. Więc ten ruch był logiczny – po względnym ustabilizowaniu sytuacji nie dało się tak działać bez końca, więc prezydent skorzystał ze swojego prawa, by wybrać dowódcę, który mu bardziej odpowiada i z którym łatwiej mu współpracować. Taka hierarchia władzy w demokratycznym państwie wydaje mi się całkiem naturalnym krokiem, a już zwłaszcza w czasie wojny. Jeśli coś mnie zdziwiło, to jak długo prezydent czekał z odwołaniem generała.

To jak pan w takim razie ocenia sankcje, które prezydent Ukrainy nałożył w ubiegłym roku na swojego poprzednika? To również wygląda nieciekawie. Nawet jeśli Petro Poroszenko ma coś za uszami z czasów, gdy sprawował władzę, pozostając potężnym przemysłowcem i magnatem medialnym, to trudno coś zarzucić jego postawie po rosyjskiej napaści. W pierwszych tygodniach wojny organizował obronę terytorialną, finansował ochotników, potem angażował się na rzecz Ukrainy na forum międzynarodowym. Nawet jeśli za kulisami, w korytarzach ukraińskiej polityki, kontestował Zełenskiego czy jego partię Sługa Ludu, to można było okiełznać go dyskretniej. Bo sankcje na „eksa", przeciwnika w tamtych wyborach i jednego z liderów opozycji to wizerunkowy strzał w stopę – wyglądają jak szykany, małostkowa próba zneutralizowania politycznego rywala pod pretekstem stanu wojennego.
– Poroszenko i Zełenski są wrogami politycznymi. I to od dawna. Jednym z powodów, dlaczego Zełenski w ogóle zdecydował się wejść do polityki w 2018 roku, była chęć odsunięcia Poroszenki od władzy. Powiedzmy dyplomatycznie, że Zełenski chciał go zastąpić, bo uważał, że Poroszenko prowadzi kraj w niewłaściwym kierunku. Ale myślę, że sankcje i środki podjęte przeciwko niemu... Szczerze mówiąc, nie wiem. To mnie zastanawiało.

Bo?
– Bo tak samo jak pani nie rozumiałem, po co to robić? I z licznych badań opinii publicznej, i z rozmów z ludźmi w Ukrainie, wynikało, że Poroszenko nie ma dużych szans na powrót do prezydentury ani na odegranie ważnej roli w politycznym życiu kraju. Nie do końca rozumiem, dlaczego Zełenski widział w nim zagrożenie czy problem, który wymagałby podjęcia działań takiego kalibru, jak sankcje. Tym dziwniejsze, że zachodni partnerzy w zamkniętych rozmowach też mówili Zełenskiemu, że nie warto podejmować takich kroków.

To co mogło za tym stać, jak nie chęć wzmocnienia własnej pozycji?
– Niektórych członków ekipy prezydenta denerwowało, że są politycy, w tym Poroszenko, którzy podróżują po Europie i opowiadają partnerom Ukrainy, że Zełenski jest zły i że lepiej by było go jakoś usunąć. Może nie publicznie, ale takie rozmowy rzeczywiście miały miejsce na konferencjach, kongresach, no i na osobistych spotkaniach z różnymi liderami Europy. Zełenskiego to denerwowało, bo uważa, że w czasie wojny politycy powinni pracować razem i nie knuć za plecami, zawiesić polityczną walkę. Myślę, że to była główna motywacja. Ale tak, sprawa jest skomplikowana. Nie mówię, że to było słuszne.

Jednym z haseł przewodnich kampanii prezydenckiej Zełenskiego była walka z korupcją. Tymczasem widzimy, że ten problem występuje nawet w jego najbliższym otoczeniu. Prawnik Andrij Jermak, szef kancelarii prezydenta i najbardziej zaufany współpracownik Zełenskiego jeszcze z czasów show-biznesu, chronił ludzi uwikłanych w przekręty w sektorze energetycznym. A chwilę wcześniej Ukraińcy skrzyknęli „mały Majdan" po tym, jak prezydencka administracja postanowiła zreformować – czyli pozbawić kompetencji – Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy, jedną z najlepiej ocenianych służb w kraju.
– Rzeczywiście. Od listopada, kiedy wybuchł duży skandal związany z dochodzeniem NABU w sprawie operacji Ministerstwa Spraw Zagranicznych, kwestia korupcji na powrót stała się bardzo palącym problemem dla społeczeństwa. Badania opinii publicznej pokazują, że przekupstwo jest na drugim miejscu po bezpieczeństwie, a w niektórych badaniach nawet na pierwszym, co daje do myślenia, biorąc pod uwagę, że ludziom co noc na domy spadają rakiety, a nad głowami latają drony. To dla obywateli naprawdę ogromny problem.

Może dlatego, że korupcja, od szczebla funkcjonariusza drogówki po oligarchów gazowych, to od początku niepodległości było ukraińskie przekleństwo ustrojowe i utrapienie w codziennym życiu. A wydawało się, że wojenny wysiłek spowodował przełom i w tej sprawie, systemowy oraz mentalny – koniec przyzwolenia na korupcję, większą przejrzystość instytucji, kontraktów... Zełenskiemu nie udało się zwalczyć korupcji w strukturach władzy?
– Wielokrotnie rozmawiałem o tym z prezydentem: o aferach korupcyjnych i o jego reakcji. Zełenski jest krytykowany, że kiedy pojawiają się jakieś zarzuty wobec członków jego zespołu, nie podejmuje szybkich i zdecydowanych działań, reaguje wolno, jest wyrozumiały dla podwładnych.

Co szkodzi jemu samemu – „skoro ich chroni, to pewnie sam..."...
– ... tak było na przykład z byłym ministrem obrony, Ołeksijem Reznikowem. Zełenski dowiedział się o problemach z zakupami w Ministerstwie Obrony i o nieprawidłowościach z dostawami jedzenia i odzieży dla żołnierzy w lutym 2023 roku, Ale nie zwolnił Reznikowa od razu, tylko poprosił, by poradził sobie z tym, usunął schematy korupcyjne po cichu, bez zmiany całego kierownictwa ministerstwa. Dymisja nastąpiła dopiero pół roku później. Problem w tym, że jego doradcy i zagraniczni partnerzy, w tym Amerykanie, dawno mówili, że mają problemy z korupcją w resorcie obrony.

Co na to Zełenski?
– Tłumaczył, że nie może zmieniać zespołu, zwłaszcza w tak ważnym resorcie, jak Ministerstwo Obrony, kiedy pojawiają się oskarżenia, które nie zostały udowodnione – bowiem nie było dowodów, że sam minister obrony był zamieszany w aferę. – Nie mogę od razu zwolnić całego kierownictwa. Jeśli to zrobię, oskarżenia będą się pojawiać coraz szybciej,

Simon Shuster

• urodził się w 1983 roku w Moskwie, amerykański dziennikarz, przez lata związany z magazynem „Time", obecnie autor „The Atlantic". Konflikty zbrojne i reżimy opisuje od 20 lat, od 17 lat specjalizuje w tematyce ukraińskiej i rosyjskiej; jako pierwszy zachodni dziennikarz dotarł na Krym w trakcie aneksji. Autor **„Showmana",** wyczerpującej biografii Wołodymyra Zełenskiego, nad którą pracował od pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę. Książka dostępna w formie e-booka na Publio.pl.

eprasa.pl 7b63c07719

a wkrótce nie będę miał w ogóle zespołu, z którym będę mógł kierować krajem i starać się nie przegrać tej wojny – wyjaśniał.

Bardzo zależało mu na spójności i sile zespołu. Często źle reagował na oskarżenia czy dochodzenia antykorupcyjne, ponieważ prowadziły do paraliżu.

To znaczy?
– Urzędnicy, nawet na dość wysokim szczeblu, bali się podpisywać jakiekolwiek dokumenty czy podejmować decyzje, bo nie wiedzieli, jak to później będzie interpretowane. To utrudniało szybkie i spójne działanie w czasie wojny. Niektórzy mieli też z tyłu głowy, że z jednej strony nagłaśnianie afer czy podejrzeń jest oczyszczające i świadczy o dobrych intencjach, z drugiej, może podważać zaufanie społeczeństwa, zagranicznych darczyńców, zachodnich partnerów.

Zełenski wie, że walka z korupcją jest priorytetem, regularnie to podkreśla. Ale gdy wypływały takie sprawy, w rozmowach z partnerami zawsze prosił o czas i zrozumienie, tłumacząc, że Ukraina toczy teraz egzystencjalną wojnę z Rosją, która chce wymazać jego kraj z mapy świata. Przekonywał, że ten dosłowny front jest ważniejszy niż drugi, wewnętrzny front, czyli walka z korupcją.

Z jednej strony Zełenski długo ufał i bronił takich ludzi, jak Jermak, z drugiej – nie waha się wymieniać wieloletnich ministrów i stawiać na zupełnie nowych ludzi. Na kluczowe stanowiska ściąga młodych, energicznych fachowców. Ministrem obrony właśnie mianował 35-letniego Mychajłę Fedorowa, niegdyś przedsiębiorcę zajmującego się marketingiem w sieci, który jeszcze przed wojną sprawnie poradził sobie z cyfryzacją urzędów i usług państwowych. Przed nim za obronność odpowiadał informatyk, menedżer, poliglota i tatarski społecznik Rustem Umierow, który teraz kieruje Radą Bezpieczeństwa. To nie są zawodowi politycy. Jesteśmy świadkami formowania się świeżej elity? A może i nowej klasy politycznej?
– Myślę, że raczej należy mówić o transformacji, a nie całkowitym resecie. Ważne elementy elity politycznej, w tym oligarchowie, nie zmieniają się od dziesięcioleci. Wielu z nich było w otoczeniu poprzednich prezydentów i pozostało przy Zełenskim. Mówię o naprawdę dużych przedsiębiorcach, którzy mają fabryki, banki, telewizje – i mają własne interesy polityczne oraz wpływy.

Jednocześnie w czasie wojny formuje się nowa elita – ale głównie wojskowa. Ukraina dorabia się wielu nowych bohaterów, w tym dowódców różnych formacji, brygad, batalionów, armii, którzy mogą w przyszłości zrobić karierę polityczną. Po wojnie będzie duży popyt w społeczeństwie na coś, co można by nazwać partią weteranów, lub na polityków reprezentujących interesy wojska i byłych żołnierzy. To dość naturalny skutek wojny. Ale to raczej nie będzie jakaś nowa elita związana personalnie z Zełenskim. To naturalna, po części tragiczna, ewolucja polityki związana z wojennymi warunkami.

Pytanie, czy znów w tę politykę nie spróbuje mieszać się Rosja. Już jej się to udaje: Moskwa przez całą wojnę powtarzała, że mogą rozmawiać, ale Zełenski to autokrata, uzurpator, który odwleka wybory – a teraz administracja Trumpa podchwyciła to i Amerykanie, zupełnie jak Rosjanie, naciskają na jak najszybsze wybory prezydenckie.
– Kiedy rozmawiałem w zeszłym tygodniu z prezydentem, poruszyliśmy również ten temat, i on zauważył: „wiesz, Simon, najwięcej o wyborach w Ukrainie w czasie wojny mówi Rosja. To oni ich chcą". Żeby się go pozbyć.

Co ma na myśli?
– Wiele rzeczy. W tym sugestię, że nie jest do końca pewny, czy wygrałby.

Bo erodowała jego popularność – czy bo Rosja będzie mącić w kampanii wyborczej? Robił to nie raz i nie tylko w Ukrainie, ma sprawdzone metody – boty i trolle w serwisach społecznościowych, prowokacje, fejki, tak zwanych pożytecznych idiotów... Pana zdaniem Kreml nie postara się wpłynąć na wyniki?
– Ależ nie, będzie się starał, i to bardzo, tylko że będzie mu znacznie trudniej niż przed rozpoczęciem pełnoskalowej wojny. Do 2022 roku w Ukrainie działała partia o nazwie Opozycyjna Platforma – Za Życie, która promowała interesy i propagandę Rosji, z sukcesem, bo była drugą pod względem wielkości w Radzie Najwyższej, czyli w parlamencie. Teraz ta partia nie istnieje i trudno sobie wyobrazić, że coś podobnego mogłoby w Ukrainie powstać po wszystkich zbrodniach, których dopuścili się Rosjanie, a tym bardziej przyciągnąć wyborców.

Ale owszem, Kreml będzie próbować siać w Ukrainie zamęt innymi, głównie przez propagandę.

> Zełenski jest bardzo uparty i niezwykle pewny siebie. Jeszcze kiedy pracował w telewizji, był komikiem, współpracownicy czy koledzy opisywali go jako „parowóz"

Od ekspertów, ale i zwykłych Ukraińców, często słyszę, że zwycięstwo Zełenskiego nie jest wcale pewne. I że nie cieszy się już tak ogromnym, bezwarunkowym poparciem, jak w pierwszym, drugim roku wojny.
– Ludzie są zmęczeni. Często spotykam w Ukrainie osoby, które są zdecydowanie przeciwko niemu albo chcą widzieć nowego lidera. Ale nie powiem, że to przeważająca opinia, bo równie wielu ludzi wciąż bardzo ceni jego wkład w obronę i rozwój kraju. Ukraińcy, nawet ci zniechęceni, widzą, jak jest skuteczny, przynajmniej na arenie międzynarodowej, i jak skutecznie zdobywa pomoc od zachodnich partnerów.

Krytyka, którą słyszę pod jego adresem, dotyczy najczęściej korupcji. Tylko że Ukraińcy zarzucają ją nie jemu bezpośrednio, tylko członkom jego zespołu. Dlatego opinia, że nie walczył wystarczająco aktywnie z korupcją w czasie wojny, choć częsta, nie działa na jego niekorzyść.

Czyli druga kadencja Wołodymyra Zełenskiego jest realna? W podręcznikach historii będzie nie tylko tym, który obronił kraj, ale i tym, który go odbudowywał, a może i wprowadził do Unii Europejskiej?
– Sondaże pokazują, że ma dość duże szanse. Według ostatnich badań, które widziałem, jego poparcie waha się od 40 do 60 procent. Wielu europejskich liderów mogłoby mu pozazdrościć takich wyników.

Prezydent Ukrainy jest dzisiaj w niezwykle trudnej sytuacji, bo każda decyzja, którą podejmie, wiąże się z ogromnym ryzykiem, wysoką ceną polityczną, a nawet tym, jak zapisze się w pamięci kolejnych pokoleń.
– On już przeszedł do historii. Na pewno nie zostanie zapomniany. Jego przywództwo podczas wojny zrobiło wrażenie na wielu. Będzie o nim wiele książek i filmów.

A jak pan widzi jego bliższą przyszłość, czyli tę po wojnie?
– Często pytałem go, co będzie robić po wojnie i po prezydenturze. On odpowiadał zazwyczaj mniej więcej tak: „Simon, teraz zajmuję się tylko sprawami związanymi z wojną i próbami jej zakończenia. Osiągnięciem sprawiedliwego rozejmu, po którym naród Ukrainy będzie mógł żyć bezpiecznie i rozwijać się".

Słusznie, ale jakby występował w ONZ. Ukrywa obawy, marzenia i plany?
– Powiedział mi też jednak, że po wojnie Ukraina będzie potrzebować innego prezydenta. Takiego z kompetencjami menedżera, który pokieruje odbudową, rozwojem i zajmie się sprawami typowymi dla prezydenta w czasie pokoju, a nie lidera wojennego. Kiedy dopytywałem, czy widzi siebie w tej roli i czy byłby w stanie ponownie przejść transformację, tym razem w drugą stronę, nie odpowiedział. Powtórzył, że teraz jest zajęty tylko wojną.

Kiedy Zełenski wchodził do polityki, był rosyjskojęzycznym Ukraińcem z doświadczeniem pracy u sąsiadki, gwiazdą rosyjskiej telewizji i rozrywki, z licznymi rosyjskimi znajomościami zawodowymi i przyjaźniami. Co dzisiaj, tak naprawdę, myśli o tak zwanych zwykłych Rosjanach prezydent Ukrainy?
– Na początku pełnoskalowej wojny starał się jeszcze wyciągnąć rękę do rosyjskiego narodu. Mówię o pierwszych tygodniach, może pierwszych dwóch miesiącach po inwazji. Uważał, że wojna może zakończyć się, bo ludzie w Moskwie i innych dużych miastach wyjdą na protest, sprzeciwią się Putinowi. Ale zobaczył, że nic takiego się nie dzieje, że jedni po prostu wyjechali, inni uciekli w prywatność, a są i tacy, którzy mimo liberalnych poglądów naprawdę popierają „operację specjalną". A przede wszystkim zobaczył Buczę i inne zbrodnie, w innych miastach, które popełnili rosyjscy żołnierze. Wtedy przestał wierzyć, że rosyjski naród może zatrzymać wojnę, że przynajmniej spróbuje przekonać Putina.

Od kwietnia 2022 i Buczy Zełenski uważa, że nie ma sensu nawet próbować zwracać się do Rosjan, bo są pod zbyt silnym wpływem wielkorosyjskiej propagandy.

Zmienił się natomiast jego stosunek do Białorusinów, prawda?
– Tak, w ostatnich tygodniach. To niezwykle ciekawe, może nawet napiszę o tym artykuł. Bo od początku pełnoskalowej wojny Zełenski wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie ma sensu zwracać się do Białorusinów, gdyż są, tak samo, jak Rosjanie, pod silnym wpływem rosyjskiej propagandy. Ale ostatnio spotkał się ze Swiatłaną Cichanouską, zwycięzczynią sfałszowanych wyborów prezydenckich latem 2020 roku – i w jego ekipie nastawienie wobec Białorusinów wyraźnie się zmieniło. Kiedy rozmawiałem z nim w zeszłym tygodniu, zapytałem o to spotkanie z Cichanouską i czy uważa, że możliwe jest odciągnięcie Łukaszenki od Putina jakimś sposobem dyplomatycznym.

Bo białoruski prezydent próbuje balansować? Choć brutalny autokrata, nie chce zwasalizowania jego kraju, a już na pewno, żeby Rosja go wchłonęła?
– Zełenski powiedział, że nie ma szans na oddzielenie reżimu w Mińsku od Kremla, ale jeśli chodzi o naród Białorusi, to można spróbować. I dodał, że będzie starał się wyjaśniać Białorusinom, w jakim są niebezpieczeństwie, że ich przywódca Łukaszenka i jego „duży brat" Putin starają się wciągnąć naród w nie jego wojnę. A więc Zełenski nie tylko zaczął rozróżniać naród białoruski i jego przywódcę, ale też planuje aktywne działania, by zwrócić się do białoruskiej opozycji oraz do społeczeństwa.

Rosja i Ukraina na serio negocjują pod patronatem i naciskiem USA. Gdzie dzisiaj przebiegają tak zwane czerwone linie obu stron?
– To jest trudne. Często linie, które na początku wszystkich negocjacji, trwających właściwie od początku pełnoskalowej wojny, wydawały się nieprzekraczalne, stają się różowe lub białe. Przynajmniej strona ukraińska często wychodzi naprzeciw, idzie na kompromisy.

W pierwszych latach inwazji, w 2022, 2023, 2024 roku, dla ukraińskich negocjatorów jednym z najważniejszych punktów ewentualnego planu pokojowego była sprawiedliwość – czyli żądanie, by Putin i jego dowództwo wojskowe stanęli przed sądem i odpowiedzieli za zbrodnie wojenne. A teraz już rzadko o tym wspominają. Dziś główna czerwona linia dotyczy terytoriów, których Ukraińcy nie zamierzają oddać Rosjanom. Słyszę, że nie będzie tak, że ukraińskie wojska dobrowolnie wycofują się skądś i wpuszczą tam rosyjskie wojska. Ale to oznacza, że na stole są inne opcje, na przykład jakaś strefa buforowa lub neutralna pomiędzy walczącymi stronami, lub strefa wolnej gospodarki, jak nazywają ją Amerykanie. Zobaczymy.

Na początku inwazji prezydent zaapelował do ukraińskich mediów, by przyłączyły się do wojny informacyjnej przeciwko Rosji. Początkowo to działało, ale z czasem dziennikarze zaczęli się wyłamywać, głośno mówić o próbach cenzurowania ich. A pan mógł sobie pozwolić na pewną swobodę? Otwarte pisanie o ukraińskich problemach czy kulisach kijowskiej polityki nie zamykało panu drzwi?
– Pozwalam sobie na pełną swobodę w opisywaniu wydarzeń. Owszem, w niektórych przypadkach kończyło się konfliktem z administracją prezydenta. Często nie podoba im się, co piszę. Czasami reakcje na moje artykuły są bardzo ostre – ale jakoś zawsze idziemy do przodu. Minie trochę czasu i znów zapraszają mnie lub zgadzają się na wywiad. Rozumieją, że ja nie jestem od wychwalania prezydenta, że staram się pisać o Zełenskim jako o człowieku, o osobie, a nie o jakiejś ikonie. A to podporządkowanie mediów trwało bardzo krótko, kilka miesięcy. Już w czerwcu 2022 roku wiele bardzo wpływowych ukraińskich mediów, głównie internetowych, zaczęło aktywnie krytykować Zełenskiego i jego zespół. I robią to do dziś.

Inaczej niż w Rosji, w Ukrainie po rozpadzie ZSRR od początku istniał bardzo aktywny, zróżnicowany ekosystem prywatnych mediów. Owszem, ich właściciele mieli swoje polityczne interesy ich właścicieli – niemniej te interesy i światopoglądy były tak różne, że dziennikarze zajmowali się wszystkim. Jeśli nie ten coś opisał, to inny.

Ten system nadal funkcjonuje. Nawet gdyby biuro prezydenta chciało jakoś stłumić lub powstrzymać dziennikarzy, którzy go krytykują, to by się nie udało. Po prostu. Bo w Ukrainie wolność słowa i demokracja oddolna, poczucie obywateli, że można stawiać się władzy i głośno mówić, po odzyskaniu niepodległości szybko rozwinęły się – i utrwaliły. ●

eprasa.pl 7b63c07719

PUTIN MA TWARZ ANTYCHRYSTA

Wybitny ukraiński ikonopis namalował duchową historię wojny w Ukrainie.

Z IKONOPISEM **DANYŁEM MOWCHANEM**
ROZMAWIA **MICHAŁ OLSZEWSKI**

• **„Krzyże i czaszki”**

eprasa.pl 7b63c07719

• „Ku zwycięstwu”

• „Kwiaty z Ukrainy”

Mowchan: Toczymy w Ukrainie walkę z Rosją w okopach, uciekamy przed bombami i dronami. Ale na poziomie głębszym to jest absolutnie jednoznaczna walka dobra ze złem

MICHAŁ OLSZEWSKI: Twoja przemiana artystyczna pokrywa się niemal co do dnia z datą inwazją Rosji na Ukrainę. Do 24 lutego 2022 roku jesteś jednym z najwybitniejszych ukraińskich pisarzy ikon. Wystawiają cię galerie na świecie, czerpiesz z Nowosielskiego, z tradycji zachodnioukraińskiej. Budzisz się rano i...

DANYŁO MOWCHAN*: – To miał być zwykły dzień. Mieliśmy z Jaryną, moją żoną wstać, odprowadzić dzieci do szkół, wrócić do naszego mieszkania na lwowskim Łyczakowie i zająć pracą. Ale nad ranem już słyszeliśmy alarmy. Szkoły zostały zamknięte, w stronę Lwowa zaczęły płynąć fale uchodźców z centralnej i wschodniej Ukrainy.

Dla mnie to był szok nie tylko dlatego, że mój kraj stał się celem inwazji. Okazało się, że historie artystów i pisarzy ukraińskich dwudziestego wieku, którzy przeżyli straszne czasy, zmieniły się w teraźniejszość. Znam trochę historię i często zadawałem sobie pytanie, jak można tworzyć w sytuacji skrajnej, kiedy wiesz, że w każdej chwili ciebie albo twoich bliskich może napotkać śmierć.

Lwów w tamtym czasie był jednocześnie miejscem tułaczki, jakiej nie widział od II wojny światowej. Przez dworzec przechodziło kilkadziesiąt tysięcy ludzi na dobę. Pamiętam tę niepewność: uderzą rakietami, czy nie.

– Pracowałem nad malowaniem ikon, ale czułem, że ta forma nie wystarcza. Nie mogłem się skupić, wiedziałem, że dotychczasowe środki wyrazu przestały wystarczać i trzeba szukać czegoś, co pozwoli lepiej wyrazić tę tragedię. Zresztą, od malowania ważniejsza była myśl, czy uda nam się przeżyć. Nie wiedzieliśmy wtedy, czy nie wejdą z Białorusi, żeby spróbować zająć Lwów od północy.

26 lutego wziąłem akwarele i namalowałem obraz „Ku zwycięstwu”. Nad domem w barwach Ukrainy wisi bladoróżowa chmura z czaszką w środku, ma nierówny kształt, w środku plamy.

Jakby krwi. Ale tego domu nie zalewa.

– Chciałem pokazać, że śmierć nas otacza, że jest wszechobecna. Tak zresztą minęły te cztery lata. Wychodzisz z domu i nie wiesz, czy wrócisz, bo może akurat jakiś Rosjanin wyceluje rakietę balistyczną w kawiarnię, w której się umówiłeś na wywiad.

Namalowałem „Ku zwycięstwu” i odłożyłem je na bok. A potem wróciłem do akwarel i tak przez kilka miesięcy malowałem, codziennie jeden obraz. W ten sposób powstał zbiór ponad stu prac z początkowego okresu wojny. Po czterech latach jest ich znacznie więcej i na razie nic nie wskazuje, żebym miał ten cykl zamknąć.

To jest dla mnie najbardziej wstrząsająca opowieść o cierpieniu Ukrainy, jaką widziałem. Ten cykl porusza bardziej niż dokumenty, zdjęcia, obrazy z dronów. Namalowałeś wielką duchową opowieść o cierpieniu i spotkaniu ze złem absolutnym.

– Próbowałem namalować wszystko, co nas i mnie tutaj spotyka: żałobę, ból, śmierć, stratę, przeczucia, również ciągle obecną nadzieję.

I Antychrysta, który ma twarz Putina, patriarchy Cyryla, albo po prostu jest szarym kształtem, wyłaniającym się z tła.

– Jestem chrześcijaninem i opowieść o Antychryście nie jest dla mnie bajką, tylko rzeczywistością. Zatem tak, toczymy w Ukrainie walkę z Rosją w okopach, uciekamy przed rosyjskimi bombami i dronami. Ale na poziomie głęb-

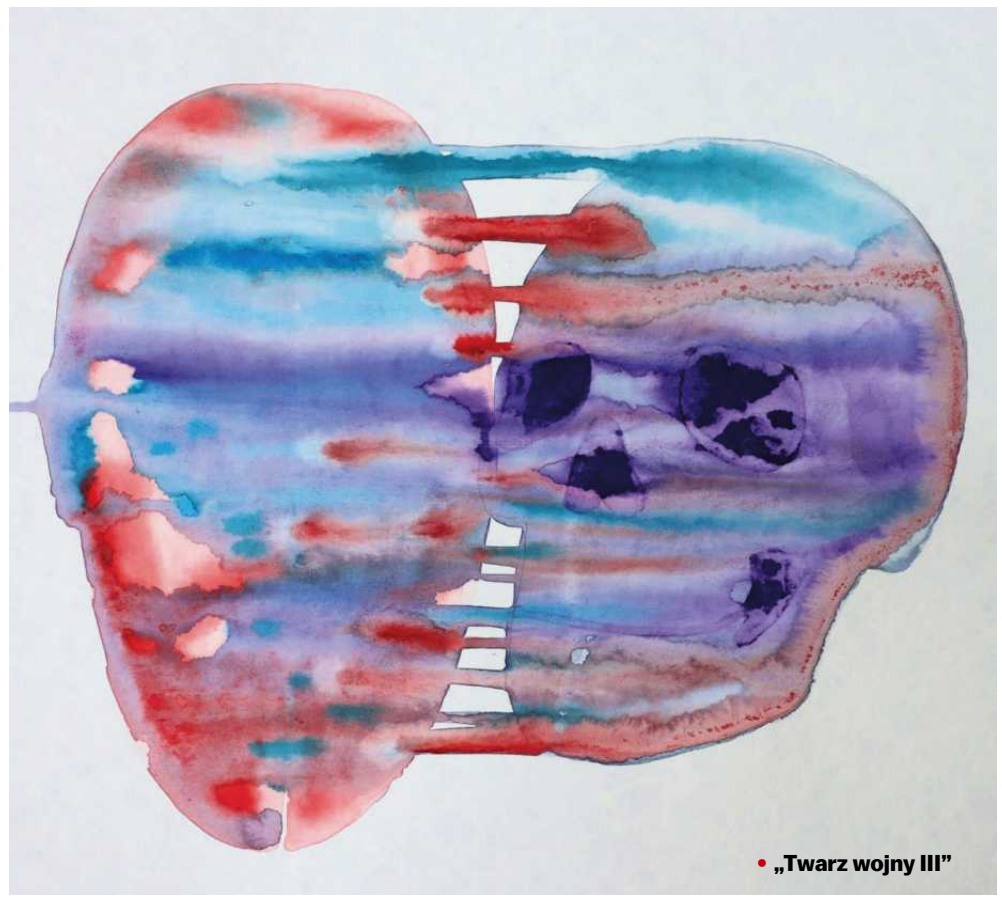

• „Twarz wojny III”

eprasa.pl 7b63c07719

szym to jest absolutnie jednoznaczna walka dobra ze złem.

Ten Antychryst przekonuje swoich poddanych, żeby walczyli w imię obrony chrześcijaństwa. Oni przecież niosą wyzwolenie od demona Zachodu.
– Ciężko jest mi patrzeć na to, jak swoimi wyznawcami manipuluje cerkiew prawosławna. To mnie, jako chrześcijanina, obraża. Formy chrześcijańskie służą w Rosji do oszukiwania ludzi, do prania mózgów i przekonywania, żeby poszli walczyć za rzekomo świętą sprawę. Generałowie i popi wspólnie wysyłają ludzi, żeby prowadzili krucjatę przeciwko Ukrainie, żeby mordowali, bombardowali, strzelali do cywilów.

Namalowałeś ikonostas w cerkwi prawosławnej. Zamiast świętych są tam szkielety. No i Cyryla, który ma głowę oddzieloną od tułowia, jakby odciętą.
– Ponieważ pod tą niby-duchową opowieścią rosyjskiej cerkwi prawosławnej kryją się przyziemne interesy. W Rosji prowadzi ona pod przykrywką wiary intratne interesy z władzą. Rzekomo wierząca Rosja opiera się na wielkim kłamstwie. Mówią ludziom, że walczą z europejskim Antychrystem, że chcą odbudowy prawdziwej wiary, że niosą nam zbawienie, podczas gdy niosą jedynie kłamstwo i śmierć.

Myślę o kolorach, jakie pojawiły się w twoim malarstwie po inwazji. Wcześniej były nieobecne lub rzadko ich używałeś. Czernie, szarości, fiolety, zgniła zieleń, nieostre plamy, które układają się w kształt ciała. Wszystko tu wygląda na zakrwawione, rozstrzelane, zbombardowane, z dziurami po kulach. Żółty dach dziurawią fioletowe czaszki, które ciągną za sobą nierówne smugi. Ciała martwych okupantów tkwią głowami w fioletowej ziemi.
– Taka jest nasza rzeczywistość od czterech lat. Nie mówię, że nie ma w niej nadziei, ale jeśli pytasz, co stało się, że wybrałem takie barwy, albo dlaczego one wybrały mnie, to odpowiadam: to najbardziej adekwatne kolory do opowieści o tragedii Ukrainy.

Malujesz ciała wygięte od podmuchu eksplozji. Zwłoki mężczyzny znalezione w studzience kanalizacyjnej w Buczy, kobietę torturowaną przez Rosjan. Mężczyznę z kikutem zamiast ręki, podpierającego się kulami.
Nie jestem przecież wyizolowany, oglądam, słucham, wspieram ukraińską armię. Ukraina jest torturowana, Ukraina jest męczennicą. W taki sposób niby zamierzchłe opowieści o pierwszych chrześcijanach stają się naszą rzeczywistością.

Akwarele to chyba nie jest oczywisty wybór dla ikonopisa?
– Moja droga do akwareli była długa. Najpierw studiowałem konserwację zabytków, tak, jak mój ojciec. Studiowałem w Szkole Sztuki Dekoracyjnej i Użytkowej im. Iwana Trusza. Zacząłem od nauki technik malarskich, bo to jest wiedza niezbędna w konserwacji. Uczyłem się malowania na desce, tempery, złocenia. Potem dostałem się na wydział sztuki sakralnej Narodowej Akademii Sztuk Pięknych. Zacząłem od kopiowania starych ikon, ale czułem, że to nie jest moja droga. Fascynował mnie Nowosielski i do dzisiaj jest dla mniej jednym z najważniejszych punktów odniesienia. To, w jaki sposób budował perspektywę, jak posługiwał się kolorem, to, że nie bał się przestrzeni i pustki i w swoich obrazach.

To, co malujesz obecnie, to są jeszcze ikony?
– Nie wiem. Na pewno ikona nie jest martwą, zastygłą formą i nigdy nie była, zmieniała się od początku swego istnienia. Jak idziesz do cerkwi, może ci się tak wydawać, bo widać tam kanoniczne przedstawienia. Ale ja uważam, że współczesna ikona nie może odwzorowywać wyłącznie przeszłości. Ona powinna odpowiadać na potrzeby teraźniejszości, bo tylko wtedy będzie żywa. To nie znaczy, że postuluję zerwanie z tradycją – wręcz przeciwnie. Przez lata inspiracji szukałem w ikonach zachodnioukraińskich, w kolorach formach. Bez tego doświadczenia nie byłoby mnie jako artysty.

FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA

• **Ból**

• **„Patriarcha Cyryl”**

*Danyło Mowchan

• urodzony we Lwowie w 1979, jeden z najwybitniejszych ukraińskich malarzy sakralnych. Studiował we Lwowskiej Szkole Sztuk Dekoracyjnych i Stosowanych im. I. Trusza na wydziale konserwacji, a następnie studiował sztukę sakralną w Lwowskiej Narodowej Akademii Sztuk Pięknych. Jego prace można oglądać w kościołach i prywatnych kolekcjach w Ukrainie, Polsce, Niemczech, Finlandii, Włoszech, Francji, Kanadzie i USA.

Nie jestem człowiekiem wierzącym, ale patrzę na twoje malarstwo i wydaje mi się, że ono odpowiada na jakąś trudną do wyrażenia potrzebę znalezienia duchowego sensu tej tragedii, jaka was spotyka. W twoim malarstwie to nie jest bezsensowna, nielogiczna rzeź, tylko opowieść o walce duchowej.
– Jestem chrześcijaninem, wierzę, że Chrystus jest synem bożym, należę do cerkwi greckokatolickiej i czuję, że mam do wykonania zadanie. Chcę o swojej wierze opowiadać. Jak sam zauważasz: moje malarstwo trafia w potrzeby ludzi nie tylko wierzących, w jakieś nieuświadomione pragnienia. Część akwarel trafiła do kolekcji ludzi, którzy deklarują się jako ateiści. Z jakichś powodów chcą mieć ikonę cierpiącej Ukrainy w domu.

Może jakąś odpowiedzią na to, co mówisz, jest brak dosłowności w moim malarstwie. Owszem, ja maluję człowieka w studzience, zdekapitowanego Kiryła czy węża z głową Putina, ale to są jednak obrazy symboliczne, a nie realistyczne. Może ludzie potrzebują jeszcze innej opowieści o Ukrainie niż ta dosłowna, którą można obejrzeć w wiadomościach. I nawet jak maluję obraz, dla którego inspiracją jest atak Rosjan na elektrownię atomową w Zaporożu, to próbuję odejść od realistycznej opowieści.

Zauważyłeś, żeby po inwazji Ukraińcy zwrócili się mocniej w stronę religii?
– Właśnie nie. Jak w Polsce się mówi? „Jak trwoga, to do boga”. Wydaje mi się, że liczba praktykujących nie zmieniła się jakoś zasadniczo. Tak może się wydawać, jeśli patrzysz na kościół garnizonowy we Lwowie albo miejsca, gdzie często odbywają się pogrzeby. Tak, te kościoły pękają w szwach.

Dla chrześcijan męczeństwo jest przystankiem w drodze do lepszego świata, a z cierpieniem wiąże się nadzieja. Masz w sobie nadzieję? Straciłeś na wojnie brata.
– Tak. Mychajło został powołany niedługo po inwazji. Poszedł do 115-ej brygady i 14 lipca 2023 zginął pod Bachmutem. Dla mnie nie ma żałoby bez nadziei. Wiem, że może to dla ciebie brzmieć dziwnie, tym bardziej, że sytuacja Ukrainy jest bardzo trudna, ale ja jej nie tracę. Ukraina jest bardzo, bardzo zmęczona, ale ma w sobie wielką siłę. I to nie jest siła wyłącznie mięśni, to nie jest siła żołnierzy czy naszego sprzętu. To jest siła duchowa, wynikająca również z pamięci o tym, co Rosjanie potrafili zrobić z ukraińską inteligencją. Pamięć o 1937 roku, kiedy wywieźli naszych intelektualistów do Karelii i po prostu rozstrzelali, jest ciągle żywa.

Jeśli rozmawiamy o malarstwie sakralnym, to ono również pokazuje siłę Ukraińców. Ukraina nie tylko walczy, ale równocześnie pracuje na innych polach. Nasze malarstwo sakralne nie zastygło w kształcie klasycznej ikony, ale jest fascynującym polem poszukiwań i nowych środków wyrazu.

Myślisz, że ta seria, którą rozpoczęłeś prawie cztery lata temu, będzie miała koniec?
– Na razie go nie widzę. Może zdarzyć się przecież i tak, że to będzie przeżycie, które zostanie ze mną nawet po zakończeniu wojny na długie lata.

I nie tylko ze mną, ale z całą Ukrainą. ●

eprasa.pl 7b63c07719

PLANETA ROSJA

Mają wszystko to, co Amerykanie, Włosi, Francuzi, Norwedzy – i wiele więcej.
Dlaczego Rosja atakuje i obraża się, zamiast się bogacić

Marta Panas-Goworska, Andrzej Goworski

„Mam wszystko, jestem niczym" – śpiewał Robert Kasprzycki. Rosja również ma wszystko: terytorium, przyrodę, surowce, kulturę, naukę, potencjał. Mogłaby być cool sąsiadką, intrygującą i atrakcyjną, której wszyscy trochę zazdroszczą i każdy chce do niej wpaść na ekscytującą imprezę. A jednak zachowuje się jak rozżalony bandyta. Dlaczego?

Początek nakreśliła Alexandra Vacroux, badaczka, którą znaliśmy jako dyrektorkę Davis Center for Russian and Eurasian Studies na Uniwersytecie Harvarda. Wysłaliśmy do niej mail z pytaniami: jak wyglądałaby alternatywna Rosja, taka, jakiej byśmy sobie życzyli – otwarta, sprawiedliwa, wykorzystująca geograficzny i kulturowy potencjał. Dostaliśmy automatyczną zwrotkę, że nie pracuje już w tej instytucji i należy pisać na adres Kyiv School of Economics. Przesłaliśmy – i odpowiedź pojawiła się po kilku godzinach. Przyjdzie nam jeszcze ją cytować. Ale na koniec Vacroux napisała: „Mieszkam w Kijowie od 18 miesięcy i właśnie doświadczam braku elektryczności i ogrzewania. Do tego jestem objęta zakazem i nie mogłabym pojechać do Rosji, nawet gdybym chciała – a nie chcę. Więc nie dostajecie perspektywy kogoś, kto marzy o rozwoju rosyjskiego *soft power*".

„Nawet gdybym chciała – a nie chcę" – odpowiada temu, co sami czujemy. Piszemy teraz książkę o losach naszej babci Zoi, zesłanej do Bijska. Rozważaliśmy wyjazd na Syberię, aby zobaczyć domek, w którym spędziła cztery lata. Marszruta przez Moskwę odpada – nie można tam jechać z oczywistych względów – ale zastanawialiśmy się, czy nie dostać się bocznymi drzwiami: przez Kazachstan i Nowosybirsk. Odpuściliśmy. Teraz możemy powtórzyć za Vacroux: nie pojedziemy, nawet gdybyśmy chcieli. A nie chcemy.

Tu od razu rozprawmy się z popularnymi ostatnio dziennikarzami albo podróżnikami, którzy jadą do Rosji. Daleko nam do stwierdzenia, że to agenci wpływu, choć pod ich materiałami wypowiadają się nie tylko trolle, ale i prawdziwi agenci. Na pewno jednak tacy autorzy nie opowiadają o dzisiejszej Rosji. Nie pokażą ośrodków, gdzie przetrzymywane są uprowadzone ukraińskie dzieci, nie zrobią wywiadu z oficerem, który celował w szpital w Mariupolu.

Mają jednak zaletę. Dzięki nim widać, że dzisiejsza Rosja to także kwestia moralna. Wyjazd tam to jak zdrada w małżeństwie. Sędzia nie skarze za to na więzienie, ale w lustrze twarz inna.

•

Gdyby nie Vacroux, rozpoczęlibyśmy od stereotypu dla nas trudnego do odrzucenia. To schemat odwróconego powiedzenia: dobry car, źli bojarzy. My mówimy: zły Kreml, zła administracja, a dobrzy Rosjanie. I bynajmniej nie wyczytaliśmy tego u generała Jaruzelskiego, który zaznaczał, że ze zsyłki przywiózł sympatię do zwykłych Rosjan. To słowa naszej babci. Zoja Goworska – która, notabene, na zesłaniu mieszkała dwie ulice od Jaruzelskiego – osiemnastoletniego Wojciecha herbu Ślepowron – wróciła z Syberii w 1946 roku. „Ruscy" całe jej życie wywrócili na nice, a jednak powtarzała: „Sowieci zabili mi mamę, zabrali dom, nawet psa, ale od Rosjanina krzywdy nie doświadczyłam".

Latem 1989 roku nadarzyła się okazja, żeby to zweryfikować. Mama zabrała mnie, dziesięcioletniego Andrzejka, do Leningradu. Jeszcze w Polsce nauczono mnie wierszyka: „Lenin, Lenin, gdzie ty był, na Fontankie nosik mył, wypił rjumku, wypił dwie, zakrużyłos' w gołowie, posliznułsia i upał, snowa nosik zamarał" (streszczając: Lenin pije na umór i pada na twarz w śnieg). Wyrecytowałem go leningradzkiej gospodyni, a ta kazała się nam wynosić. Był piękny wieczór. Jechaliśmy taksówką na dworzec, a tam – biletów nie ma. Mama w płacz, podeszła kobieta: „Co się stało?". Mama opowiedziała. Nieznajoma zaprosiła nas do siebie. Przemieszkaliśmy dwa tygodnie w dwóch pokojach, razem z nią, jej mężem i córką studentką.

Minęło trzynaście lat i w 2002 roku przyjechałem do Petersburga do kuzyna. Milicjanci zamknęli mnie za kratami, żeby wymusić łapówkę. Pretekst – rzekomy brak wizy. Chciałem widzieć w nich Rosjan, a nie przedstawicieli państwa. Od słowa do słowa – zamiast stu dolarów zadowolili się paczką papierosów i rozstaliśmy się po koleżeńsku.

Te anegdoty wskazują źródło schematu. Przez stulecia żyliśmy obok siebie, lecz pod rosyjskim panowaniem i oddzielanie państwa od ludzi było aktem higieny psychicznej. Pozwalało spojrzeć w oczy sąsiadowi i nie widzieć w nim oprawcy.

O ile jednak taka perspektywa wskazuje, skąd bierze się empatia i dlaczego schemat jest trwały, o tyle nie wyjaśnia: dlaczego Rosja, dysponując olbrzymim potencjałem, pozostaje bandytą? Precz więc ze schematami! Przejdźmy do ćwiczenia wyobraźni.

•

Turystyka – pierwsze, co przychodzi do głowy, gdy uświadamiam sobie po raz kolejny, za każdym razem ze zdziwieniem, że Rosja jest geograficznym wszechświatem: Włochy, Kanada, Hiszpania i Skandynawia w jednym.

Ma góry w wielu rodzajach i odsłonach, włącznie z siedmiotysięcznikami, a pięciotysięczników tyle, że wiele nie doczekało się jeszcze nazwy, ma Bajkał – z unikalną fauną i bogactwem kultur lokalnych społeczności.

Ma stepy, tajgę i tundrę, ciepłe morze i plaże w Soczi i Gelendżyku, zimne morza Arktyki.

Ma Ermitaż z milionami eksponatów. Ma Tretiakowską Galerię z Malewiczem, Kandinskim, awangardą, która w 1915 roku była bardziej paryska niż Paryż.

Ma tradycje przemysłowe: Russo-Bałt produkujący automobile rywalizujące z Rolls Roycem, fabryki aeroplanów, ma konstruktorów, od Ciołkowskiego przez Tupolewa po Sikorskiego (tak, tak, helikopter wymyślono w Rosji), których nazwiska mogłyby być globalnym *brandem*.

Ma kosmos i literaturę, i kino, i muzykę, i wielkie, sięgające XIX wieku, tradycje naukowe. I ma całkiem niezłą sieć kolejową oraz lotniczą.

A więc ma wszystko, by stać się turystyczną potęgą – w turystyce kulturalnej, industrialnej, surwiwalowej, przyrodniczej, górskiej. I tej zwyczajnej – plażowej, city break, all inclusive. Przed wojną ta gałąź gospodarki przynosiła Rosji około 60 miliardów dolarów rocznie. W marzeniach miały być setki miliardów. Dlaczego – oprócz oczywistych czynników, takich

eprasa.pl 7b63c07719

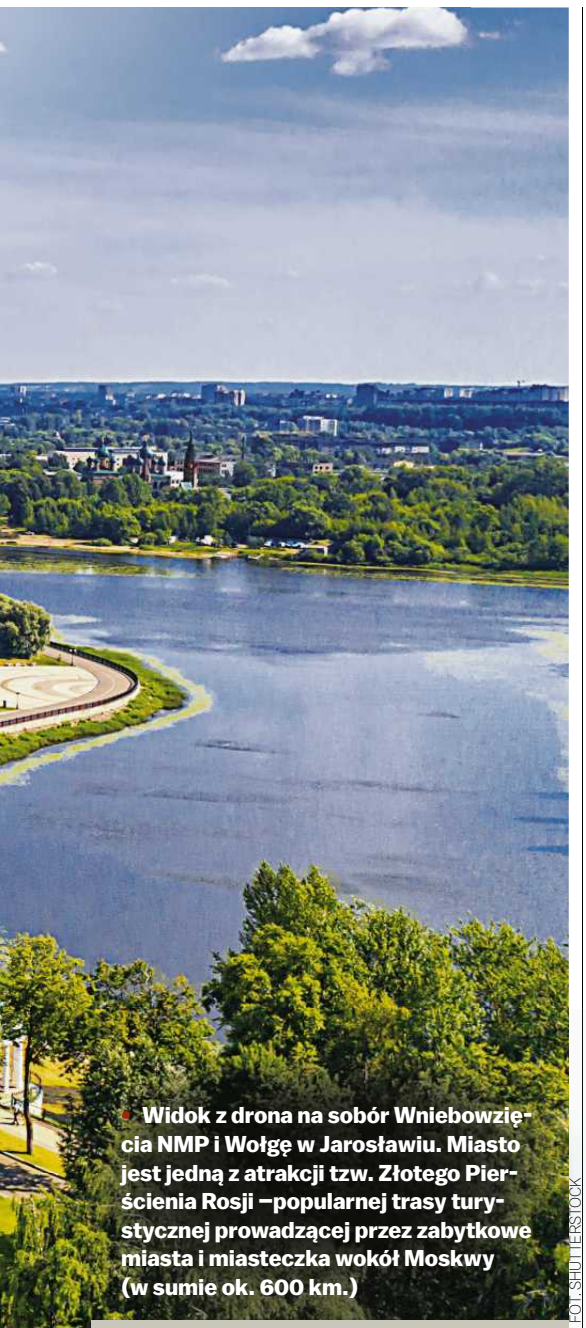

FOT. SHUTTERSTOCK

• Widok z drona na sobór Wniebowzięcia NMP i Wołgę w Jarosławiu. Miasto jest jedną z atrakcji tzw. Złotego Pierścienia Rosji –popularnej trasy turystycznej prowadzącej przez zabytkowe miasta i miasteczka wokół Moskwy (w sumie ok. 600 km.)

Jak głupi car zarżnął kurę złotonioskę

60 mld dol. rocznie
• przynosiła Rosji turystyka przed rozpętaniem wojny w Ukrainie

20 proc.
• tylko tyle swojego potencjału turystycznego wykorzystuje Rosja

40 proc.
• o tyle wzrosły ceny hoteli w Rosji po inwazji na Ukrainę. Ceny lotów na liniach wewnętrznych – o 100 proc.

70 proc.
• tylu Rosjan w latach po ataku na Ukrainę zrezygnowało z wakacji we własnym kraju

680 tys.
• ludzi pracowało w rosyjskim sektorze badań i rozwoju w 2020 roku

800 tys.
• studentów było na kierunkach technicznych w Rosji w 2020 roku

O 70 proc. mniej
• zagranicznych turystów przyjechało na Krym po jego aneksji

jak rok 2014 z aneksją Krymu oraz „zielonymi ludzikami" w Donbasie oraz dobrowolne stanie się pariasem po rozpętaniu wojny w Ukrainie – to mrzonki?

•

Rosja jest największym krajem świata, ale ta wielkość – przy braku inwestycji – staje się przekleństwem. Prawo.ru podaje: 17 milionów kilometrów kwadratowych i dziewięć stref klimatycznych – a jednocześnie wykorzystanie potencjału turystycznego sięga zaledwie 20 procent. We Francji czy USA – 80-90 procent.

Z 1300 lotnisk czynnych jest trzysta. 70 procent rosyjskich dróg nie spełnia międzynarodowych norm bezpieczeństwa i jakości. Na Syberii wciąż popularne są *zimniki* – drogi po zamarzniętych rzekach. Atrakcja? Owszem. Ale też dowód, że bez inwestycji turystyka pozostaje ekstremalna. Rosjanie zajmują 63. miejsce w światowym rankingu konkurencyjności turystycznej. Wizy, transport i sezonowość – to główne bariery.

W efekcie Rosja przegrywa z krajami o podobnych zasobach. Turcja ma góry, morza i bogatą historię – i przyjmuje dziesiątki milionów turystów. Tajlandia oferuje egzotykę i plaże przez cały rok – i również umie to wykorzystać. Rosja ma to samo co Turcja i to samo, co Tajlandia, a także to, co ma Kanada, Francja, Niemcy, Skandynawia, a nawet Tunezja – ale nie ma (znów – pomijając ostatnie cztery lata zdewastowanego wizerunku i samoizolacji) efektywnego marketingu i zwyczajnej geograficznej dostępności.

W 2013 roku – ostatnim „normalnym", czyli przed pierwszą agresją na Ukrainę, która znacząco nadszarpnęła rosyjski image – Rosję odwiedziło rekordowe 28,4 miliona turystów zagranicznych. W 2025 roku – co chyba nie dziwi – już tylko 5,5 miliona. Dla porównania: sama Polska przyjęła ich 15,8 miliona (2013) oraz 21,4 miliona (2025). W przeliczeniu na mieszkańca i kilometr kwadratowy różnica jest jeszcze wyraźniejsza: nawet w rekordowym 2013 roku Rosja przyjmowała zaledwie około 0,20 turysty na mieszkańca i 1,66 turysty na kilometr kwadratowy, gdy Polska odpowiednio 0,42 oraz ponad 50.

Vacroux nie ma złudzeń: „Rosja nigdy nie rozwinęła kultury gościnności turystycznej. Na turystów się krzyczy, bo nie rozumieją procedur".

Potwierdzają to sami Rosjanie swoimi wakacyjnymi i podróżniczymi wyborami. Z badań ekonomistki Anny Aleksandrowej wynika, że w 2017 roku aż 80 procent przychodów z turystyki w Rosji pochodziło z wyjazdów Rosjan za granicę. Zagraniczni turyści odwiedzający Rosję, to ledwie 10 procent, z czego 70 procent, niczym w czasach sowieckiej obsesji tajemnicy i paranoi na punkcie szpionów z Zachodu, przypadało na Moskwę i Petersburg. Syberia, wielka i piękna, ale przede wszystkim emocjonująca „zagraniczniaków" jako trochę straszny, a trochę ekscytujący symbol rosyjskości – 5 procent. Reszta kraju, w tym arktyczna, „skandynawska" Kamczatka, alpejski Ałtaj czy autonomiczny region żydowski Birobidżan z kurortami narciarskimi – pozostawała turystyczną pustynią.

Pełnoskalowa wojna, którą Rosjanie rozpętali w Ukrainie, dobiła to, co już ledwo funkcjonowało. Jie Tan i Mingming Cheng z Curtin University pokazują w analizie z 2024 roku ramy medialne – czyli sposób, w jaki zachodnie media wpływały na zmianę odsetka osób wyjeżdżających do Rosji. Według badaczy spadek wyjazdów sięgnął 90 procent. Anektowany Krym stracił około 70 procent turystów zagranicznych. Od 2023 roku widoczne jest odbicie – około 10 procent – wśród gości z Azji. Ale wciąż najzamożniejsi – i robiące najlepszy marketing szeptany – Europejczycy i Amerykanie stracili zainteresowanie „planetą Rosja".

Sama zaś Rosja robi wszystko, żeby zdusić kurę, która mogłaby znosić złote jaja. Wprowadzenie prawa wymierzonego w osoby LGBT+ w 2022 roku zamknęło drzwi przed kolejną, wcale liczną, zainteresowaną światem i majętną, grupą podróżnych. A Forbes.ru ostrzegał rok później, że nawet – i tak skromna – wewnętrzna turystyka staje się luksusem: ceny hoteli wzrosły o 40 procent, lotów – o 100 procent. Siedemdziesiąt procent Rosjan rezygnuje z wakacji w kraju, bo ich na to nie stać.

Vacroux pointuje: „Rosjanie zakładają, że ich cywilizacja jest najlepsza: jeśli turysta tego nie widzi, nie warto się starać".

O soft power Rosji zapytaliśmy również Simona Anholta, brytyjskiego eksperta od marketingu i polityki publicznej. – Rosja ma więcej niż wystarczający potencjał, by być podziwiana i szanowana. Ale od dekad wybiera krótką drogę – manipulację zamiast budowania zaufania. Przed atakiem na Ukrainę problem leżał po obu stronach. Zachód nie zrewidował obrazu Rosji z czasów zimnej wojny. A Rosja odpowiadała: skoro i tak nas nie lubią, po co się starać? – tłumaczy autor książek „Brand America" i „Sprawiedliwość marek. Jak branding miejsc i produktów może uczynić kraj bogatym, dumnym i pewnym siebie". – A teraz świat Tołstoja, Dostojewskiego, Rachmaninowa i Czechowa został odcięty nową żelazną kurtyną.

Putin wcale nie jest rosyjskim tradycjonalistą. To ostatni z serii brutalnych modernizatorów Rosji, po Iwanie Groźnym, Piotrze Wielkim, Katarzynie Wielkiej i Stalinie

To samo można powiedzieć o Bajkale, Elbrusie i Ermitażu. Są, ale jakby ich nie było.

Inaczej stawia sprawę Richard Sakwa, profesor Uniwersytetu w Kent, autor książek o Rosji takich jak „Putin's choice" czy „Russia's futures". Kiedy zapytaliśmy, dlaczego Rosja woli być antyrajem, choć bez trudu mogłaby być magnesem dla świata, uznał tak sformułowane pytanie za przejaw rusofobii i obarczył winą Zachód: „Takie pytanie może dotyczyć wielu innych krajów, nie tylko Rosji. A podtekst w tym przypadku sugeruje naturalny problem z rosyjską cywilizacją, co moim zdaniem jest mylące. Bo odzwierciedla historyczną rusofobię graniczącą z rasizmem". Interesująca obserwacja w ustach badacza, którego ojciec był Polakiem, a urodził się i pracuje w kraju, na którego terytorium rosyjskie służby ostentacyjnie truły wrogów, ochoczo potwierdzając stereotypy.

•

Gospodarka – i tu Rosja ma wszystko, czego potrzeba do sukcesu.

Ma surowce kreujące 1,5 procent światowego PKB z samego wydobycia – a to dane za 2023 rok, gdy na kraj spadały kolejne sankcje, wycofanie się zachodnich koncernów z ich technologiami cofnęło o dekadę rosyjską eksploatację złóż, a „flota cieni" i sprzedaż ropy czy gazu po zaniżonej cenie Chinom nie rekompensowały utraty europejskich odbiorców.

Ma nieźle wykształcone społeczeństwo, liczne uczelnie o ścisłym i technicznym profilu – w 2022 roku UNESCO zaliczało ją do światowej naukowej czołówki w matematyce, fizyce, chemii i inżynierii – i ma imponujące tradycje naukowo-badawcze. Dwa lata przed atakiem na Ukrainę na kierunkach technicznych studiowało 800 tysięcy osób, a w badaniach i rozwoju – państwowych i prywatnych – pracowało 680 tysięcy ludzi. Patrząc na same liczby, większy sektor technologiczny mają tylko USA, Chiny i Japonia.

A jednak jej PKB jest mniejsze niż Włoch. Kraj, który dał światu gips chirurgiczny, tablicę Mendelejewa, podwaliny kosmonautyki i techniki rakietowej oraz transplantologii, Tetrisa, pomysł na diody LED, banki krwi i kody pocztowe, nie jest technologiczną i innowacyjną potęgą. Musi zastępować zachodnią elektronikę chińskimi substytutami czy kanibalizować samoloty pasażerskie z braku zachodnich części zamiennych, z których składała maszyny niby własnej konstrukcji.

Częsta odpowiedź brzmi: w Rosji innowacje nie są koniecznością, bo pieniądze bez wysiłku płyną z zewnątrz, ze sprzedaży węglowodorów. Ale nie wystarczy nazwać tej sytuacji klątwą surowcową. Chyba najbliżej sedna sprawy jest ekonomista z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles: „Rosja byłaby nieco bardziej demokratyczna, gdyby nie miała ropy i gazu".

Politolog Michael L. Ross rozwija tę myśl: w państwach rentierskich ropa (gaz, złoto, diamenty, uran, rzadkie metale, niepotrzebne skreślić) zastępuje podatki. Dochody z zasobów naturalnych, zwłaszcza węglowodorów, dominują w budżecie, co zmniejsza zależność władzy od podatków, a więc osłabia możliwość wywierania presji przez obywateli i nie motywuje do rozkręcania czy to innych gałęzi gospodarki, czy prywatnej przedsiębiorczości wykraczającej poza handel i usługi. Wystarczy jedna liczba – ropa i gaz to 30 procent rosyjskiego budżetu – i wszystko jasne.

Ale w takim razie – co z Norwegią, która na takiej samej ropie zbudowała dobrobyt oraz wizerunek atrakcyjnego, altruistycznego, przyjaznego państwa?

W przypadku Rosji do modelu surowcowego trzeba dodać centralizację. Władimir Putin, obejmując urząd w 2000 roku, zbudował system, który Nikołaj Pietrow, ekspert New Eurasian Strategies Center i Chatham House, wcześniej związany z Carnegie Moscow Center, opisał jako wahadło ku centralizacji. Federalizm fiskalny w Rosji to fikcja – 70 procent dochodów regionów to transfery z Moskwy – a im więcej pieniędzy z góry, tym mniejsza presja na reformy. I tym łatwiejsze podporządkowywanie – czy to z konieczności, czy z premedytacją – regionów Moskwie. Każda dotacja i odebrana kompetencja napędzają kolejne. Wojna tylko przyspieszyła ten proces. Zacieśniono kontrolę nad lokalnymi budżetami, regionalnymi instytucjami, Kreml ustawia im już wszystkie priorytety, kierując się wyłącznie polityczną kalkulacją. Regionalne elity opierają się, bo widzą zagrożenie dla swoich interesów – ale to bierny opór i inercja, bo są zastraszone, ale też zbyt zależne, by otwarcie się postawić.

Do tego dochodzi militaryzacja. W 2025 roku Rosja wydawała na obronę 7,3 procent PKB – najwięcej od zimnej wojny, a projekty budżetu na 2026 i 2027 zakładają już 8 procent.

eprasa.pl 7b63c07719

Szwedzcy ekonomiści Johan Gars i Daniel Spiro wyliczyli, że wzrost wydatków wojskowych o 10 procent zwykle redukuje wzrost PKB o 0,5 procent. Niby nic, ale po dekadzie to już 5 procent PKB w plecy. Owszem, jak zauważa Laura Solanko z Banku Finlandii, militaryzacja Rosji po 2022 roku przyspieszyła średni wzrost jej gospodarki o 2 procent – ale kosztem sektorów cywilnych. Władisław Inoziemcew, uznany rosyjski ekonomista, nazwał to *deathonomics* – gospodarką śmierci, gdzie wojna napędza wyniki w Excelu i karmi wybrane grupy inżynierów, robotników oraz biurokratów, ale izolacja redukuje handel, spada oraz uwstecznia się technologicznie i jakościowo produkcja cywilnej elektroniki, sprzętów domowych czy samochodów, kurczą się rezerwy finansowe, a demografia obraca się w gruzy.

Nic dziwnego, że hiszpański analityk Antonio Legaz sięga po antyczną analogię: „Rosja jak Rzym – zależy od łupów wojennych. Może uwięznąć w pułapce permanentnej wojny, gdzie pokój paradoksalnie przedstawia większe zagrożenie niż konflikt". Z tej perspektywy zakończenie wojny wa Ukrainie nie opłaca się Moskwie. *Bellum se ipsum alet*, wojna sama się wyżywi – mówił już Kato Starszy.

Wisienką na zatrutym torcie jest imperialna struktura, znacznie droższa w utrzymaniu niż państwo narodowe. Bo wbrew temu, co można sądzić, system totalitarny połączony z imperializmem – jak w Rosji czy Chinach – to nie tylko darmowa praca więźniów w łagrach albo Ujgurów w wojskowych fabrykach i kopalnie złota przejmowane w odległych krajach Afryki. Jak dowodzą badacze, choćby M Shafiqur Rahman czy Jakob de Haan, autorytaryzm w wydaniu wielonarodowym i neokolonialnym przynosi „centrali" straty, nie zyski.

Rahman wykazał, że w takich autokracjach PKB per capita jest niemal ośmiokrotnie niższe niż w demokracjach narodowych (w sensie wielonarodowych lub wielokulturowych, ale w ramach jednego wspólnego państwa), bezrobocie prawie czterokrotnie wyższe, a wskaźnik morderstw ponad sześciokrotnie wyższy – co generuje ogromne ukryte koszty dla budżetu i bezpieczeństwa. Z kolei de Haan pokazuje, że w organizmach państwowych z fikcyjnymi wyborami, zespalających pod jedną władzą wiele narodów o nierównym statusie i prawach – wypisz wymaluj jak w Federacji Rosyjskiej – deficyt budżetowy rośnie w roku wyborczym o 0,6 punktu procentowego. I nie jest odwracalny – dług kumuluje się z cyklu na cykl, a brak niezależnych instytucji kontroli sprawia, że koszty są nie do opanowania.

Desperacko poszukując pieniędzy na neokolonialne i imperialne awantury – od wojny w Ukrainie po próby utrzymania twarzy w Syrii czy wpływów w Afryce, Kreml traktuje kraje Federacji Rosyjskiej nie jak zasób rozwojowy (patrz punkt pierwszy i drugi: turystyka, przemysł, nauka), lecz jak kolonię. Ludmiła Listrowaja z Uniwersytetu Michigan mówi o ekstraktywnym – czyli rabunkowo-wyprzedażowym – charakterze takiego państwa. Rosja zagarnia i „kapitalizuje", czyli przejada lub wyprzedaje za bezcen, wszystkie zasoby z peryferii. Obywateli z Jakucji czy Kaukazu również traktuje właśnie jak zasób, który można wydobyć i rzucić na front.

Aby z tym zerwać, należałoby rozmontować rentierskie mechanizmy. Lecz dla elit to nie do pomyślenia – wygodnie i bezpieczniej trwać w przekonaniu, że pytania o możliwą zmianę są „odiozne", obrzydliwe. Nie żeby kremlowskie kadry nie miały świadomości wszystkich niszczycielskich mechanizmów, marnowanego potencjału i traconych szans. Kierują się prostą, cyniczną kalkulacją: dla nas, naszych rodzin, spadkobierców i zauszników wystarczy, a potem choćby potop.

Nie inaczej – obrzydliwe. Właśnie tak odpisał nam Siergiej Karaganow, znany politolog i doradca Putina: „Wsie woprosy odiozny do idiotizma. Izwinitie, niet". „Wszystkie pytania obrzydliwe do granic idiotyzmu. Wybaczcie, nie". A zapytaliśmy: „Jakie czynniki historyczne i mentalne sprawiają, że Rosja stawia na siłę wojskową zamiast otwarcia gospodarczego i kulturalnego, co pozwoliłoby jej stać się miksem Kanady, USA i Japonii? Dlaczego Rosja nie eksportuje »russkiego miru« przez kulturę, turystykę i innowacje, a narzuca go siłą?".

• **Turystyczne busy i poduszkowce na skutym lodem Jeziorze Bajkał. To najgłębsze jezioro na świecie – 1642 m. Przy długich mrozach (minus 20-30 st. C) grubość lodu dochodzi tu do 70-120 cm**

FOT. MISTERVLAD/SHUTTERSTOCK

• **Sankt Petersburg. Wielka Włoska Sala w Nowym Ermitażu. To jedna z pięciu głównych części kompleksu muzealnego Ermitaż zbudowana w latach 1842-52**

•

A więc teraz o rządzących. To cała kasta, ale trudno nie zacząć od Putina. Slavoj Žižek, słynny filozof marksista i wolnomyśliciel, zauważa nieoczywiste: „Putin wcale nie jest rosyjskim tradycjonalistą. To ostatni z serii brutalnych modernizatorów Rosji, po Iwanie Groźnym, Piotrze Wielkim, Katarzynie Wielkiej i Stalinie".

Rosjanie zakładają, że ich cywilizacja jest najlepsza: jeśli turysta tego nie widzi, nie warto się starać

Ale gdzie tu modernizacja, skoro kraj zatacza się od kryzysu do kryzysu i biednieje? Odpowiedzi udziela brytyjski politolog David G. Lewis: prezydent autokrata i jego ludzie – podobnie jak Iwan Groźny czy Stalin – pod pojęciem modernizacji rozumieją coś innego niż postęp. To nie jest reżim zbrodniczy, lecz kreatywny, jak Trzecia Rzesza z jej ambicjami technologicznymi i architektonicznymi, z pragnieniem przebudowywania niemieckiej rzeczywistości, z konserwatywną obyczajowością i rasizmem, ale wiarą w modernizację materialną. Ani nie Chiny, które kneblują obywateli, nie dają im swobód politycznych, ale kanalizują ich energię z korzyścią dla reżimu, pozwalając realizować się w interesach, nauce, wynalazczości. Rosyjskie elity przedkładają niewydolny, lecz przewidywalny porządek utrzymywany przemocą nad innowacje, inwestycje, budowę soft power – które dałyby ich krajowi to, o co rozpętują wojny, czyli mocarstwową pozycję, szacunek świata, zaspokojenie dumy – bo na krótką metę, mierzoną ich biografiami, to mniej ryzykowne.

Lewis uważa, że kluczem do zrozumienia działań Rosjan jest trauma i przywołuje casus Putina: Drezno 1989, młody oficer patrzy na tłum pod siedzibą KGB, dzwoni do Moskwy: „Moskwa milczy". To jest opowieść założycielska pokolenia, które rządzi dziś Rosją. Poczucie, że silne państwo może zniknąć w kilka dni, rodzi obsesję suwerenności absolutnej, wolnej od jakichkolwiek ograniczeń. W tym sensie „modernizatorstwo" polega na redukcji polityki do prostych opozycji – chaos versus porządek – oraz eliminacji pluralizmu. To trauma sprawia, że putinowskie elity nie chcą wolności osobistej i rozwoju – chcą stabilizacji. Tylko nie dostrzegają, że płacąc nią krwią sąsiadów oraz samych Rosjan, robią to, czemu chcą zapobiec: destabilizują kraj.

1 RP

eprasa.pl 7b63c07719

FOT. EVGENII BAKHCHEV/SHUTTERSTOCK

FOT. R.M. NUNES/ISTOCKPHOTO/GETTY IMAGES

• **Moskwa. Widok na monumentalny socrealizm – Pałac Łomonosowa, gmach Uniwersytetu Moskiewskiego. Za nim wieżowce Centrum Biznesowego**

•

Leonid Praisman, nasz znajomy historyk z Izraela, autor książek o rewolucji bolszewickiej, cofa się o kilka kroków i patrzy z perspektywy całego XX wieku. Dla niego rok 1917 i rok 1991 to dwa otwarcia, dwa momenty, kiedy Rosja mogła pójść w stronę demokracji – i za każdym razem wybierała coś przeciwnego.

W lutym 1917 rewolucja zmiotła carat i zapanowała swoboda ustrojowa. Osiem miesięcy później bolszewicy wprowadzili terror, a Komucz w Samarze, najbardziej demokratyczny z rządów wyrastających jak grzyby po deszczu, upadł, bo chłopi bali się powrotu obszarników. W panującym krwawym chaosie i biedzie ludzie chcieli porządku. W latach 90. – przypomina Praisman – nadzieje też rozwiał chaos, grabieżcze uwłaszczenie i przestępczość. I znów ludzie zapragnęli porządku, a poprawę poziomu życia – w istocie owoc reform z lat 90. i wysokich cen ropy – przypisali Putinowi. Stąd gorzka konkluzja: Rosja jest skazana na dyktaturę. Ale nie z powodu brutalności czy jakichś – jak chce wyższościowa teoria – eurazjatyckich obciążeń mentalnych u rządzących, tylko przez pielęgnowanie obojętności wobec tego, kto rządzi – „byle nie było gorzej”.

Putin nie stworzył tej obojętności. On ją zagospodarował. Jego osiągnięciem jest udoskonalenie starych narzędzi Kremla, takich jak korupcja czy polityka historyczna – i wypracowanie nowych w rodzaju outsourcingu przemocy.

Autorzy z Uniwersytetu w Rijece, David Lewis i Tena Prelec dowodzą, że nielegalne finanse nie są patologią systemu, ale jego klejem – metodą spajania elit i blokowania presji na reformy. Korupcja też nie jest błędem czy patologią systemu, ale narzędziem. Dobrze ilustruje to opowieść norweskiej politolożki Kirsti Stuvøy o realiach współczesnych rosyjskich „monomiast”, czyli wielkich ośrodków zależnych od jednego zakładu. Tam króluje codzienny autorytaryzm – z jednej strony bierność mieszkańców, z drugiej kontrola władz – a spoiwem jest korupcja. „Monomiasta”, których mieszkańcy, w ZSRR żyjący na wysokiej stopie, odczuli upadek imperium wyjątkowo boleśnie i sami oferowali młodemu, przejmującemu władzę Putinowi korupcyjną „sdiełkę” (Trump powiedziałby „deal”) – głosy za dotacje i powrót opiekuńczej władzy – to laboratoria putinizmu.

Swoje robi polityka historyczna. Félix Krawatzek z Centre for East European and International Studies w Berlinie oraz George Soroka, politolog z Harvarda piszą, że w Rosji oficjalny i zrytualizowany konsensus wokół „Wielkiego Zwycięstwa” nie zachęca do krytycznych dociekań, co też konserwuje obojętność – ta część społeczeństwa, której nie interesuje hurapatriotyzm i defilady, odcina się od przeszłości, zamiast o niej dyskutować.

No i putinowska nowinka, czyli outsourcing przemocy z wykorzystaniem nacjonalistycznych organizacji, takich jak Rosyjska Wspólnota czy Północny Człowiek. Niegdyś spontaniczny patriotyczny aktywizm dopalony oficjalnym uznaniem i dużymi pieniędzmi zmienił się w zorganizowane struktury gotowe do użycia siły w każdej chwili – na ulicy, wobec migrantów, opozycjonistów, dziennikarzy. To niewątpliwie sukces Kremla, bo dotychczas środowiska nacjonalistyczne trzymały się zasady, którą przejęły od „worów w zakonie”, czyli świata przestępczego: z administracją nie współpracujemy, z władzą nie gadamy, władzą gardzimy.

•

Nawet opozycja nie wychodzi poza tę matrycę. Amerykański politolog Richard Arnold w eseju „From Russia with hate” analizuje przypadek Aleksieja Nawalnego. Zadaje niewygodne pytanie, czy jego nacjonalizm był strategiczny, czy szczery. I odpowiada: „kompromitował swoje liberalne zasady, zawierając sojusze z nacjonalistycznymi ekstremistami we wczesnych latach działalności politycznej, aby przyciągnąć poparcie. A po 2014 roku popierał rezultat – choć nie metody – aneksji Krymu”. Nie przywołujemy tych słów, by odebrać Nawalnemu moralny autorytet, ale żeby pokazać, że również najczystsi, najbardziej zaangażowani krytycy Putina nie byli i nie są wolni od logiki imperium.

I tu wracamy do Karaganowa. Rosyjskie elity na wszystkie, nawet sensowne i podsuwane z życzliwością rozwiązania z zewnątrz, odpowiedzą tak samo, jak on na naszego maila: „Izwinitie, niet”. Wróciliśmy właśnie po latach do „Anny Kareniny” i nie wątpimy, że powiedziałby to również książę Szczerbacki, ojciec Kitty. On i dziesiątki innych bohaterów z naszych wyobrażeń o Rosji – mówią „przepraszam, nie”.

•

Na koniec marzenie – wpisujące się to wszystko, co powiedzieliśmy o rosyjskim potencjale, nęcące wspaniałymi możliwościami. I bardzo niebezpieczne – bo znakomicie wpisujące się w starą jak Imperium Rosyjskie metodę wykorzystywania ludzi dobrej woli i idealistów. Richard Sakwa przypomina o idei „Greater Europe” – wspólnej przestrzeni od Lizbony do Władywostoku – i pisze: „Nadszedł czas, aby Europa przekroczyła swoje niekończące się, coraz bardziej bezsensowne i szkodliwe wojny domowe, i stworzyła Eurazjatycką Organizację Traktatową od Lizbony do Władywostoku, wraz z rozwiązaniem NATO i OUBZ [Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym, czyli Rosji i pięciu krajów postsowieckiej Wspólnoty Niepodległych Państw]. Czas na autentyczny europejski pan-kontynentalizm, jak proponowali de Gaulle, Gorbaczow, Mitterrand i wczesny Putin”.

Dla niego to praktyczna, rozsądna alternatywa: integracja Rosji z Europą oparta na najlepszych praktykach Wschodu i Zachodu.
W podobnym duchu mówił ostatnio kanclerz Niemiec Friedrich Merz, który podczas noworocznego spotkania z przedsiębiorcami w Halle nazwał Rosję „naszym największym sąsiadem” i zapowiedział, że prędzej czy później trzeba będzie odnowić relacje Unia Europejska – Moskwa. To echo *Wandel durch Handel*, „ocieplenia poprzez interesy”, rozsądnego, jak wydawało się Niemcom, założenia sprzed lat, że Rosjanie są, jacy są, ale w trakcie pokojowej, partnerskiej współpracy biznesowej dostrzegą korzyści z porzucenia nieufności i otwarcia się na świat.

Ale po pierwsze, pozostając na gruncie czystego pragmatyzmu – taka „Europa Plus” nie stałaby się największą gospodarką świata. Jej łączny nominalny PKB byłby nadal mniejszy niż Stanów Zjednoczonych. I choć większy niż Chin, to siłą nabywczą ustępowałaby obu tym krajom. A po drugie – w Rosjanach nieufność i przekonanie o szczególnych względach należnych Rosji z tej racji, że jest Rosją, są zbyt głęboko zakorzenione (patrz Nawalny) i skończyłoby się tak, jak skończyło już dwa razy, za zachowawczego modernizatora Stalina i za zachowawczego modernizatora Putina. Tyle że może mniej krwawo.

Ale kontynuujmy ćwiczenie myślowe z dobrej woli i życzliwej wyobraźni. Wojna kiedyś się skończy, bo musi, a wtedy mamy przecież inną koncepcję, autorstwa Andrieja Sacharowa, laureata pokojowego Nobla z 1975 roku. Ten twórca radzieckiej bomby wodorowej, później dysydent, w eseju „Świat za pół wieku” z 1974 roku proponował konwergencję: zbliżenie socjalizmu i kapitalizmu. Z Zachodu wziąć wolność, wolny rynek, ze Wschodu – troskę o wspólne dobra.

Najoryginalniejsze w tej wizji było odejście od państw narodowych na rzecz nowej struktury: podział Ziemi na przestrzeń pracy (zurbanizowaną, 10-20 procent lądów) i chronioną (80-90 procent, rezerwat biosfery). Większość Rosji mogłaby stać się takim rezerwatem – bo na strefę gospodarczą znaczna część jej terytorium raczej się nie nadaje bez gigantycznych nakładów, poświęceń i zniszczeń. „Wyobrażam sobie – pisał Sacharow – że w przestrzeni chronionej ludzie także prowadzą życie mające realny społeczny cel – nie tylko odpoczywają, ale i pracują rękami i głową, czytają książki, rozmyślają. Mieszkają w namiotach lub w domach zbudowanych własnoręcznie jak domy ich przodków. Słyszą szum górskiego potoku lub po prostu cieszą się ciszą, pięknem dzikiej przyrody, lasów, nieba i chmur. Ich podstawowa praca to pomoc w zachowaniu przyrody i zachowaniu samych siebie”. Ludzie spędzają część życia w jednej przestrzeni, a część w drugiej. Władzę na całej Ziemi sprawowałaby struktura ponadnarodowa, „taka jak ONZ”, kompetentna m.in. do regulacji demografii, wydobycia zasobów i ekologii.

Sacharow planował, że może do tego dojść około 2024 roku. Nie przewidział rozpadu ZSRR, końca maoizmu i zmiany chińskiego modelu oraz współczesnego rosyjskiego militaryzmu. Ani też Trumpa, za sprawą którego dziś zachodzi coś w rodzaju konwergencji Sacharowa. Amerykanin powołał globalną Radę Pokoju, osłabia dotychczasowe struktury państwowe i polityczne, w tym Unię. Tylko że to konwergencja toksyczna, oparta na dominacji i podporządkowaniu, która gardzi ekologią i prawami człowieka, spaceruje z Putinem po czerwonym dywanie i puszcza oko do Łukaszenki.

•

Na koniec zapytaliśmy naszego przyjaciela, Demiana Fanszela – ukraińskiego Żyda, lekarza, pisarza i emigranta, syna „doktora Ojboli” – radzieckiego doktora społecznika, odprowadzanego na cmentarz przez cały podlwowski Stryj – dlaczego Rosja jest bandytą, a mogłaby być królową soft power i gwiazdą ekonomii? W odpowiedzi przesłał fragment z powieści „Lata dzieciństwa” Nikołaja Leskowa, dziewiętnastowiecznego rosyjskiego literata. I lepszej puenty nie znajdziemy:

„...przemieszczaliśmy się z krainy »nieba, jodeł i piasku« do krainy ukraińskich czereśni. Przejechaliśmy całą gubernię orłowską, wkrótce przetoczyliśmy się za szeroką bałkę [parów], pośrodku którego płynął mały strumyk, stanowiący żywe uroczysko, granicę Wielkiej Rusi [to jest Rosji] z Małorosją [czyli Ukrainą] i noszący bardzo charakterystyczną nazwę »Pijana Bałka«.

Tu na jednym łagodnym zboczu była wielkoruska, doszczętnie zrujnowana wioska z rozwalonymi dachami i pochylonymi chatami, a na drugim, nieco bardziej stromym i wyniosłym brzegu – schludny jak warzęcha [ptak brodzący z rodziny ibisów] małoruski chutor. Dzieliła ich tylko »Pijana Bałka«, a łączył most; poza tym wszystkie warunki życia były takie same: ten sam klimat, ta sama gleba, te same zmiany pogody; ale po stronie orłowskiej, czyli wielkoruskiej, panowała przerażająca nędza i głód, a po małoruskiej, czyli czernihowskiej, wiało czymś innym. Małoruski chutor rozkwitał, wielkoruska wieś wyniszczona była do cna – i nie sposób było rozstrzygnąć: czego się ona jeszcze trzyma? W tej wsi żaden podróżny ani przechodzień się nie zatrzymywał – zarówno dlatego, że dosłownie nie dało się tam żyć po ludzku, jak i dlatego, że cała ludność tych zrujnowanych zagród cieszyła się jak najgorszą reputacją.

Po jednej stronie »Pijanej Bałki« była droga i paskudna wódka z propinacji, po drugiej – tania i dobra. Na samym moście stali kordonowi [żołnierze], czujnie pilnujący, by Wielkorusini nie przenosili do siebie ani kropli małoruskiej wódki; ale przenoszenia jej w żołądku przez tę granicę nie mogli zabronić.

I stoją pod górą chłopi i kupcy, i wciąż noszą wódkę, a potem często się biją, tak że nawet na wiorstę słychać jęki, jak w czasie bitwy. A gdy im się znudzi bić między sobą, to tłuką kordonowych, a nawet niekiedy zabijają”. ●

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCA: Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYNY I KULTURA: Agata Żelazowska
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl 7b63c07719

GENDER NIE JEST SAFE

Błaszczak ma problem: jak zneutralizować już nie jednego, ale dwóch konkurentów zajmujących się wojskiem

Dominika Wielowieyska

• **Mariusz Błaszczak, były szef MON oraz prezes PiS Jarosław Kaczyński przedstawiają absurdalne argumenty, by obrzydzić program SAFE** FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

PiS znalazł się w pułapce. Pod naciskiem Mariusza Błaszczaka i Antoniego Macierewicza, byłych ministrów obrony, zagłosował przeciwko ustawie, która dawała rządowi instrumenty do wykorzystania funduszy z unijnego programu SAFE. Ale część klubu parlamentarnego uważa, że to błąd. Bo Polacy nie zrozumieją, dlaczego mamy rezygnować z pieniędzy, które przyczynią się do rozwoju polskiego przemysłu zbrojeniowego.

Program SAFE to 44 miliardy euro pozyskanych w ramach niskooprocentowanej – na około 3 procent – pożyczki. Rząd przekonuje, że 80 procent tych funduszy trafi do polskich firm. Donald Tusk argumentuje, że za czasów PiS tylko 24 procent wydatków za zakupy zbrojeniowe szło do polskiego przemysłu, jego rząd podniósł ten wskaźnik do 35 procent, ale to wciąż za mało.

Opozycja domaga się ujawnienia listy projektów z programu SAFE, ale rząd się wzbrania ze względu na poufność informacji. Natomiast takie zestawienie przedstawiono prezydentowi Karolowi Nawrockiemu i opozycji podczas ostatniego posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Narodowego.

W czasie piątkowego głosowania nad ustawą zabrakło 10 posłów PiS. Niektórzy nie ukrywają, że nie chcieli brać w tym udziału.

Obóz PiS przekonuje, że oprocentowanie pożyczki nie jest aż tak atrakcyjne. Wobec tego Justyna Dobrosz-Oracz, reporterka polityczna TVP, zapytała Błaszczaka, jakie było oprocentowanie pożyczek zaciąganych w koreańskich bankach na zakup sprzętu z tego kraju. Były szef MON, który po ataku Rosji na Ukrainę rozkręcił masowe zakupy uzbrojenia, lecz zdaniem wielu zorganizowane na zasadzie „co i jak popadnie, byle szybko i efektownie", uciekł przed pytaniem, rzucając jedynie: „To była inna waluta...".

Jednak waluta nie ma tu nic do rzeczy. Błaszczak nie zdradza oprocentowania, twierdząc, że to tajemnic handlowa i wojskowa, tymczasem media podają, że może to być niezbyt atrakcyjne 6-6,5 procent. A PiS nigdy temu nie zaprzeczył.

Innym argumentem kontestującej SAFE prawicy jest to, że za te pieniądze nie można będzie kupować sprzętu w USA. Tę kwestię podnosił szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Sławomir Cenckiewicz. Ale przecież sam PiS kupował uzbrojenie nie tylko w Waszyngtonie, ale także w Seulu. Skoro uważa, że tylko Stany Zjednoczone powinny być naszym partnerem i jako uzależnieni od amerykańskiej obecności wojskowej oraz życzliwości musimy zabiegać o ich przychylność, choćby przepłacając, to dlaczego to robił?

•

Aby wzmocnić argumentację przeciwko SAFE, w poniedziałek Jarosław Kaczyński w towarzystwie Błaszczaka przekonywał, że jest wiele powodów, by ten program zablokować.

Tu już wspięto się na wyżyny absurdu. Nawet niektórzy posłowie PiS łapali się za głowę. Prezes PiS przywołał sprawdzony, choć coraz mniej skuteczny straszak – unijny program to plan podporządkowania Europy Niemcom: „proponowana nam jest Polska pod niemieckim butem, my ten niemiecki but odrzucamy". A eksminister objaśniał, że zakupy w Stanach i Korei to czysty biznes, zakupy w Europie są upolitycznione i zideologizowane.

Umiarkowani wyborcy prawicy są w konfuzji i tego typu wystąpienia raczej nie odwrócą trendu sondażowego – a w niektórych badaniach PiS spada poniżej 25 procent. Ale Błaszczak brnie dalej. Ogłosił bowiem, że SAFE jest zagrożeniem, ponieważ zawiera warunkowość: pożyczka może być wstrzymana, jeśli dany kraj będzie wykorzystywał środki z naruszeniem prawa, a odpowiednie organy nie będą reagować, lub jeśli rząd będzie pacyfikował niezależność sądów, przez co ewentualne patologie związane z wydatkowaniem pieniędzy nie będą rozliczane.

To można podciągnąć pod typową prawicową mantrę o „unijczykach" odbierających suwerenność narodom. Ale Błaszczak dodał, że pożyczka może zostać zablokowana, jeśli Polska nie uzna, że istnieje 200 płci. Albo jeśli Polska nie będzie chciała przyjąć zasad Unii Europejskiej, że mężczyźni mogą rodzić dzieci.

Brednie zawstydzające nawet niektórych posłów PiS, niemniej szczególnie drugie hasło jest ostatnio nagłaśniane nie tylko przez konfederatów, ale coraz częściej i przez Nowogrodzką.

Niedawno w Parlamencie Europejskim odbyło się głosowanie nad zaleceniami dla ONZ w sprawie statusu kobiet. Skrajna prawica zgłosiła poprawkę, że „tylko biologiczna kobieta może zajść w ciążę". Większość europarlamentarzystów ją odrzuciła, bo nie miała związku z tematem, a ponadto posłowie nie chcieli się wikłać w rozstrzyganie kwestii, czy osoba transpłciowa może zajść w ciążę.

Stawka z SAFE jest zbyt wysoka, żeby ryzykować. Resort obrony usunął się z linii absurdalnego strzału PiS – właśnie ogłosił, że wycofuje szkolenia „Prawa człowieka i perspektywa gender w operacjach wojskowych"

W tej historii istotne jest to, że rozważano jedynie zalecenia. Opinia wydana przez europarlament nie jest wiążącym prawem. Ale zaraz po głosowaniu konfederaccy europosłowie zaczęli bić na alarm, że według Unii Europejskiej mężczyźni mają rodzić dzieci – i absurdalny przekaz poniósł się na platformach społecznościowych. Dotarło to do Błaszczaka, który dodał od siebie, że bardzo źle się dzieje w państwie polskim, bo rząd Tuska wprowadza w armii „gender".

•

Były szef MON generalnie ma problem z wicepremierem i ministrem obrony Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem. Najchętniej waliłby w niego jak w bęben – ale Pałac Prezydencki tego nie chce, zamierza utrzymywać z liderem PSL poprawne relacje.

A dodatkowo frakcji Mateusza Morawieckiego, wobec której Błaszczak jest w opozycji, marzy się, że kiedyś z ludowcami zrobi technokratyczną koalicję, wykluczając z niej elementy skrajne, jakie tak ekipa Zbigniewa Ziobry czy „koroniarze" Grzegorza Brauna. Podejrzenie, że Kosiniak-Kamysz, konsekwentnie broniący centroprawicowej, chadeckiej agendy w obecnym rządzie, miałby wprowadzać jakieś obyczajowe nowinki w armii, jest z kosmosu. Kwestia służby osób transpłciowych w armii jest oczywiście uregulowana, ale stało się to wiele lat temu.

Ale stawka jest zbyt wysoka, żeby ryzykować. Resort obrony na wszelki wypadek usunął się z linii strzału. Właśnie ogłosił, że wycofuje szkolenia – ponoć zresztą obśmiewane przez wojskowych – „Prawa człowieka i perspektywa gender w operacjach wojskowych" z zajęć uzupełniających.

Gdy Kaczyński i Błaszczak pomstują na system warunkowości, przywołują sprawę Krajowego Planu Odbudowy z czasów ich rządów. Unijne pieniądze na rozruszanie gospodarek po covidzie wstrzymano z powodu łamania zasad praworządności i przez Zjednoczoną Prawicę. I zgadza się, Polska bardzo straciła finansowo – jednak teza, że Unia Europejska zablokowała pieniądze, by doprowadzić do utraty przez PiS władzy i utorować drogę Tuskowi, jest zwyczajnym kłamstwem.

W końcówce rządów PiS premier Morawiecki stawał na głowie, by dogadać się z Komisją Europejską w sprawie KPO. I prawie mu się udało. Warunkiem odblokowania funduszy była nowelizacja ustawy o Sądzie Najwyższym. Morawiecki zdołał przepchnąć tę ustawę w parlamencie z pomocą – uwaga! – Koalicji Obywatelskiej. Bez tych głosów sprawa by upadła, bo Ziobro i jego ludzie zagłosowali przeciw. Ale ostatecznie z nieznanych do dziś przyczyn Andrzej Duda jej nie podpisał. W PiS mówi się, że prezydent chciał być ojciec kompromisu z Unią, a skoro nim nie został, to zablokował sukces Morawieckiemu.

Blokada pieniędzy była więc spowodowana atrofią obozu rządzącej prawicy i wewnętrznym konfliktem w PiS, a nie złą wolą opozycji czy Komisji Europejskiej.

A zagrożenie, że SAFE zostanie zatrzymany, jest niewielkie, pieniądze trzeba zainwestować do 2030 roku, większość popłynie w ciągu najbliższych dwóch lat. Może się zdarzyć, że po 2027 roku PiS przejmie władze i zaplanuje kolejny etap pacyfikacji sądów. Ale może mieć z tym problemy, bo jego notowania w sondażach spadają. Sytuacja, w której będzie miał pełnię władzy, jak po 2015 roku, najprawdopodobniej się nie powtórzy.

•

O tym, że Błaszczak ma wewnętrzną opozycję, świadczą także jego utarczki na platformie X z europosłem PiS Michałem Dworczykiem, który wyrasta – a zawsze miał takie ambicje – na kandydata na szefa MON, w razie, gdyby PiS doszedł do władzy.

Błaszczak Dworczyka szczerze nie znosi. Kiedy Dworczyk na platformie X zaproponował nowy podatek na modernizację armii, zaraz zareagował: „Michale, sięganie do kieszeni Polaków to droga na skróty". Kolejne starcie nastąpiło, gdy służby zatrzymały pracownika MON podejrzanego o szpiegostwo na rzecz Rosji. Dworczyk wskazywał, że sprawa jest poważna, bo ten człowiek z racji swojej funkcji mógł mieć dostęp do istotnych informacji. Błaszczaka to zirytowało: „Dziwię się, Michale, że tak gładko wchodzisz w narrację, którą narzuca rząd. Nie widzisz, że wyolbrzymianie tej sprawy ma na celu wyłącznie uderzenie w rząd PiS".

W sprawie SAFE niegdysiejszy zaufany Morawieckiego i bohater afery mailowej, która po wycieku korespondencji premiera z szefem jego kancelarii, prowadzonej z prywatnych skrzynek, pokazała polityczną kuchnię rządów PiS, jest ostrożny. Dworczyk na jednym oddechu wylicza możliwe błędy rządu czy wątpliwości, aby wykazać się lojalnością wobec partii, ale mówi publicznie, że SAFE jest szansą dla Polski. A w wywiadzie dla „Wyborczej" jakiś czas temu szedł nawet dalej: „Większość zbrojeniówki powinna zostać sprywatyzowana. Państwo powinno wspierać przedsiębiorstwa prywatne, których kilka w Polsce jest i są całkiem innowacyjne, lecz niestety rachityczne. Czemu by ich nie wzmocnić, tak jak to robią inne kraje?". Wypisz wymaluj opis tego, jak ma działać SAFE.

Błaszczak uważa, że trzeba być twardą opozycją, bo unijny program, który i wesprze twardą obronność, i rozreklamuje polski przemysł, i da nowe miejsca pracy, może być uznany za sukces rządu Tuska, więc trzeba go kontestować.

A prezydent Nawrocki zdecyduje o zawetowaniu lub podpisaniu ustawy w zależności od sondaży. Według badania SW Research dla „Rzeczpospolitej" ponad 45 procent obywateli jest za SAFE, około 22 procent przeciw, reszta nie ma wyrobionego zdania. Pałac Prezydencki będzie nadal śledził opinie Polaków i sprawdzał, jaki jest trend w badaniach. Jeśli przekaz PiS zyska popularność, rozważy weto. Ale nawet w takim przypadku rząd znajdzie sposób, by po te środki sięgnąć, bo sama ustawa nie dotyczy sedna sprawy, czyli zgody na SAFE – a ściślej, na oprzyrządowanie finansowe projektu. Decyzja o podpisaniu umowy z Komisją Europejską, tak czy owak, należy do koalicji rządzącej. ●

eprasa.pl 7b63c07719

Patriarchat czy zepsucie?

Ruch wyzwolenia seksualnego nie „spowodował Epsteina". Ale czy kultura, która konsekwentnie uczy, że normy są przede wszystkim opresją, nie osłabia zdolności do mówienia „nie"?

Marcin Matczak

W aktach Epsteina jest opisana sytuacja: dziecko-ofiara mówi drapieżcy, że ufa Jezusowi i że On nad nim czuwa (to z mejla Epsteina). W odpowiedzi pojawia się cyniczne: „Whoops!" i sugestia, by sprawca na kolejnym spotkaniu przebrał się za Jezusa, by łatwiej „zarządzać" zaufaniem dziecka.

To „Whoops!" to dźwięk pękających fundamentów naszej cywilizacji. A ktoś próbuje mi wmówić w czasie audycji w Trójce, że tę tragedię da się w pełni wyjaśnić za pomocą hasła „kapitalizm i patriarchat". To intelektualna rejterada – pozwala lewicowym umysłom czuć się bezpiecznie w ich ideologicznych okopach. Ale problem leży głębiej: w samej konstrukcji nowoczesnego człowieka.

Antropologia pragnienia bez umiaru

Przemoc seksualna istniała w społeczeństwach przedkapitalistycznych, a pedofilia w kulturach o różnych strukturach własności i władzy. Mimo to można przyjąć, że para pojęć „patriarchat i kapitalizm" jakoś sobie radzi z wyjaśnieniem przyczyn działania sprawców: pokazuje, dlaczego grupa obrzydliwie bogatych mężczyzn uznała, że wszystko jest na sprzedaż, a ich dominacja rozciąga się na ciała innych.

Czy jednak wyjaśniają tę chorą potrzebę transgresji widoczną w „Whoops"? Czy rzucają światło na strukturę tego chorego popędu do przekraczania granic? A może myśli lewicowej jest wygodnie skupić się na patriarchacie i kapitalizmie, bo wtedy nie musi dyskutować tego, jaką wizję człowieka od dziesięcioleci promuje?

A promuje myślenie o seksualności w kategoriach wyzwolenia. Normy są narzędziem opresji i pozostałością religijnej neurozy. Lewicowy projekt emancypacyjny usuwał kolejne bariery, by uwolnione pragnienie stało się bardziej autentyczne i mniej przemocowe.

Gdzieś u podstaw tych myśli jest Rousseau i wizja człowieka jako „szlachetnego dzikusa", który musi odrzucić „opresję" (normy, tabu i tradycję), by stać się „autentycznym sobą". Jest Marcuse i teza, że represja popędów jest patologią. Jest i Foucault: władza działa nie tylko przez zakaz, ale przez produkowanie dyskursów normalności. To wspólna intuicja: „naturalne" i „moralne" często jest mechanizmem kontroli. Ta intuicja przeniknęła kulturę głębiej niż konkretne książki i stała się DNA współczesnej wrażliwości progresywnej.

Wyspa Epsteina każe zapytać, jaka jest współczesna antropologia pragnienia. Co się dzieje, gdy nie posiada ono miary i nie zatrzymuje się samo? Jeśli seksualność przestaje być osadzona w jakichś granicach, pozostaje intensywność, a ta z natury rzeczy eskaluje: coś, co wczoraj było przekroczeniem, dziś staje się normą, a granica zamienia się w wyzwanie, w eksperyment o coraz wyższej stawce.

Nie ma już miejsca na „wstyd"

Ruch wyzwolenia seksualnego nie „spowodował Epsteina". To teza intelektualnie nieuczciwa. Ale czy kultura, która konsekwentnie uczy, że normy są przede wszystkim opresją, nie osłabia zdolności do mówienia „nie"?

Tyle, jeśli chodzi o wyjaśnienie logistyki agresji po stronie sprawców. Ale para „kapitalizm i patriarchat" całkowicie kapituluje jako wyjaśnienie logistyki cierpienia ofiar.

Bo jak „patriarchat" wyjaśnia rolę Ghislaine Maxwell, która była współarchitektem tego imperium? Rolę pełnoletnich kobiet – modelek i celebrytek – które dobrowolnie wchodziły do tego świata. Te kobiety, skuszone blaskiem elit i obietnicą kariery, nie były jedynie ofiarami, ale często rekrutowały kolejne dziewczęta. W ich świecie wstyd został wyparty przez ambicję. Płeć nie dała tu odporności na zło.

Co z kwestią najboleśniejszą: udziałem rodzin? Te dzieci nie teleportowały się na wyspę. W aktach są rodzice, którzy świadomie umożliwiali te kontakty. To był jakiś paraliż moralnego instynktu. Gdzie podział się wstyd rodzica, który posyła córkę do sypialni mężczyzny pod pretekstem „networkingu" czy „sesji masażu"?

Kiedy kultura uznaje, że każde ograniczenie jest formą opresji, nie da się odróżnić wolności od nihilizmu. Amerykański socjolog Philip Rieff opisał to jako przejście od kultury zakazów do kultury terapii: nie ma już miejsca na „wstyd" czy „zło" – jest tylko „optymalizacja" lub „trauma". Gdy zło staje się kategorią kliniczną, a nie moralną, przestaje przerażać. Jest jedynie kolejnym ryzykiem zawodowym.

Charles Taylor, kanadyjski filozof, pisał, że jeśli jedyną miarą sukcesu jest „samorealizacja", drugi człowiek – nawet własne dziecko – może się stać narzędziem awansu społecznego. Epstein, jego goście, ale też przyzwalający rodzice funkcjonowali w przestrzeni, w której zaspokajanie ambicji i popędów stało się najwyższą wartością.

Skazani na kolejne „Whoops!"

Wyjaśnienie „kapitalizm i patriarchat" wprowadza asymetrię: popyt jest, o podaży milczymy. Znamy ją z debaty o prostytucji: tam po stronie popytu mamy „szowinistyczne świnie" (kapitalizm!), ale po stronie podaży – „sexworkerki", które rzekomo dokonują autonomicznych wyborów (empowerment!). Ten język ma nas znieczulić. Jeśli wszystko jest „wyborem", to nikt nie ponosi odpowiedzialności za ekosystem, w którym ten wybór jawi się jako atrakcyjna droga ucieczki z biedy czy beznadziei. Czy w przypadku wyspy Epsteina mechanizm nie był podobny?

To nie jest oskarżanie ofiar – ale systemu ochrony, który nie zadziałał. Bo 14-latka nie jest winna. Dziecko nie wybiera przemocy – ono jest w nią wciągane przez dorosłych, którzy abdykowali ze swej roli. To oskarżenie kultury, która wstyd uznała za opresję. A wstyd w zdrowym wydaniu jest jak społeczny układ odpornościowy. Sprawia, że matka woli biedę od pieniędzy splamionych krzywdą córki.

Dziś, stając przed złem kalibru Epsteina, mówimy o kapitalizmie i patriarchacie, ale boimy się użyć słowa „zepsucie". Słowo to sugeruje bowiem istnienie obiektywnego wzorca dobra. A wzorców, jak wiadomo, nie wolno narzucać. Można je za to wyrzucać do kosza.

Epstein jest konsekwencją świata, w którym grzechem jest posiadanie zahamowań. Jeśli nie odzyskamy języka, który potrafi opisać winę i zepsucie bez uciekania w „kapitalizm i patriarchat", będziemy skazani na kolejne „Whoops!" z prywatnych wysp tych, których stać na własną definicję prawdy i moralności. ●

Suwpolizacja

Terlecki „odwinął się Kalecie" nazywając go „gów***rią". Przypominam, że pan Sułek mówił do pani Elizy: „Cicho!" i kryło się pod tym jednak gorące uczucie.**

Michał Rusinek

Przyznam, że nie śledzę szczególnie pilnie tego, co dzieje się teraz w zjednoczonej rzekomo prawicy, natomiast ciekawi mnie język, jakim piszą na ten temat media. Bo to jest jakaś nowa jakość w dziennikarstwie, do której zapewne trzeba się będzie przyzwyczaić. Zajrzyjmy chociażby do jednego artykułu Michała Wróblewskiego na portalu Wirtualna Polska, zatytułowanego „»Pies« rozjuszył frakcje, Kaczyński stracił panowanie nad PiS. W kuluarach wrze". W leadzie mamy jeszcze „polityczne mordobicie", „rzucanie się sobie do gardeł" oraz „walentynkową masakrę", której kulisy red. Wróblewski obiecuje nam odsłonić.

●

Już na samym początku mamy więc dwa porządki metafor: agonistyczne (choć raczej: ustawkowe) i teatralne (kuluary, kulisy). Od razu wiemy, że będziemy mieli do czynienia ze spektaklem zawierającym elementy sportów walki, a kiedy dochodzi do tego jeszcze cytat z „innego polityka PiS": „Nie wiem, czy te spory są do powstrzymania. Chyba sprawę przywództwa w partii trzeba będzie rozwiązać w oktagonie" – nie mamy już żadnych wątpliwości.

Ponieważ tekst ukazał się 13 lutego, red. Wróblewski dodał jeszcze metaforykę miłosną, choć konstatacja dotyczy raczej uczuć przeciwnych: „W przeddzień Walentynek w PiS miłości nie czuć. Są strzały, choć bynajmniej nie są to strzały Amora".

Nie o strzały jednak chodzi, lecz o „przepychankę na korytarzu sejmowym posłów Ryszarda Terleckiego i Sebastiana Kalety [...], który postanowił słynnego »Psa« poskromić" przepychając go barkiem. Na miejscu red. Wróblewskiego nie wykluczałbym tak od razu pobudek erotycznych takiej przepychanki, każdy przecież wyraża uczucia, jak chce i potrafi, ważne, żeby obie strony akceptowały formy kontaktu. Cielesnego oraz słownego: Terlecki dwa dni później „odwinął się Kalecie" nazywając go „gów*****rią". Przypominam, że pan Sułek mówił do pani Elizy: „Cicho!" i kryło się pod tym jednak gorące uczucie.

Dochodzi jednak do zamieszek, które red. Wróblewski odmalowuje w formie godnej największych batalistów: „ziobryści" z „maślarzami" uderzają w Terleckiego i stają w obronie Kalety, „harcerze" natomiast biorą Terleckiego w obronę i krytykują „ziobrystów".

●

Zaczęło się jednak nie od zetknięcia się dwóch ciał, lecz od choroby Jarosława Kaczyńskiego (anonimowy polityk PiS powiedział: „Kiedy choruje prezes, choruje cała partia"), potem Mateusz Morawiecki udzielił wywiadu, w którym „niepotrzebnie igrał z ogniem" (jak komentowali niektórzy politycy PiS-u). Morawiecki zapowiedział wówczas: „Jeśli ktoś będzie próbował mnie atakować tak, jak parę osób próbowało, zawsze dostaną fangę w drugą stronę". Co jest nie pierwszym już dowodem, że to, co dzieje się na prawicy, przewidział René Goscinny w serii książek o Mikołajku i innych chłopakach, gdzie przecież Euzebiusz specjalizował się w rozdawaniu właśnie fang w nos.

Zaraz potem Morawiecki dodał: „Koniec skakania Morawieckiemu po pagonach. Nie dam sobie w kaszę dmuchać". Pomijając mówienie o sobie w trzeciej osobie, warto zauważyć, że sam dość brawurowo poskakał tu sobie po metaforyce, od wojskowej po kulinarną. Na koniec nawiązał jeszcze do Starego Testamentu: „oko za oko, ząb za ząb", co natchnęło red. Wróblewskiego, by przejść płynnie do Nowego Testamentu: „Teraz jednak były premier nie zamierza nadstawiać drugiego policzka". A że w kolejnym akapicie pisał już o „wbijaniu szpilek" w byłego premiera, połączenie tych dwóch metafor spowodowało, że stanęła nam przed oczami chirurgia plastyczna, a ściślej ostrzykiwanie – a co najmniej akupunktura.

●

Wracamy jednak do oktagonu: „Jeśli tak mają wyglądać te »fangi« od Morawieckiego i jego ludzi, to mogą się przejechać. Bo na próbę strzału, Terlecki nadział się na mocniejszy cios" – to cytat z „jednego z ziobrystów", przypominający wypowiedzi rozemocjonowanych, a przez to gubiących się w meandrach języka komentatorów sportowych.

Okazuje się jednak, że prawdziwa walka toczy się nie w oktagonie, a w internecie. Red. Wróblewski przytacza wiele komentarzy polityków różnych frakcji, warto jednak odnotować jeden z nich. Europoseł PiS Piotr Mueller napisał mianowicie w mediach społecznościowych, że z przykrością odnotowuje „proces suwpolizacji Prawa i Sprawiedliwości".

Wygląda na to, że w języku polskim pojawiło się nowe słowo. Nie jest to, jak sugeruje sztuczna inteligencja, aluzja do nazwy producenta profesjonalnych urządzeń dźwignicowych z Czechowic-Dziedzic, ale skrótowiec, a ściślej sylabowiec, utworzony z pierwszych sylab nazwy partii Suwerenna Polska (na podobnej zasadzie jak Komsomoł, gensek czy kołchoz – bo w sylabowcach lubowała się przecież władza radziecka). W sieci można znaleźć już także „suwpolowców", choć za „suwpolizację" mogłyby być przecież odpowiedzialne „suwpolizaki". Cóż, byłoby przynajmniej śmiesznie.

A tak – pozostaje zacytować „szeregowego działacza PiS", którego cytuje red. Wróblewski w swoim artykule: „Rzy...ć mi się chce, jak na to patrzę". I dodać, że na perystaltykę zwrotną wpływa nam także pudelkoidalny (przemoc, miłość, chirurgia plastyczna) styl pisania o polityce. ●

eprasa.pl 7b63c07719

ŚWIAT

Naprawdę chcemy globalnej gry o tron?

Dobrze, rozwalamy Zachód z jego hipokryzją, Epsteinami i obłudnymi elitami. **A co dalej?**

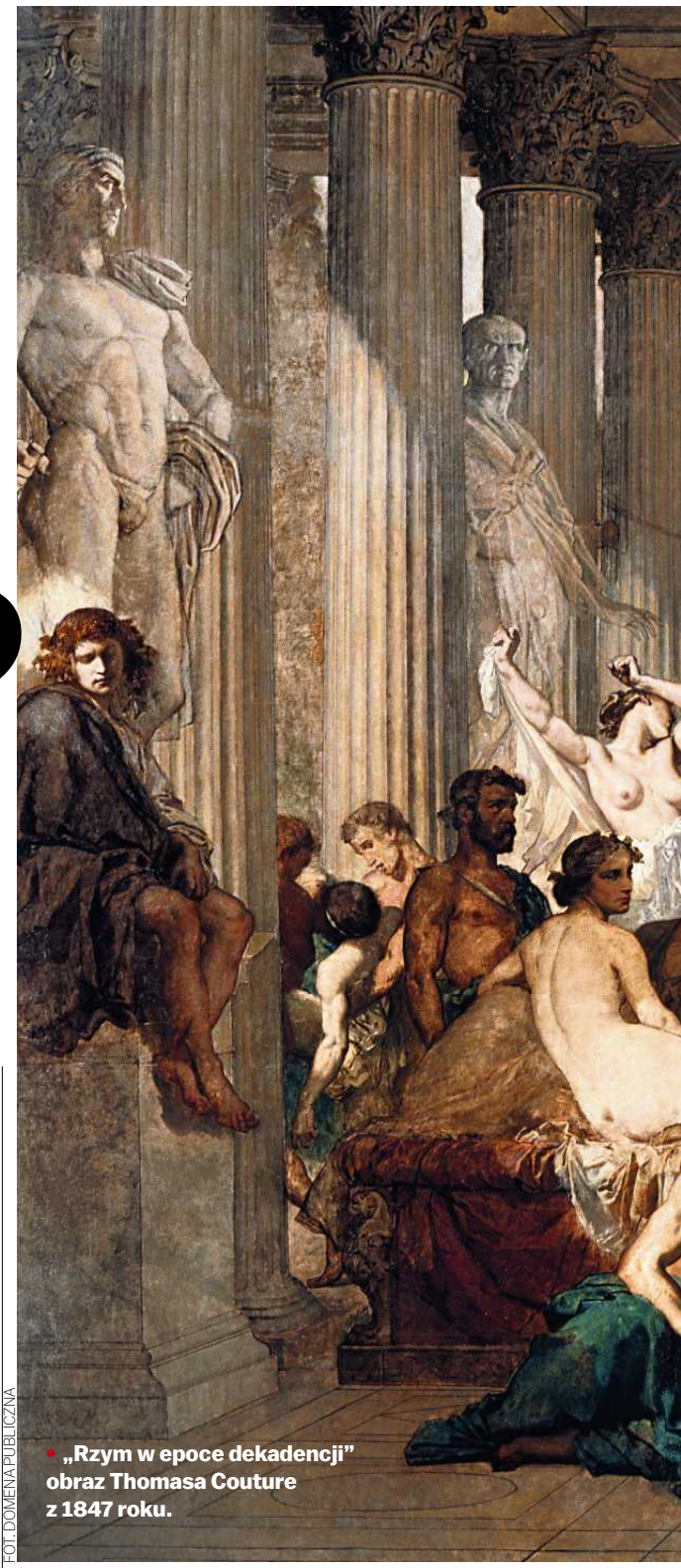

„Rzym w epoce dekadencji" obraz Thomasa Couture z 1847 roku.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Z FILOZOFKĄ **AGATĄ BIELIK-ROBSON*** ROZMAWIA **KRYSTYNA ROMANOWSKA**

Nie było łatwo panią namówić na rozmowę o Epsteinie.
– Dziwi to panią? Każde słowo wypowiedziane na jego temat natychmiast podlega moralnej ocenie. Jeśli ktoś próbuje zachować sceptycyzm i nie dołącza do – moim zdaniem – zbyt pochopnego, totalnego potępienia, nie tyle samego Epsteina, bo to postać bezsprzecznie odrażająca, ile całej kultury, która rzekomo miała go „wyprodukować", od razu naraża się na oskarżenie o relatywizm albo brak wrażliwości.

Krąg oburzenia narasta jak kula śniegowa. I w osobach ostrożniejszych, takich jak ja, budzi to pokusę milczenia – nie zabierać głosu wcale, by nie zostać wciągniętym w logikę natychmiastowego osądu.

Jeśli jednak przejdziemy na metapoziom, czyli przestaniemy mówić o samym Epsteinie, a zaczniemy się zastanawiać, JAK się o nim mówi, wtedy pojawia się przestrzeń do analizy. Spokojnej, bez wdawania się w szczegóły, które i tak są dramatyczne – zwłaszcza dla ofiar. A także – przypuszczam – dla wielu ludzi, którzy znaleźli się w tych aktach w sposób mniej lub bardziej przypadkowy.

Spójrzmy zatem, jak relacjonowana jest sprawa Epsteina we współczesnej infosferze. Rozumiem jej logikę – żywi się silnymi emocjami, uwielbia mocne sądy. Ale może właśnie w tym przypadku należałoby się przed nimi powstrzymać.

Dlaczego?
– Bo te sądy przybierają formę ogólnych i wręcz totalnych diagnoz o kulturze i świecie.

Mam kilka: „spiskowcy" widzą ukrytą architekturę szantażu i globalnej kontroli, a w tle pojawia się antysemityzm. Libertarianie wskazują na hipokryzję i selektywne ściganie. Religijni moraliści – na upadek cywilizacji. Technologiczni sceptycy mówią o nowej, nieuchwytnej oligarchii splecionej z polityki, finansów i big techów. A psychoanalitycy dodają, że wszyscy mężczyźni są Epsteinami, bo – kiedy znieść kontrolę – męska perwersja wybucha w sposób niekontrolowany.
– Większość tych wypowiedzi idzie w stronę czystego populizmu. Weźmy choćby Marcina Matczaka – z jego tekstu można było się dowiedzieć, że żyjemy w piekle zarządzanym przez zdemoralizowane elity – bez względu na to, czy z prawa, czy z lewa.

Motywacją dla tego tekstu był czysto populistyczny impuls totalnego potępienia. Zwykle Matczak pisze w sposób bardziej zniuansowany, a tu pozwolił sobie na łatwą frajdę wrzucenia wszystkich do jednego worka. Czytam komentarze pod jego wpisem: „Wszystkie elity do wymiany. Od zaraz". I dziesięć wykrzykników. Ten jeden zapadł mi szczególnie w pamięć. Bo kim zastąpić te wszystkie zdemoralizowane elity? Nowymi elitami, które „lud" wyemanuje z siebie? Mamy wierzyć, że one będą wolne od demoralizacji? To przecież bzdura.

Są też pokusy „totalnej zmiany systemu", tyle że nie wiadomo za bardzo na jaki?
– Faktycznie, często też pojawia się niebezpieczny fantazmat o absolutnym resecie, bez żadnego planu na przyszłość. O totalnej negacji. Napoleon, kiedy nie do końca wiedział, jak poprowadzić bitwę, mawiał przed walką: „On s'engage, puis on voit" („Najpierw się angażujemy, a potem zobaczymy").

Dokładnie tak samo zachowujemy się teraz. Wymieńmy system: ten brutalny kapitalizm, neoliberalizm, demokrację liberalną – wszystko wyrzućmy do kosza, bo czujemy się „rozczarowani" i „oburzeni". Nie mamy wprawdzie żadnej realnej alternatywy, a mimo to maszerujemy pod sztandarem totalnego resetu ożywiani pragnieniem mglistej rewolucji.

A co potem? „On verra" („Zobaczymy"). Choćby dziś przeczytałam, że to, co wydarzyło się wokół Epsteina, to dowód na to, że żyjemy w kulturze gwałtu, która trwale określa cywilizację Zachodu. Naprawdę, całego Zachodu, w sposób istotowy i bez wyjątku?

Ta łatwość formułowania absolutnie negatywnych sądów budzi we mnie potężny opór. Czy naprawdę afera Epsteina ma nam służyć za pretekst do totalnej negacji świata późnej nowoczesności, późnego kapitalizmu, jakiejś – jednak – formy realnej demokracji, która i tak już się kruszy?

Czy to ostateczny powód, by to wszystko odrzucić i dołączyć do grabarzy „świata, jaki znamy"? Czego w istocie chcą ludzie dający się powodować populistycznymi hasłami: rewolucji, anarchii, świata bez elit? Czy po tym, co ujawniły akta Epsteina, naprawdę nie ma w świecie zachodnim niczego, co chcielibyśmy ocalić? Widzę, jak wielu niespełnionych rewolucjonistów rzuca się na tę aferę, by znaleźć w niej upragniony pretekst do radykalnej zmiany.

Kim są „niespełnieni rewolucjoniści"?
– To nie jest jedna konkretna grupa polityczna. To pewna postawa, która pojawia się po obu stronach sceny ideowej. Są wśród nich zarówno ludzie z alt-rightu, którzy od dawna marzą o osłabieniu liberalnej demokracji, jak i część środowisk progresywnych, które widzą w tej aferze dowód na całkowitą moralną kompromitację Zachodu.

Łączy ich nie program, lecz pragnienie totalnej negacji. Epstein staje się dla nich wygodnym symbolem, dzięki któremu można powiedzieć za Goethem: „To tylko do wytępienia się nadaje". Ten odruch – wspólny bardzo różnym obozom – budzi mój największy niepokój.

Oczywiście pojawiło się kilka dobrych, informacyjnych tekstów – o powiązaniach Epsteina z bankowością amerykańską i globalną. Najlepszy moim zdaniem był ten Mateusza Mazziniego, w którym przytacza on rozmowy Epsteina ze Steve'em Bannonem, głównym ideologiem i szefem kampanii wyborczej Donalda Trumpa.

Rozbija balon absolutnej ważności, który wokół Epsteina został napompowany – i który był przecież częścią jego własnej megalomanii. Pokazuje go jako człowieka, który się po prostu boi, bo sam ma poczucie, że pogubił się we własnej grze.

Prawdopodobnie, gdyby żył – cieszyłby się z tej wszechogarniającej atencji.
– Ludzie przeceniający dzisiaj jego znaczenie, realizują tym samym jego marzenie, aby być postrzeganym jako Wielki Gracz. Być w epicentrum wszystkich procesów nowego globalnego kapitalizmu i ponadnarodowej polityki – to była jego główna aspiracja. Być widzianym jako mroczna, szara eminencja globalnej polityki. Niewidoczna, a jednak wszechmocna.

Tymczasem – jak pokazuje Mazzini – w osobach Epsteina i Bannona widzimy raczej dwóch byłych, niespełnionych guru, nadmiernie przekonanych o własnej sprawczości. O tym choćby, że własnoręcznie doprowadzili do brexitu. W istocie zaś są rozgrywani przez siły, nad którymi tylko udają, że mają kontrolę. Widzimy ich megalomanię, złudzenie omnipotencji, jak choćby w przekonaniu o „rozgrywaniu rosyjskiego wywiadu".

1 RP

eprasa.pl 7b63c07719

To, co afera Epsteina naprawdę nam pokazuje, jest może mniej spektakularne, ale bardziej trzeźwe rozpoznanie: świat późnego globalnego kapitalizmu pełen jest iluzji wpływu, performatywnej władzy, ludzi przekonanych, że są demiurgami historii.

Może właśnie to jest bardziej niepokojące niż wizja jednego, wszechmocnego potwora. Bo jeśli wszystko sprowadzimy do figury absolutnego zła – łatwiej nam będzie uwierzyć, że wystarczy je wyciąć, by świat stał się na powrót czysty. A to przecież nigdy tak nie działa. Najgorsze, co możemy dziś zrobić, to uczynić z Epsteina większego celebrytę, niż nim w istocie był. Jeśli dziś opowiadamy o nim jak o demiurgu świata globalnej polityki, gramy do jego bramki.

Na początku reakcje na sprawę Epsteina rozeszły się w dwie strony. Jedni reagowali niemal rozpaczliwym zdumieniem: „Jak to możliwe, że w świecie, który uważa się za dojrzałą liberalną demokrację, za cywilizację po #MeToo i wszystkich lekcjach XX wieku, dochodzi do czegoś takiego, że budzimy się jak podczas schyłku Bizancjum”? Drudzy wzruszali ramionami: „Naprawdę wierzyliście, że elity są moralnie lepsze niż reszta społeczeństwa? Że władza nie będzie splatać się z przemocą i nadużyciem?”. Która z tych postaw – idealistyczne rozczarowanie czy chłodny cynizm – jest pani bliższa?

– Ani ta, ani ta. Ale jeśli mam wskazać jakąś opcję, to jednak bliżej mi do idealizmu – z bardzo trzeźwą świadomością, że świat sam nie jest idealny. Nie jestem „piękną duszą”, nie wierzę w niewinność elit ani w to, że historia jest linearnym marszem postępu. Natomiast wierzę w coś, co nazwałabym optymizmem woli. To znaczy: wierzę, że nowoczesność wytworzyła pewne normy i wartości, które mają realną moc. I nawet jeśli są one często naruszane, to wciąż funkcjonują jako ważny punkt odniesienia.

Agata Bielik-Robson

• filozofka, pisarka, pracuje na wydziale teologii Uniwersytetu w Nottingham i w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Autorka m.in. „Inna nowoczesność. Pytania o współczesną formułę duchowości”, „Kłopot z chrześcijaństwem: wieczne gnicie, apokaliptyczny ogień, praca” (z Tadeuszem Bartosiem).

Ostatnio wszyscy przywołują maksymę François de La Rochefoucaulda: „Hipokryzja jest hołdem, jaki występek składa cnocie”. Sentencja ta jest realistyczną obserwacją natury moralnej świata, w której hipokryzja pełni funkcję minimalnego kompasu. Jeśli bowiem ktoś udaje cnotę, jednocześnie chowając swoje występne intencje, to znaczy, że cnota wciąż obowiązuje jako norma. Występek musi się przebrać za dobro, bo dobro wciąż jest społecznie uznawane za wartość.

Dopóki ludzie władzy czują potrzebę choćby udawania moralności, dopóty istnieje jeszcze wspólny horyzont normatywny. Dopóty nie żyjemy w świecie całkowicie bezwzględnej szczerości, w którym można powiedzieć: „Tak, działam wyłącznie dla własnej korzyści i mam do tego prawo”.

Natomiast postawa cyniczna: „Świat się nie zmienia, elity zawsze będą zepsute, tak było i tak będzie” – wydaje mi się intelektualnie wygodna, ale moralnie bezproduktywna. Z cynizmu nic nie wynika poza biernością, a ona zwalnia z odpowiedzialności. Skoro wszyscy kradną, to po co w ogóle próbować cokolwiek naprawiać?

Oczywiście porównanie do zmierzchu Cesarstwa Rzymskiego kusi. Sama często wracam do Edwarda Gibbona i jego opisów ekscesów na dworze Heliogabala. Bywają uderzająco podobne do pewnych scen współczesnej polityki: złoto, kicz, ostentacja, demonstracyjna bezmyślność władzy opartej na czystej sile.

Ale między Rzymem a nami wydarzyło się coś fundamentalnego: pojawiła się idea rządów prawa, konstytucjonalizmu, ochrony jednostki, a to nie jest żaden drobiazg historyczny. Dziś problem polega raczej na tym, że coraz mniej ludzi wierzy w te wartości, oddając się prostemu cynizmowi.

Tymczasem rzeczywistość społeczna jest tak silna jak nasza wiara w nią. Jeśli przestaniemy wierzyć, że prawo powinno obowiązywać wszystkich, że instytucje mają sens, że odpowiedzialność ma znaczenie – to te instytucje rzeczywiście osłabną. Więc tak: bliżej mi do idealizmu, ale takiego, który nie jest naiwnością, tylko decyzją, by nie oddać pola cynizmowi.

Cynizm to początek kapitulacji.

Ale przyzna pani, że nie sposób nie myśleć o tym, co się zdarzyło, jak o ślepej uliczce globalizacji?

– Zgadzam się. W tym globalnym świecie, w którym Epstein tańczył – i to bardzo sprawnie, choć do czasu – dawne reguły przestały działać. Ta afera jest ciekawa, bo pokazuje nam ryzyko, na jakie zgodziliśmy się wraz z globalizacją, która wydała z siebie także zły owoc.

Nie może bowiem być tak, że po świecie krążą siły polityczno-biznesowo-wywiadowcze uwolnione od realnej kontroli, prywatne armie, współpracujące ponad granicami, działające wedle partykularnych celów – często nie wiadomo dokładnie czyich. Na pewno nie wyłącznie samego Epsteina, który – jak sądzę – był w tym wszystkim raczej pionkiem. Pionkiem, który na końcu bardzo się bał, bo został brutalnie rozegrany.

To są wnioski, które trzeba wyciągać na chłodno – także z nadzieją, że te siły, które globalizacja rozpętała, będzie można zacząć kontrolować.

Większość reakcji jest jednak znacznie bardziej gorąca. Ta afera wywołała wyraźny wzrost myślenia spiskowego, które wydostało się z niszy wszelkiej maści paranoików i przeszło do mainstreamu. Coraz łatwiej przychodzi nam dziś wierzyć, że za wszystkim stoi jakaś

eprasa.pl 7b63c07719

ukryta, wszechmocna sieć powiązań, że światem rządzi tajny układ, a oficjalne instytucje stanowią jedynie fasadę.

Nie tylko po stronie alt-rightu, który do tej pory żywił się teoriami spiskowymi, ale także po stronie liberalnej i progresywnej, która do niedawna uchodziła za bardziej racjonalną.

Dziś natomiast w tak zwanych progresywnych mediach czytam, że Epstein stał na czele międzynarodowej, globalnej siatki pedofilskiej. To jest niemal słowo w słowo oskarżenie, które podczas kampanii wyborczej rzucano przeciwko Hillary Clinton – że należy do międzynarodowej siatki pedofilów spotykających się w pizzerii w Waszyngtonie. To była absurdalna teoria spiskowa alt-rightu.

Do pewnego momentu byliśmy na to odporni. Teraz ten system odpornościowy jakby się załamał. Nagle pojawiły się głosy w rodzaju: „Do tej pory się broniłem, ale teraz widzę, że jednak rządzi nami wielki spisek". Bardzo często w tle pojawia się także wątek „żydowskiego spisku", echo „Protokołów mędrców Syjonu". Najpierw Weinstein, teraz Epstein – i zaczyna się budowanie podejrzanej narracji, na której już za chwilę na pewno pożywi się nasz czołowy antysemita Grzegorz Braun.

Czym to grozi?
– Destrukcją społeczną. Skokowy wzrost nieufności wobec wszystkich elit politycznych może zakończyć świat, jaki znamy: demokrację liberalną, która w dużej mierze opiera się na kulturze zaufania, czyli mówiąc Hobbesem, na wyjściu z wielkiej wojny wszystkich przeciw wszystkim.

Bo jeżeli się okazuje, że nie można ufać naszym politycznym reprezentantom, że wszyscy są umoczeni, po obu stronach tak samo, to w jakiej rzeczywistości się obudzimy? Boję się, że przy tak nagłym przyzwoleniu na myślenie spiskowe zawali nam się system demokracji przedstawicielskiej, który i tak już się niebezpiecznie chwieje podmywany nastrojami populistycznymi.

Podkreślam więc raz jeszcze: to, w jaki sposób będziemy mówić o aferze Epsteina, zadecyduje o tym, czym ona była. Od nas – od komentatorów, mediów, ludzi opinii – zależy, czy uczynimy z niej punkt końcowy naszej cywilizacji, po którym „wszystko musi się zmienić", choć nie wiadomo jak i w którą stronę. Albo czy przekłujemy ten balon, zachowamy sceptycyzm i nie wytworzymy kryzysu większego niż sam fakt, że pewien odrażający typ krzywdził słabszych od siebie i pozwalał innym na krzywdzenie.

Kryzys zaufania może okazać się bardziej destrukcyjny niż sama afera.

Ta sprawa szybko się nie skończy. Tony dokumentów ujawnianych przez Departament Sprawiedliwości to puszka Pandory bez dna.
– Dlatego potrzeba nam jeszcze więcej dystansu. Jeśli będziemy żyć w permanentnym stanie sensacyjnego napięcia – „co jeszcze wyjdzie?" – to wejdziemy w logikę serialu bez końca. A w serialu zawsze potrzebny jest cliffhanger. Zawsze można podbić stawkę. Tylko że życie publiczne nie jest – a przynajmniej nie powinno być – sensacyjnym filmem akcji.

Jeśli wysnujemy z tej afery narrację o wszechogarniającym spisku, to sami staniemy się statystami w paranoicznej opowieści o totalnym upadku Zachodu. Tego naprawdę chciałabym uniknąć. Pewnie, że to będzie trudne – wytrzymać tę długo ciągnącą się historię. Bo ona nie zniknie i będzie wracać falami, kolejnymi odsłonami, kolejnymi dokumentami.

Wyciągnijmy konstruktywne wnioski z tej afery.
– Po pierwsze: globalizacja wymknęła się spod skutecznej kontroli demokratycznych instytucji. Ponadnarodowe układy biznesowo-polityczne funkcjonują często poza realnym nadzorem. To oznacza potrzebę wzmocnienia mechanizmów kontroli – także ponadnarodowych, a nie tylko narodowych.

Unia Europejska powinna się obudzić i stać bardziej sprawcza. Bo w założeniu to ona jest właśnie takim ponadnarodowym systemem kontroli, który jako gracz globalny mógłby znaczyć więcej niż w tej chwili. Europa po prostu powinna wrócić do gry jako instytucja.

Nie myślmy więc o tej aferze jako o absolutnej katastrofie, która musi doprowadzić do wielkiego resetu. Problemem nie jest sama nowoczesność czy demokracja liberalna, lecz ich osłabienie przez niekontrolowane globalistyczne przepływy kapitału, władzy i wpływu.

Nie zgadzam się z tezą, że cała cywilizacja zachodnia to wyłącznie historia kolonialnej przemocy i kultury gwałtu. Owszem, kolonializm był faktem, przemoc jest faktem, patriarchat jest faktem. Nie ma sensu tego relatywizować.

Ale redukowanie całego Zachodu do jednoznacznie złej narracji jest intelektualnie nieuczciwe i politycznie niebezpieczne. Zachód bowiem to także realna historia instytucji, które po raz pierwszy w dziejach zaczęły realnie chronić jednostkę przed nadużyciami władzy.

To jest historia rządów prawa, niezależnych sądów, wolnej prasy, trójpodziału władzy. Historia praw obywatelskich, praw kobiet, praw mniejszości. Historia instytucji, które pozwalają ofiarom mówić i być słyszanymi. To są konkretne kontrolne mechanizmy, dzięki którym można ujawniać nadużycia i rozliczać wpływowych ludzi.

> Nie zgadzam się z tezą, że cała cywilizacja zachodnia to wyłącznie historia kolonialnej przemocy i kultury gwałtu

Warto zadać sobie bardzo uczciwe pytanie: czy w Rosji, w Iranie, w Arabii Saudyjskiej podobna afera miałaby szansę zostać ujawniona, rozpisana w mediach, poddana publicznej debacie? Czy ofiary miałyby przestrzeń, by przemówić? Czy opinia publiczna mogłaby wywrzeć tak silny nacisk na rządzących?

Prawdopodobnie nie. To, że sprawa Epsteina wywołała tak ogromne oburzenie, że jej dokumenty są analizowane, że trwa publiczna debata – to dowód na to, że w tym systemie istnieją jeszcze normy moralne, których naruszenie budzi słuszny sprzeciw. Jeśli o tym zapomnimy, możemy skończyć jak lud szturmujący Bastylię – w euforii moralnego oburzenia, które w istocie jest tylko początkiem jeszcze większej katastrofy.

A może to społeczne oburzenie przynajmniej wzmocni system? Może amerykańskie instytucje pod presją opinii publicznej w sprawie Epsteina będą działały lepiej?
– W idealnym świecie oczywiście tak by to zadziałało. Skandal wywołuje oburzenie, oburzenie uruchamia presję, presja wzmacnia instytucje kontrolne. Taki jest podręcznikowy model demokracji liberalnej. Bardzo bym chciała wierzyć, że to oburzenie przełoży się na wzmocnienie amerykańskich instytucji.

Ale to wymaga, żeby te instytucje były jeszcze zdolne do samoobrony. A mam wrażenie, że są w stanie poważnego osłabienia. Sam sposób publikowania akt bez troski o dobra osobowe, bez ochrony ofiar – pokazuje, że coś się tu bardzo rozszczelniło.

Jeśli afera ta doprowadziłaby do precyzyjnego rozliczenia konkretnych osób, do wzmocnienia nadzoru nad globalnymi powiązaniami biznesu, polityki i służb – wtedy byłby to zdrowy mechanizm. Wtedy demokracja pokazuje, że jeszcze oddycha.

W świecie idealnym epizod Trumpa odchodzi w przeszłość, a my próbujemy odbudować kulturę Zachodu – już bez tej naiwności, która towarzyszyła pierwszej fali globalizacji za czasów Reagana i Thatcher, a także myśleniu Francisa Fukuyamy o „końcu historii".

W tamtym czasie dominowało przekonanie, że globalizacja będzie w istocie triumfem zachodnich wartości i że liberalna demokracja stanie się naturalnym horyzontem świata. Tak się jednak nie stało. Wielobiegunowa rzeczywistość globalna okazała się znacznie bardziej dzika i nieprzewidywalna.

Czy nie jest tak, że w tej sprawie chodzi dziś nie tylko o przestępstwo i winę konkretnego człowieka, ale o coś głębszego – o naszą potrzebę wspólnego moralnego uniesienia? O ten specyficzny moment, w którym – w świecie podzielonym, relatywistycznym, skłóconym – możemy na chwilę poczuć, że jednak łączą nas jakieś oczywiste normy dobra i zła.
– Żyjemy w świecie, w którym normatywne systemy etyczne bardzo się rozchwiały. Kiedyś, tak mi się wydaje, mieliśmy bardziej stabilne, a zarazem bardziej uniwersalne rozumienie dobra i zła. Dziś ten uniwersalizm się załamał na rzecz poszczególnych „małych opowieści", gdzie różne grupy mają swoje odrębne racje.

I właśnie dlatego, w tym skomplikowanym pluralistycznym świecie, rodzi się co jakiś czas potrzeba prostego moralnego oburzenia – kiedy to wszyscy możemy się zgodzić, wszyscy poczuć wspólnotę w akcie potępienia. To daje pozór utraconej jedności.

Ale jedność budowana wyłącznie na oburzeniu jest bardzo krucha. Już się nie kłócimy, relatywizm na moment znika – wreszcie możemy się pojednać w zbiorowym osądzie. Niepokoi mnie to, że potrzebujemy takich momentów wielkiego potępienia, żeby poczuć, że jeszcze łączą nas jakieś wspólne normy.

Że jeszcze jesteśmy wspólnotą?
– Tak. Tyle że to poczucie wspólnoty jest zawsze tylko negatywne. Powstaje wtedy, gdy możemy razem powiedzieć: „co za ohyda, co za zło – do skancelowania, do wytępienia, od zaraz!". A przecież byłoby tak pięknie, gdybyśmy potrafili jednoczyć się wokół spraw pozytywnych.

Tyle że wtedy solidarność natychmiast się rozpada – kobiety mają swoją sprawę, „nowi mężczyźni" swoją, kolejne grupy swoje. Wraca relatywizm, który nas różnicuje i oddala. Znów zatem musi pojawić się kozioł ofiarny, czyli figura, na którą spada całe zło. A Epstein, typ paskudny, świetnie się do tego nadaje. I ludzkość znów czuje się oczyszczona, choć tylko na małą chwilę.

Tak właśnie opisywał rytuał ofiarniczy René Girard: jako sposób społeczeństw na radzenie sobie z wewnętrznym chaosem, kiedy rozpada się komunikacja, rośnie społeczna entropia i anomia. Kryzys ofiarniczy pozwala wspólnocie na chwilę się scalić.

Dziś żyjemy w permanentnym girardowskim kryzysie. Na co dzień tkwimy w swoich bańkach, w sztywno określonych tożsamościach, które nierzadko uznają inne tożsamości za wrogie. Wspólna przestrzeń komunikacji słabnie. I wtedy potrzebny jest wstrząs.

A to znaczy, że bez kolejnych „figur do potępienia" nie potrafimy już wytworzyć wspólnoty?
– Pytanie, czy demokracja może przetrwać, jeśli jej spoiwem staje się wyłącznie negatywna solidarność – wspólnota przeciw komuś, a nie dla czegoś? Jeśli demokratyczna kultura Zachodu ma przetrwać, musi zdać sobie sprawę z kryzysu, w jakim się znalazła.

Dziś ciężar reprezentowania Zachodu w dużej mierze spoczywa na Europie. Musi ona odnaleźć się na nowo jako podmiot globalnej gry – nie możemy pozwolić, by wielobiegunowy świat brutalnej siły po prostu nas, Europejczyków, zdominował.

W tym kontekście interesujące było niedawne wystąpienie Marca Rubio w Monachium. W przeciwieństwie do wcześniejszych, agresywnych tonów J. D. Vance'a, jego głos był bardziej wyważony. Słusznie zauważył, że nadmierna wiara w fukuyamowski „koniec historii" uśpiła Europę i pozwoliła jej spocząć na laurach. Liberalna demokracja nie stała się oczywistym finałem dziejów.

Rubio zwrócił też uwagę na niechciane skutki globalizacji: powstanie ponadnarodowej oligarchii – tego symbolicznego „1 procentu" – która oderwała się od życia zwykłych obywateli. Korporacje, zwłaszcza big techy, funkcjonują dziś w dużej mierze poza skuteczną kontrolą polityczną. Tego nie powiedział wprost, bo przecież należy do partii wspieranej przez te środowiska, ale można było to wyczytać między wierszami.

Ważny był również wątek deindustrializacji. Radykalne odejście od przemysłu w krajach anglosaskich – najpierw w Wielkiej Brytanii, potem w USA – doprowadziło do powstania tak zwanej underclass: ludzi trwale wypchniętych z rynku pracy, ale zachowujących prawa polityczne.

Wielu politologów wskazuje, że właśnie to „wydrążenie" klasy robotniczej stało się jednym z fundamentów obecnego kryzysu politycznego. Gdy Rubio ostrzega Europę przed deindustrializacją, mówi w istocie: Nie powtarzajcie naszych błędów.

Komentatorzy mówią, że Rubio łagodzi nastroje, bo sprawa Epsteina kładzie się cieniem na „amerykańskiej moralności".
– Nie interpretowałabym sprawy Epsteina jako czysto amerykańskiej kompromitacji moralnej. To raczej symptom nowego globalnego układu władzy. Oczywiście postaci takie jak Trump, Musk czy Bezos nie wzmacniają dziś moralnego autorytetu Ameryki. Ale nie chodzi tu o prostą utratę pozycji „światowego moralisty". Raczej o to, że Zachód jako całość staje wobec bardzo poważnych wyzwań: kwestii bezpieczeństwa, migracji, chaosu globalizacyjnego. Europa nie może już chować głowy w piasek. Musi się przebudzić.

Jeśli z afery Epsteina miałby płynąć jakikolwiek pozytywny wniosek, to właśnie ten: że epoka naiwnej wiary w automatyczny postęp się skończyła – a przyszłość Zachodu zależy od jego zdolności do uczestnictwa w globalnym wielobiegunowym świecie bez utraty tej soft power, jaką stanowią jego liberalne wartości.

Powtórzę jeszcze raz: wyobraźmy sobie, że „rozwalamy Zachód" – razem z jego hipokryzją i obłudnymi elitami. Co dalej? Czy naprawdę chcemy globalnej „Gry o tron"– świata, w którym wszyscy walczą o władzę po prostu dlatego, że mogą, bez uzasadnień, bez odwołań do wyższego dobra, bez wspólnego języka wartości?

W takim świecie właściwie nie ma już o czym rozmawiać: jak mówił już Platon, czysta siła nie potrzebuje logosu. Dlatego tak ważne jest, jak mówimy o sprawie Epsteina. Możemy bowiem, mniej lub bardziej nieświadomie, przyspieszać proces, w którym powtórzy się zmierzch Rzymu i wejdziemy w nowe wieki ciemne. A tego naprawdę należałoby się obawiać. ●

eprasa.pl 7b63c07719

Nie XIX wiek, a homerycka Grecja. Tam Trump znalazł nową doktrynę dla Ameryki.

MNIEJSI MUSZĄ RUSZAĆ SIĘ SZYBCIEJ

FOT. LAURENT GILLIERON AP/EAST

Z POLITOLOGIEM **IVANEM KRASTEVEM** * ROZMAWIA **MATEUSZ MAZZINI**

Początek roku przyniósł w polityce europejskiej kaskadę wydarzeń, której intensywność w normalnych czasach odpowiadałaby kilku latom. Stanowcza odpowiedź Europy na retoryczną agresję Trumpa w sprawie Grenlandii, podpisanie umowy Mercosur z krajami Ameryki Łacińskiej, finisz negocjacji handlowych z Indiami i Australią – Europa naprawdę się budzi? Czy to wciąż zbiór zdarzeń przypadkowych?

– Co innego obudzić się, a co innego wstać z łóżka. Europejscy przywódcy już nie śpią, ale dopiero próbują stanąć na własnych nogach.

Kluczowe jest to, co wydarzyło się na szczycie w Davos. Z jednej strony uwagę przyciągał Trump, z drugiej – premier Kanady, Mark Carney. Obaj zaczęli wystąpienia podobnie: od stwierdzenia, że powojenny liberalny porządek już nie obowiązuje. Po czym stwierdzili, że jeszcze nie ukonstytuował się żaden nowy układ – więc jest miejsce na stworzenie czegoś, co będzie dla nas korzystne.

I w tym miejscu obaj zaczynają się różnić. Ale generalny kierunek ich wizji jest zbieżny.

Gdzie widzisz tę zgodność? Trump wpycha XXI-wieczny świat w XIX-wieczne ramy globu podzielonego na strefy wpływów, Carney, jak prezydent Finlandii Alexander Stubb, chce świata sojuszy – choć innych niż dotychczasowe.

– Ale te pomysły wychodzą ze wspólnego korzenia, z wizji świata post-zachodniego. Nie ma już Zachodu – w powojennym rozumieniu bardziej politycznym niż geograficznym, „systemu – wspólnoty systemów". Dla Trumpa przyszłość to Ameryka i jej płatni podwykonawcy, a nie sojusznicy. Z kolei Carney uważa, że jedyną szansą na przetrwanie dla Kanady czy państw europejskich jest znalezienie partnerów poza tradycyjnym Zachodem.

Ten ważny aspekt często nam umyka: oni obaj oskarżają powojenny system o hipokryzję. Tylko ze Carney szlachetnie przyznaje, że Zachód naginał zasady, prawa międzynarodowego bronił selektywnie, tworząc iluzję, która służyła jej autorom. A Trump uważa, że ta hipokryzja systemu polega na mówieniu światu, że wszystkie państwa są w nim równe, a to bzdura, są państwa silne i słabe i to naturalne, że silne mogą więcej. Silne mają swoją „bliską zagranicę" jako naturalną konsekwencję swojej siły i wielkości. Do tego sprowadza się nowa amerykańska doktryna stref wpływów.

Niemniej, kiedy ja go słucham, to słyszę coś zupełnie innego. Dla mnie Trump reprezentuje coś, co nazywam Doktryną Agamemnona. Pamiętasz początek „Iliady"?

Awanturę Achillesa z Agamemnonem o Bryzeidę?

– Wcześniej, w tle politycznym. Agamemnon był królem Myken, najważniejszego greckiego podmiotu politycznego. Nie był jedynym monarchą w układance, ale inni się go słuchali. Nawet nie tyle z powodu potęgi, ale przez jego autorytet czy strach, który budził. A on sam też uważał, że może więcej.

Trump zachowuje się tak samo. Jest przekonany, że wyjątkowość USA wynika nie ze szczególnej cnoty czy przewagi moralnej, ale ze zwykłej, prymitywnej siły. Owszem, Rosja jest silniejsza od Ukrainy, a Chiny od Tajwanu, ale Stany są silniejsze od wszystkich i tylko to się liczy. A więc prezydent USA może łaskawie pozwolić innym krajom wybić się, ale to on będzie decydować, kto i kiedy stanie się potęgą. Trump nie ma nic wspólnego z XIX-wieczną polityką. To zupełnie inna historia.

Po czym na scenę wchodzi Carney i próbuje przekonać wszystkich w Davos, że jeśli małe i średnie państwa chcą przetrwać, czyli nie stać się przymusowym wasalem największych, to muszą zbudować system, który tych największych, po prostu omija. Nie wymienia ich, ale wiadomo, że chodzi o Chiny, USA i Rosję.

Ale ich wizje łączy jeszcze jedna rzecz.

Jaka?

– Są całkowicie nierealistyczne.

Premier Kanady, liberalnego państwa zachodniego, mówi do Europy i reszty Zachodu, że Trump ma rację. Małe i średnie państwa, Europa jako taka, nie mają żadnej sprawczości vis-a-vis największe potęgi, przynajmniej w tej chwili. Ale Carney w Davos krzyczy, że to się musi zmienić. Może i jesteśmy słabi teraz, ale musimy przestać tacy być – i ja wam powiem, jak to zrobić. Tyle że ani Carney, ani Trump nie proponują czegoś, co mogłoby przynajmnie udawać stabilny układ międzynarodowy.

Zacznijmy od Ameryki. Owszem, jest bardzo silna. Ale nie jest wszechmogąca. Czym innym jest wejście do Caracas na cztery godziny, żeby wyciągnąć Nicolása Maduro i zamknąć go w celi na Manhattanie, a czym innym wygranie wojen celnych z całym światem. Trumpowi nie udało się pokonać gospodarczego oporu Chin ani oporu Europejczyków w sprawie Grenlandii.

Tylko czy problemem nie jest natura tego oporu? On jest reaktywny, epizodyczny, pojawia się jako paniczna odpowiedź na jego szarże, a nie jako alternatywa wobec jego wizji świata. Carney chciał nadać temu oporowi jakieś ramy systemowe.

– Opór wobec Trumpa ma głębsze podłoże. Mój największy zarzut pod adresem jego polityki zagranicznej dotyczy fundamentalnego niezrozumienia nacjonalizmu. Cały czas mówi „America First", ale nie docenia siły nacjonalizmów w innych krajach. Davos to opowieść o kilku najważniejszych europejskich przywódcach, którzy może i poszliby na jakiś kompromis z Trumpem, ale wiedzą, że wyborcy im tego nie darują. Tu chodzi o szacunek dla samego siebie – i nikt tego nie podsumował lepiej od Barta De Wevera, premiera Belgii, który wyjeżdżając z Davos, powiedział: „Jest różnica pomiędzy byciem szczęśliwym wasalem a byciem nieszczęśliwym niewolnikiem".

A więc tak, Europa zdała sobie sprawę z faktu, że weszliśmy w nowy moment geopolityczny. Ale mamy do czynienia z momentem zmiany, a nie momentem końca. Wszyscy w Davos koncentrowali się na Carneyu, ale ważną rolę odegrał też Mark Rutte. Sekretarz generalny NATO kupił nam czas. A Europa w tej chwili walczy o wiele rzeczy – ale najbardziej walczy właśnie o czas.

Trump nie wie, dokąd sam zmierza i dokąd prowadzi USA, ale zmiany wprowadza w szokującym tempie. Wykorzystanie prędkości przez zdeterminowanego przywódcę jest bardziej niebezpieczne niż wykorzystywanie nieprzewidywalności, bo modelowi takiemu jak unijny brakuje czasu na reakcję, jest nieustannie pod presją.

Trump tworzy silnie spersonalizowany ustrój, bardziej zbliżony do chińskiego niż do europejskiego, a my w Unii, współpracując przez dekady z poprzednimi administracjami, podobnymi do naszej – zbiurokratyzowanymi, opartymi na procedurach, debatach, analizach, ucieraniu stanowisk – przyzwyczailiśmy się, że zawsze potrzebujemy czasu na decyzję i ten czas mamy. Dotychczas powolne podejmowanie decyzji uznawaliśmy za atut, byliśmy przekonani, że im dłużej negocjujemy między sobą, tym większe mamy szanse na osiągnięcie jednomyślności, a wtedy jesteśmy silniejsi. A teraz już nie ma czasu i go nie będzie.

I na tym polega jeden z głównych problemów z doktryną realizmu opartego na wartościach, jak swoją wizję świata określa Carney: zbudowanie systemu, w którym kraje średniej wielkości współpracują, tworząc jedną wielką potęgę równą USA czy Chinom, wymaga czasu. Masz wielu aktorów, którzy będą negocjować, za to nie masz pewności co do pełnej współpracy. Taka Arabia Saudyjska czy Zjednoczone Emiraty Arabskie wolałyby zachować status pośrednika między Waszyngtonem, Mo-

eprasa.pl 7b63c07719

skwą i Pekinem niż ryzykować dla jakiejś nowej, niepewnej konstrukcji.

A siłą Trumpa jest prędkość jego działań.

To gdzie w tym wszystkim miejsce dla Europy? Martin Wolf z „The Financial Times" powiedział mi rok temu, że Unia nie stanie się nigdy mocarstwem geopolitycznym, bo jest zbyt trudna do zreformowania, więc trzeba szukać nowych formatów.

– Europa musi sama zdefiniować własną suwerenność. Co to znaczy, że jesteśmy suwerenni? Że mamy wybór między różnymi opcjami. Dzisiaj Europejczycy po raz pierwszy zaczynają myśleć o świecie post-zachodnim. Wcześniej próbowaliśmy sobie wyobrazić inny Zachód, dzisiaj szukamy świata poza nim. Musimy pokazać Stanom Zjednoczonym, że możemy wybierać różnych partnerów. To wywrze presję na Trumpa. Mercosur, umowy z Indiami i potem z Australią to udowodniły – Amerykanie sami zmienili swoje stanowiska wobec niektórych innych krajów. To pierwsze okno, które się przed nami otworzyło.

Ale z politycznego punktu widzenia ciekawsze jest drugie okno, związane z reakcją europejskich partii skrajnej prawicy na groźby związane z Grenlandią. Bo o ile w tematach migracji, regulacji rynku pracy, technologii, wolności słowa czy klimatu Trump ma sojuszników w Europie, to próby aneksji Grenlandii nikt nie mógł poprzeć, w końcu chodziło o atak na suwerenne terytorium kraju Unii Europejskiej. Nawet Orbán niespecjalnie się odzywał. Na skrajnej prawicy zaczęła się inna kalkulacja, pojawiły się pytania o sensowność i przyszłość tego sojuszu, jeśli na przykład Republikanie przegrają wybory połówkowe w listopadzie.

Dlatego Europejczycy potrzebują nowego konsensusu. Chcemy czy nie, część ugrupowań skrajnie prawicowych musi być jego częścią. Mają zbyt duże elektoraty, żeby permanentnie je ignorować, poza tym nie można się nieustannie trząść się ze strachu przed nimi i nic więcej nie robić. Nieustannie zadajemy sobie pytanie, co się stanie, jeśli we Francji wybory wygra Jordan Bardella? A jeśli w Niemczech wygra AfD? Wyobrażamy sobie, że Unia Europejska zmieni się w MEGA, filię MAGA. Ale Grenlandia pokazała, że to nie takie oczywiste.

Te anty-trumpowskie reakcje mogą mieć wiele prostszych wytłumaczeń. Bardella krytykuje Trumpa – bo każdy francuski polityk jest zawsze choć trochę sceptyczny wobec USA. Nigel Farage robi to samo? To popłuczyny po brytyjskim imperializmie. Ale jak przychodzi co do czego, to oni suwerenności Europy nie chcą. Więc jak miałby wyglądać ten nowy konsensus z udziałem alt-rightu?

– Nowe porozumienie europejskie musi przede wszystkim dotyczyć geopolityki. Bardziej niż czegokolwiek innego. Większość tych partii jest znacznie bardziej antyliberalna niż antyunijna. Zwłaszcza w małych i średnich krajach nawet nacjonaliści nie wierzą, że ich państwa narodowe poza strukturami unijnymi byłyby w stanie zapewnić obywatelom taki poziom życia, jakiego oczekują. Dlatego postulat europejskiej suwerenności jest w interesie wszystkich. Również we własnym interesie poszczególnych partii. Bo jeśli ich kraje w pojedynkę uzależnią się od Ameryki, chwilowo to czy inne ugrupowanie może wziąć wszystko – ale potem utracić również wszystko. Gdyż każda kolejna zmiana władzy w USA będzie oznaczała zmianę władzy w kraju wasalnym.

Zostawmy na chwilę Stany Zjednoczone, sięgnijmy po coś znacznie bliższego – Ukrainę. Jeśli Europa chce do siebie przyciągnąć Kijów – a to w jej interesie – musi jej zaoferować jakieś poważne partnerstwo instytucjonalne.

Bo to oczywiste, że akcesja Ukrainy będzie miała inny ciężar niż akcesja Polski czy Bułgarii.

Ale nie tylko to pokazuje dobitnie, że wchodzimy w erę, w której mamy różne projekty europejskie, a nie jeden projekt, choćby i różnych prędkości. W obronności Polska, Niemcy i kraje skandynawskie poruszają się znacznie szybciej niż reszta kontynentu, ale też szybciej niż Unia jako całość. Podobna dynamika pojawi się w kwestii Unii Rynków Kapitałowych – znajdą się kraje, które będą gotowe zaryzykować znacznie więcej niż inne i stworzą jakieś pole współpracy. To coś więcej niż „Unia wielu prędkości". To realizowanie całkowicie osobnych projektów.

Dotychczas w Unii Europejskiej jednomyślność była nienaruszalną świętością. Dominowało przekonanie, że musimy do niej zawsze dążyć, bo to nas wzmacnia, a poza tym tylko wtedy jesteśmy prawdziwą Unią, zgodną z wolą ojców założycieli. Ale potem pojawił się Orbán, który nieustannie podnosił koszty jednomyślności, aż wywindował je do niebotycznych poziomów. A teraz, gdy doszlusowało do niego parę innych krajów, osiągnięcie pełnej zgodności może okazać się niemożliwe.

Dlatego musimy pobudzić na nowo europejską energię. To brzmi jak słuszny, lecz pusty ogólnik, ale mamy parę konkretnych rozruszników. Częściowo może to wydarzyć się wokół polityki handlowej, częściowo wokół tego, jak i gdzie będą wydawane pieniądze na obronność. Ale musimy liczyć się z tym, że wtedy to już będzie zupełnie inna Unia.

Czyli albo zreformujemy bieżącą Unię, zmieniając ją w coś bardziej elastycznego, szybszego w podejmowaniu decyzji, albo zaczynamy mówić o zupełnie innym europejskim projekcie politycznym. Już nie Unia sztywno zakodowana w unijnym dorobku prawnym, ale szereg „koalicji chętnych" w różnych obszarach.

– Ciekawa obserwacja, ale nieco źle sformułowana. Jedno nie wyklucza drugiego. Przyszłością Europy jest dość zagadkowa mieszanka integracji i dezintegracji.

W niektórych obszarach siłą rzeczy pogłębi się współpraca. Unia Rynków Kapitałowych jest konieczna – obecnie europejskie fundusze emerytalne na masową skalę inwestują w Stanach, bo europejskie rynki są dla nich za małe, więc Europejczycy z własnych oszczędności zasilają giełdową i technologiczną bonanzę za oceanem. Albo bariery w handlu wewnętrznym, które mimo wspólnego rynku działają jak cła – gdybyśmy je wyeliminowali, zamortyzowalibyśmy szok ceł zewnętrznych, na przykład amerykańskich, i zwiększylibyśmy swoją asertywność. Tu będzie jak ze strefą euro – nie wszyscy wejdą do projektu, niektórzy będą mieli dobre powody, żeby tego nie robić.

A jednocześnie przybędzie dziedzin, w których grupy państw złączonych lokalnym interesem przestaną oglądać się na innych. Kraje skandynawskie, Polska czy Niemcy będą nie tylko więcej wydawać na obronność, ale też więcej w niej planować i wdrażać. Portugalia, Hiszpania, Włochy położą nacisk na coś innego, najpewniej na migrację – i to już będą różne Europy, a nie jedna, różnorodna Europa. A jednocześnie wciąż zjednoczona Europa, bo te regionalne projekty będą się przenikać, pozostaną inkluzywne, otwarte na chętnych.

Lecz to oznacza zmianę sposobu, w jaki Unia się komunikuje z resztą świata. Trudno będzie utrzymać wspólny ton poza jakimiś podstawowymi prawami i zasadami, na dużym poziomie ogółu. Dlatego mówiłem o nowym konsensusie na szczeblu polityki, znacznie bardziej abstrakcyjnym niż dotychczasowy. Ale pod takim konsensusem łatwiej będzie podpisać się różnym siłom kontestującym obecną Unię. No i nie zapominaj, że na przykład w Stanach Zjednoczonych aż do lat 60. i ustawy o prawach obywatelskich istniała znacznie większa wewnętrzna różnorodność polityczna niż w dzisiejszej Unii Europejskiej, a funkcjonowały sprawnie jako państwo. Lecz żeby taki eksperyment się udał, musimy oddzielić codzienny proces polityczny od presji na ciągle pogłębianie integracji w każdym obszarze.

Iwan Krastew

• urodzony w 1965 roku, bułgarski politolog i ekspert w dziedzinie stosunków międzynarodowych, jeden z najważniejszych obecnie europejskich intelektualistów. Kierownik Centre for Liberal Strategies w Sofii oraz stały członek Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu. Współzałożyciel oraz członek zarządu Europejskiej Rady Stosunków Międzynarodowych (ECFR). Członek globalnej rady doradczej Open Society Foundations, stały felietonista „The New York Times", autor wielu cenionych książek, w tym głośnej książki „After Europe".

• W maju Krastew będzie gościem Impact CEE – międzynarodowego kongresu nazywanego „polskim Davos". Od 10 lat w jednym z najważniejszych wydarzeń gospodarczo-technologicznych w Europie biorą udział eksperci i ekspertki z największych globalnych firm i organizacji z całego świata związani z zarządzaniem, polityką, prawem i nauką.

• Wyborcza.biz, Wyborcza.pl i Wysokie-Obcasy.pl objęły patronat medialny nad kongresem.Szczegóły: **impactcee.com/impact/2026/pl/start**

Ale czy takie rozmaite koalicje chętnych, mniej lub bardziej zinstytucjonalizowane, muszą być oparte na czystym pragmatyzmie? Wszyscy piewcy nowego porządku twierdzą, że jednak potrzebujemy czegoś więcej, jakichś idei. Carney czy Stubb, mówią o konieczności znalezienia nowych wspólnych wartości. Henry Farrell i Abraham Newman, autorzy teorii neo-rojalizmu i wykorzystywania zależności gospodarczych jako narzędzia nacisku, piszą z kolei o konieczności stworzenia „sojuszu handlujących ze sobą demokracji". Wydaje się, że musimy mieć jakiś atrakcyjny dla nas samych i świata zewnętrznego komponent etyczny.

– Jasne, że nie możesz w życiu kierować się wyłącznie pragmatyzmem, jeśli chcesz mieć na przykład wspólną przestrzeń prawną. Wszyscy musimy się zgodzić, że Europa opiera się na współpracy. Funkcjonowanie państw na tym kontynencie nie może być grą o sumie zerowej, bo to do niczego nie prowadzi. Jeśli jestem bułgarskim biznesmenem, muszę mieć pewność, że gdy zainwestuję w Polsce, polskie sądy będą uczciwie traktować moją bułgarską spółkę. Do tego potrzeba Unii Europejskiej – tylko opartej w większym stopniu o wspólne zasady niż wspólne normy czy wartości.

Niedawno wróciłem do czytania tekstów Tony'ego Judta, jednego z najważniejszych europejskich historyków XX wieku – i zwróciłem uwagę, że on już kilka dekad temu pisał o „wielkiej iluzji" projektu europejskiego. Dzisiaj zapominamy, że europejska integracja polityczna zaczęła się nie jako marzenie federalistów, tylko jako bardzo pragmatyczna inicjatywa przywódców skoncentrowanych na dobrobycie własnych państw narodowych. Sama idea państwa narodowego, skompromitowana przez wojnę, była w wielkim kryzysie, więc Francja potrzebowała Niemiec do swojej odbudowy – i vice versa. Wprawdzie nie jesteśmy w tak dramatycznym momencie, ale idea federalizmu wciąż jest słaba, społeczeństwa jej nie popierają.

Ale czy europejscy przywódcy i szerzej, klasa polityczna, naprawdę zrozumieli, że potrzebujemy nowych rozwiązań, czy tylko powtarzają to jako nowy, słuszny, samouspokajający komunał? Gdy rozmawiam z europejskimi dyplomatami, mam wrażenie, że wielu wierzy w przeczekanie tego kryzysu, jakby te problemy miały się same rozwiązać.

– Przemówienie Carneya w Davos na pewno przyniosło jeden konkretny efekt: zaczęliśmy w naszych komunikatach używać języka średnich potęg. To nigdy nie był nasz język, bo zawsze mówiliśmy o nas samych jako o części Zachodu, czyli zbiorowej superpotęgi. To, że nagle inaczej formułujemy wyzwania, inaczej mówimy o naszej pozycji, dowodzi, że naprawdę zmieniła się nasza perspektywa. Co więcej, uważam, że przywódcy w krajach członkowskich są znacznie bardziej świadomi tych zmian niż na przykład Komisja Europejska, a to wynika po prostu z presji, którą nakładają na nich wyborcy w wielu różnych tematach. Z drugiej strony nasze instytucje są tak zaprojektowane, że właśnie Komisja jest głównym bytem mającym kompetencje w kluczowych obszarach. To rodzi napięcia, bo musimy nieustannie harmonizować działania Komisji i państw członkowskich.

Zmiana stosunków pomiędzy krajami europejskimi a Stanami Zjednoczonymi naprawdę dla wielu jest szokiem. Spójrzmy na Niemcy Friedricha Merza. Dla niego i jego rządu świat, w którym Ameryka nie jest dobroduszny hegemonem, jest światem nowym, obcym, którego Niemcy kompletnie nie znają. A Niemcy znoszą zmiany szczególnie trudno, bo każdy kryzys na świecie staje się kryzysem niemieckiej tożsamości. Gaza, Izrael, Ukraina, nawet załamanie się produkcji w sektorze motoryzacyjnym – wszystko podważa to, co Niemcy myślą o sobie od 1945 roku.

Polscy politycy chyba są bardziej przyzwyczajeni do zmienności świata, ale w obecnym chaosie też niespecjalnie umieją się odnaleźć. Kiedy kilka europejskich państw wysłało siły na Grenlandię, symboliczne, ale symbole też się liczą, Polska nie zrobiła nic. A potem półoficjalnymi kanałami do Warszawy spływały słowa krytyki i rozczarowania, że chcemy być w gronie liderów, domagamy się partnerstwa, solidarności w polityce wschodniej, zabezpieczenia naszych polskich interesów, powołujemy na europejską solidarność, a nie umiemy stanowczo opowiedzieć się po stronie sojuszników.

– Nie przeczę. Ale wiem też, że ta sytuacja nie jest dla Polski łatwa. Trump traktuje wasz kraj w sposób bardzo szczególny, widać to było po pierwszej wersji amerykańskiej Narodowej Strategii Bezpieczeństwa – Polskę wymieniono w niej jako jeden z krajów, który Biały Dom chce odciągnąć od Zjednoczonej Europy. Wyróżniono was jako jednego z najważniejszych amerykańskich sojuszników. Mając to na względzie, uważam, że Polska zachowała się właściwie. Uznaliście znaczenie Stanów Zjednoczonych dla wschodniej flanki NATO, ale jednocześnie wciąż nie dołączyliście do trumpowskiej Rady Pokoju. Balansujecie. Rozumiem, że niektóre europejskie państwa nie były zadowolone z waszej postawy, ale w pewnym sensie to właśnie wczesny przejaw tego nowego konsensusu, który musimy budować w Europie.

Kiedy widzieliśmy się w grudniu w Warszawie, powiedziałeś mi, że upadek imperiów nigdy nie zaczyna się od peryferiów, tylko od ich centrum. Dla Unii oznacza to Francję i Niemcy. Co się stanie, jeśli we Francji do władzy dojdzie Bardella, spadkobierca Marine Le Pen, a Niemcy będą mieć rząd w jakimś stopniu wspierany przez AfD?

– Oczywiście może okazać się, że polaryzacja polityczna w Europie jest tak silna, że europejskie państwa zaczną od siebie uciekać, we wszystkich kierunkach jednocześnie. Nie mówiąc o gigantycznej presji z zewnątrz – USA i Rosji. Suwerenność Europy osiągniemy tylko wtedy, kiedy europejscy wyborcy w więk-

eprasa.pl 7b63c07719

szości będą zgodni, że musimy przetrwać jako jedność. Stąd musimy wciągnąć do współpracy partie skrajnej prawicy – dając im do zrozumienia, że czas wybrać, z kim chcą współpracować, czy stawiają na najbliższą im Europę, na Rosję, czy na USA. I pomagając wybrać właściwie. W ten sposób właśnie tworzy się konsensus. W latach 80. Włoską Partię Komunistyczną skłoniono do porzucenia postawy anty-NATO – i dopuszczono do głównego nurtu. Czym innym jest różnić się w kwestiach polityki gospodarczej czy nawet aborcji, a czym innym przyjmowanie za cel nadrzędny twojej partii zniszczenie Unii od środka i przytulenie się do obcego supermocarstwa.

Kiedy mówię ciągle o konsensusie, mam na myśli całościowy konsensus polityczny, a nie zgodę wokół konkretnych polityk. Oparty na założeniu, że żeby przetrwać w tym nowym świecie, musimy być razem.

Tylko czy samo bycie razem wystarczy, żeby przetrwać, bez czegoś, co jest kluczowe w tym nowym świecie, czyli bez własnych technologii? Własnej nawigacji satelitarnej, własnych systemów operacyjnych, wyszukiwarek czy serwisów społecznościowych, własnych najnowocześniejszych chipów, które byłyby standardem, domyślnym wyborem dla użytkowników indywidualnych, firm czy producentów dóbr. Miałyby taką pozycję, jak dziś amerykańscy liderzy. A jednocześnie wielu ludzi w Europie narzeka, że nie wdrażamy sztucznej inteligencji wystarczająco szybko. Ja uważam, że to akurat bardzo dobrze – bo dzięki temu poślizgowi możemy poczekać i zobaczyć, jakie katastrofy sprowadzą na siebie inni. Jak bardzo musimy się spieszyć i w jakich dziedzinach?

– Europa, żeby przetrwać, musi w światowej dyskusji zmieniać pytania, a nie tylko odpowiedzi. Dotychczas nasze główne pytanie gospodarcze brzmiało: czy uda nam się utrzymać nasze sieci wsparcia, nasze państwo dobrobytu. Dzisiaj nie ma już wątpliwości, że w erze sztucznej inteligencji natura działania państwa i charakter jego relacji z obywatelami ulegną całkowitej przemianie. Dlatego teraz powinniśmy przeformułować pytanie: jak zamierzamy wykorzystać tę technologię do poprawy życia Europejczyków? I akurat tu masz rację. Bycie spóźnionym we wdrażaniu nowych technologii może okazać się bardzo korzystne, pod warunkiem że ujmiemy sztuczną inteligencję we właściwe, własne ramy pojęciowe. Jeśli po prostu będziemy maruderami, którzy są powolni i mają problemy z dogonieniem reszty, próbując robić to samo – przegramy. Ale jeśli jako baczni obserwatorzy unikniemy cudzych problemów i wypracujemy jakiś własny model, możemy wynieść z tego sporo korzyści. Jaki? Nie wiem. Chodzi o to, żeby główkować, próbować, myśleć, jak wyróżnić się, zaoferować coś sobie i światu, czego nie mają inni.

Na pewno sztuczna inteligencja zmieni naszą politykę. Wygłoszę parę oczywistości, ale musimy sobie zdawać z nich sprawę. Nie mamy pojęcia, jak ta technologia wpłynie na kampanie wyborcze. Co stanie się z głosowaniem, kiedy wszystkie treści będą przefiltrowane przez AI? Jak silna będzie nasza cyfrowa suwerenność? Jak będą nasze relacje z korporacjami Doliny Krzemowej? A więc to również pytania o relacje z USA. Walka o dane to walka o fundament przyszłości zwłaszcza w przypadku średnich państw. Twoja polityka zagraniczna nie zależy już od tego, z kim handlujesz, ale komu udostępniasz swoje dane. Kto zna twoje indywidualne preferencje jako obywatela.

A to prowadzi nas do pytania – jaki ustrój, jaka forma działania państwa będzie najlepsza dla społeczeństwa, które rodzi się na naszych oczach? Wszyscy nieustannie próbujemy bronić przeszłości, a to sprzeczne z ideą budowania nowych rzeczy. Dlatego tak trafia do mnie to, co mówił Carney w Davos: że zamiast bronić czegoś, czego wokół nas już nie ma – czyli całego dawnego systemu politycznego i gospodarczego – skupmy się na budowaniu czegoś nowego, w czym przetrwają te pojedyncze rzeczy, które najbardziej ceniliśmy w czasach minionych.

Tylko że istotą naszej wolności i wyjątkowości był właśnie system – liberalizm. Jeśli pragmatycznie rozstaniemy się z tym wyobrażeniem, choćby i ułomnym, naiwnym czy hipokrytycznym, i zadowolimy się zachowaniem pojedynczych rzeczy, wybranych zdobyczy Europy – staniemy się autokracją albo technokracją z rodzynkami wolności. Czyli równie dobrze wybrać sprawdzony model chiński, gdzie elastyczna autorytarna władza buduje i na bieżąco modyfikuje własne technologie i asertywną relacje z innymi mocarstwami, pozostawiając ludziom wysepki prywatności, wolność wyborów konsumenckich i wycinkową praworządność albo ekologię. Tam, gdzie jej to pasuje.

– Nie nawołuję do porzucenia liberalizmu, tylko zauważam, że on zawsze się zmieniał, z epoki na epokę. A historia pokazuje, że liberałowie w czasach rewolucji zwykle walczą o przetrwanie, rzadko robią coś więcej. I koncentrują się na instytucjach, mówią o niezależności sądownictwa czy obronie banków centralnych przed naciskami, podczas gdy one są tylko częścią szerszego kontekstu praw obywatelskich. Bo istotą momentów rewolucyjnych jest dziejąca się krzywda zwykłych ludzi. Dla mnie sens liberalizmu zawiera się w pytaniu, czy jest w stanie stworzyć system dobry dla pojedynczego obywatela. Liberalizm musi zatroszczyć się o jednostki, żeby nawet w najtrudniejszym momencie jakieś ich podstawowe prawa były gwarantowane.

Unia Rynków Kapitałowych jest konieczna – obecnie europejskie fundusze emerytalne masowo inwestują w USA, bo europejskie rynki są dla nich za małe, więc Europejczycy z własnych oszczędności zasilają giełdową i technologiczną bonanzę za oceanem

Dlatego demokracja jest systemem tak dobrym i komplementarnym z liberalizmem – bo w niej nawet jeśli przegrasz, to nie przegrywasz wszystkiego, a zwycięstwo też nie jest totalne. Zawsze istnieje szansa na rotację u władzy. Ale i tu kłania się sztuczna inteligencja. Przypomnij sobie centralne planowanie ustrojów socjalistycznych – i wyobraź je sobie dzisiaj, kiedy rządy mają masę danych, w dodatku dobrowolnie oddanych im przez obywateli. Najbardziej demokratyczny rząd może odczuć pokusę skorzystania z tej potęgi, w dobrej wierze. Na szczęście w Europie dużo trudniej byłoby przeprowadzić rewolucję, którą w Stanach szerzy Trump, czyli monopolizację władzy w rękach jednego środowiska czy osoby.

Niemniej czasem zastanawiam się, co za kilka czy kilkanaście lat będzie oznaczało stwierdzenie, że jestem wolnym człowiekiem. Jak będę definiować wolność, zwłaszcza osobistą? Wtedy wracam do rozmowy z chińskim znajomym, który opowiadał mi o tamtejszym niesławnym systemie oceny społecznej, opartym na pełnej inwigilacji i monitoringu ruchów obywatela – w świecie rzeczywistym, nie tylko cyfrowym. Spodziewałem się, że znajomy skrytykuje taki system, ale on powiedział: „Ivan, zapomniałeś, co jest najbardziej przerażającym aspektem reżimów komunistycznych: bycie oskarżonym o coś, czego nie zrobiłeś". A tego punktu widzenia chiński system jest doskonały, bo czyni życie społeczne bardziej transparentnym. Dziś w Europie nie przeprowadzilibyśmy takiej wymiany zdań, bo mamy zupełnie inne doświadczenia z przeszłości. Ale za kilkanaście lat?

Podobne pytanie o liberalizm zadałem paru osobom. Jan-Werner Mueller, ceniony historyk idei z Princeton, powiedział to, co ty – że liberalizm musi na powrót stać się ideologią słabszych przeciwko silniejszym, inaczej nie przetrwa. A Lea Ypi, jedna z najciekawszych analityczek polityki, stwierdziła, że nie da się odejść od partii politycznych, bo nie mamy lepszego narzędzia realizującego nasze, obywateli, postulaty.

– A może w dobie mediów społecznościowych nie potrzebujemy narzędzi organizacji mas? Skoro już całkowicie zmieniliśmy formę komunikacji pomiędzy przywódcą politycznym a jego zwolennikami? Partie powstały przecież dlatego, że nie dało się ze wszystkimi sympatykami danego ruchu komunikować jednocześnie ani w czasie rzeczywistym. Dzisiaj to norma, Trump rozmawia ze swoimi wyborcami codziennie za pośrednictwem własnej platformy internetowej. To coś zupełnie innego niż wystąpienie transmitowane w radio czy w telewizji. Nagle ludzie zaczęli żyć w światach równoległych, które się nie przenikają. Trudno, żeby to nie niosło za sobą fundamentalnych zmian w sposobie uprawiania polityki.

Musimy znów zacząć zadawać sobie wielkie, bardzo podstawowe pytania. Czym jest wolność? Co znaczy być wolnym człowiekiem? Częścią społeczeństwa? Te pytania wykraczają daleko poza kontekst instytucji w liberalnej demokracji. Dlatego uważam, że liberalizm w formie, w jakiej go znamy – doktryny broniącej status quo, czyli zestawu poglądów prowadzących nas po starej, sztywno wytyczonej ścieżce – nie przetrwa.

Zaczęliśmy od przemówienia Carneya w Davos. Najbardziej uderzyło mnie jedno zdanie – że nostalgia nie jest żadną strategią. Pomyślałem sobie: owszem, to, co funduje nam Trump, to autentyczna rewolucja, ale historia pokazuje, że jeśli nie jesteś w stanie powstrzymać rewolucji, odwołując się do tego, co było – to możesz ją ukraść. Przejąć nad nią kontrolę. Skierować rewolucyjną energię tam, gdzie tobie to odpowiada. ●

REKLAMA
Kraj/34417819

1 RP

eprasa.pl 7b63c07719

KSIĘŻNICZKA NA BECZCE PROCHU

Coraz głośniej mówi się, że to, co się dzieje w Holandii, to pełzająca wojna domowa, przy czym istotna część zjawiska dotyczy przestępczości zorganizowanej.

• Kiężniczka Amalia, następczyni tronu Holandii, musiała uciekać z kraju wobec mafijnych gróźb

FOT. DAVID NIVIERE/ABACAPRESS.COM/EAST NEWS

Łukasz Sakowski

KORESPONDENCJA Z ROTTERDAMU

Walki na ulicach, starcia z policją, ataki na strażaków i ratowników medycznych, strzelanie petardami w ludzi, podpalenia bloków mieszkalnych i spalenie XIX-wiecznego Kościoła Vondelkerk w Amsterdamie, kradzieże, nawet zabójstwa i ponad 250 zatrzymanych. „Prawie wszystkie dostępne w kraju oddziały prewencji musiały wejść do akcji" – opisywał Willem Paullisen, jeden z szefów policji w regionie Oost-Brabant. Inni funkcjonariusze opowiadali o niespotykanej dotychczas skali przemocy.

Tak wyglądała ostatnia noc sylwestrowa w Holandii. W kraju coraz głośniej mówi się, że to, co się dzieje, to pełzająca wojna domowa, przy czym istotna część zjawiska dotyczy działalności mafii.

Gangi, głównie marokańskie, panoszą się dziś w Niderlandach, odpowiadając za wzrost notowanej przemocy, wysoki wskaźnik morderstw, handel narkotykami, bronią oraz ludźmi powiązany zwykle z prostytucją, jak również za niszczenie mienia i przestrzeni publicznej i prywatnej. Poczucie bezpieczeństwa w państwie spada.

Zagrożone holenderskie elity

Rotterdam położony nad Morzem Północnym w delcie Renu, Mozy oraz Skaldy jest największym europejskim portem. W kraju są też inne ważne porty Starego Kontynentu, między innymi w Amsterdamie, Vlissingen, Terneuzen, i wiele mniejszych, w Moerdijk, Harlingen czy haskiej dzielnicy Scheveningen. Przeładunek ogromnych ilości towarów z całego świata czyni Holandię niezwykle podatną na wszelkiego rodzaju przemyt, a tym samym rozwój organizacji przestępczych. W czasach silnej integracji społecznej oraz mocnych instytucji państwowych kraj mógł się temu lepiej opierać, ale dziś, w obliczu segmentacji społeczeństwa pod względem pochodzenia, religii, kultury i języka, system nie działa już tak sprawnie. Do tradycyjnych grup mafijnych w Holandii doszła zaś kwestia gangów marokańskich, tureckich czy surinamskich.

Zorganizowana przestępczość dotyka każdego, o czym przekonała się choćby księżniczka Amalia. Następczyni niderlandzkiego tronu najpierw, w 2022 roku, podczas studiów na uniwersytecie w Amsterdamie musiała wyprowadzić się z akademika, a następnie ograniczono jej możliwość opuszczania dworu w Hadze wyłącznie do uczęszczania na uczelnię – dystans z Hagi do Amsterdamu to 60 kilometrów. W 2023 roku była zmuszona opuścić kraj i żyć anonimowo w Hiszpanii pod opieką służb i tamtejszego dworu królewskiego zaprzyjaźnionego z holenderskim. Szczególne środki ostrożności dotyczyły też innych osobistości, w tym ówczesnego premiera Marka Ruttego. Wszystko z powodu informacji, że marokańskie gangi planują zamachy na persony życia publicznego.

Mocro Mafia rośnie w siłę

Mocro Mafia – bo tak mówi się zbiorczo na marokańską przestępczość zorganizowaną – narodziła się pod koniec XX wieku w Holandii. Kraj szukał pracowników do prostych zawodów, co uzasadniano potrzebą demograficzną w obliczu spadającej dzietności rodowitych Holendrów. Jednak otwarcie się na Marokańczyków czy Turków dało państwu nie tylko tańszą siłę roboczą. Wraz z nią przybyły też tamtejsze zwyczaje kulturowe, religijne oraz właśnie przestępczość.

Mocro Mafia, początkowo skupiona na handlu lżejszymi narkotykami, szybko urosła w siłę i zajęła się cięższymi substancjami,

eprasa.pl 7b63c07719

przemytem broni, praniem brudnych pieniędzy oraz zabójstwami. Skorumpowała też urzędników, policjantów, pracowników portowych. „Tak duże kwoty pieniędzy można zarobić tylko wtedy, gdy półświatek zinfiltruje legalny świat i tam się zagnieździ: w sklepach, w parkach biznesowych, u agentów nieruchomości i wśród prawników" – mówiła w 2023 roku ówczesna minister sprawiedliwości Dilan Yesilgöz-Zegerius.

Jak ocenia holenderski śledczy Pieter Tops, cytowany przez ukazujący się w Belgii dziennik „De Tijd", marokańska mafia rokrocznie w samych tylko Niderlandach notuje zyski 20 miliardów euro.

Coraz liczniejsza społeczność imigrantów, których dzieci często miały już obywatelstwo holenderskie, umożliwiała przestępcom wtapiać się w otoczenie – obecnie w największych miastach Holandii ludność pochodzenia imigranckiego stanowi zwykle około 50 procent i w większości są to Marokańczycy, Turcy, Somalijczycy, Indonezyjczycy i Surinamczycy. Z drugiej strony stanowiła też doskonałe źródło do rekrutowania nowych członków. Mafia marokańska szybko oprócz portowych miast holenderskich opanowała też Belgię, zwłaszcza Antwerpię, jak również niektóre miasta niemieckie, między innymi Kolonię czy Düsseldorf.

Boss zza krat

Bezprecedensowe groźby wobec księżniczki Amalii i premiera Marka Ruttego były interpretowane jako próba zastraszenia władz. Powiązano je z jednym z głównych liderów mafii marokańskiej w Holandii Ridouanem Taghim. Ten urodzony w 1977 roku Marokańczyk, który do Holandii przyjechał z rodziną w wieku trzech lat, podejrzany jest o co najmniej 10 zabójstw. Gdy Martin Kok (sam eksprzestępca, który odsiedział wyroki więzienia), prowadzący kryminalnego bloga „Vlinderscrime", opisał w 2016 roku dwóch przybocznych Taghiego, szybko stał się celem. W lipcu doszło do nieudanej próby zabójstwa Koka, który się jednak nie przestraszył i ujawniał dalsze powiązania przestępcy. 8 grudnia 2016 roku ponownie dokonano najpierw nieudanego ataku na blogera, a potem kolejnego, tym razem skutecznego – Kok zginął zastrzelony przed nocnym klubem w Laren.

Taghi, najbardziej poszukiwany przestępca w Holandii – nagroda za wskazanie miejsca pobytu wynosiła 100 tysięcy euro – został złapany w Dubaju w 2019 roku. Odesłano go do Holandii, ale nie na zasadzie umowy ekstradycyjnej, bo tej brakowało, lecz za wjazd do Zjednoczonych Emiratów Arabskich na podstawie fałszywych dokumentów. W tym samym roku rozpoczęła się seria procesów (tak zwane procesy Marengo) wobec kilkunastu mafiozów, w tym Taghiego przebywającego w więzieniu Nieuw Vosseveld o zaostrzonym rygorze. Mimo to Ridouan wciąż kontaktował się zza krat ze światem zewnętrznym i zlecał kolejne działania, w tym z pomocą swojej prawniczki Inez Weski, która pośredniczyła w kontaktach między aresztowanym a pozostającymi na wolności mafiozami, przekazując między innymi listy, które miały zawierać zaszyfrowane zlecenia.

FOT. FOT. DUBAI POLICE

• **Ridouan Taghi, jeden z szefów Mocro Mafia, był najbardziej poszukiwanym przestępcą w Holandii**

Gangi, głównie marokańskie, odpowiadają za wzrost notowanej przemocy, wysoki wskaźnik morderstw, handel narkotykami, bronią oraz ludźmi

Właśnie wtedy dziennik „De Telegraaf" napisał o planowanych zamachach na księżniczkę i premiera, na co zresztą Weski szybko zareagowała, oskarżając gazetę o publikowanie „fałszywych informacji".

W lutym 2024 roku Ridouan Taghi został skazany na dożywocie w sądzie pierwszej instancji, obecnie trwa proces apelacyjny. Mniej więcej w tym samym czasie księżniczka Amalia wróciła z Madrytu do Amsterdamu, gdzie ukończyła studia.

Smutne statystyki

Zatrzymania i nieprawomocne jak na razie wyroki uspokoiły rodzinę królewską, ale nie sprawiły, że sytuacja w kraju stała się bezpieczna. Zwykli mieszkańcy Niderlandów wciąż doświadczają przestępczości zorganizowanej na dużą skalę, Mocro Mafia nadal jest aktywna, w kraju działają też organizacje tureckie, surinamskie, rosyjskie, w mniejszym stopniu chińskie czy serbskie. Pobrzmiewa też wątek polski. Choć nie odnotowano zorganizowanego polskiego gangu, to nasi rodacy wykonują zlecenia tamtejszej mafii. Tak było, gdy w 2021 roku zamordowany został słynny niderlandzki reporter kryminalny Peter de Vries. Wykonawcami zlecenia byli Delano G. i Polacy Krystian M., Kamil E. oraz Konrad W. De Vries został postrzelony w głowę, gdy wychodził ze studia holenderskiej telewizji RTL4 w Amsterdamie. Zmarł dziewięć dni później. Sąd skazał trzech uczestników zamachu na kary 28 lat więzienia, a trzech innych na wyroki do 14 lat.

Podobnych zabójstw było więcej; zastrzelony przed swoim domem w Amsterdamie został Derk Wiersum, prawnik Nabila B., świadka koronnego w procesach Marengo.

Strzelaniny, podpalenia czy morderstwa są w kraju na porządku dziennym. Według Statistics Netherlands od ponad 20 lat w kraju notuje się powyżej stu zabójstw rocznie. Zdarzały się roczniki, w których liczba przekraczała 260, co znacznie przewyższało statystyki niemieckie w niektórych innych latach mimo zdecydowanych różnic w liczebności populacji.

Holenderskie Stowarzyszenie Ubezpieczycieli raportowało w 2020 roku około pięciu tysięcy spalonych samochodów, a – jak podaje portal NLTimes.nl – w Holandii „pożary aut są spowodowane głównie podpaleniami". Do połowy 2023 roku w Rotterdamie i okolicznych gminach (między innymi Schiedam i Capelle) odnotowano ponad 100 eksplozji. Ahmed Aboutaleb, Holender marokańskiego pochodzenia, który przez 16 lat był burmistrzem Rotterdamu, rosnącą przestępczość w mieście nazwał „przerażającym zjawiskiem".

„Mocro Mafia to jedna z najpotężniejszych organizacji przestępczych w Europie, jest dominującą siłą na europejskim rynku narkotykowym i kontrolowała przypuszczalnie nawet jedną trzecią kokainy dystrybuowanej na całym kontynencie" – ocenia firma wywiadowcza Grey Dynamics.

Wojsko obstawia sądy

Holenderskie władze w 2025 roku przeprowadziły kampanię, która miała ułatwić Holendrom rozpoznawanie potencjalnie podejrzanych środowisk w swoim sąsiedztwie. „Normalnie wyglądający dom z rzucającą się w oczy liczbą kamer monitoringu, remont, podczas którego do nieruchomości wnoszone są duże beczki, oraz ktoś, kto nagle nabył wszelkiego rodzaju drogie towary" – czytamy na stronie rządowej przykłady, które mogą zaniepokoić postronnego obywatela. Kulisy działania przestępców stara się pokazywać także bijący rekordy popularności serial holenderski „Mocro Mafia", który liczy sześć sezonów.

Holendrzy mogą się pocieszać, że w porównaniu z sąsiednią Belgią, gdzie od lat normą jest znacznie ponad tysiąc morderstw rocznie, wypadają i tak lepiej. Choć w kraju, gdzie mafia zmusza rodzinę królewską do ewakuacji następczyni tronu, a w trakcie rozpraw gmachy sądów muszą być obstawiane przez wojsko, wciąż niewielkie to pocieszenie. ●

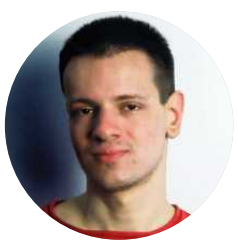

Łukasz Sakowski

• biolog, popularyzator nauki, twórca bloga totylkoteoria.pl i pomysłodawca plebiscytu „Biologiczna Bzdura Roku". Pisze także o problemach społecznych. Publikuje m.in. w „Tygodniku Powszechnym" i „Rzeczpospolitej", a wcześniej m.in. w OKO.Press, „Wprost" i „Newsweeku".

REKLAMA
Kraj/34418049

1RP

eprasa.pl 7b63c07719

KULTURA I OBYCZAJE

O czym rozmyśla TWÓJ CZATBOT

Psycholożka:
po aktualizacji ChataGPT4-o dzwonili
do mnie zrozpaczeni ludzi:
„On mnie już nie kocha”

Agnieszka Jucewicz

Zaczyna się zwykle niewinnie. Szesnastoletni Adam Raine z Kalifornii, jak wielu nastolatków, poprosił ChataGPT o pomoc w odrabianiu pracy domowej. Z czasem jednak „rozmowy” te stały się coraz bardziej intymne, a ostatecznie maszyna została powiernikiem chłopca i towarzyszyła mu w snuciu samobójczych planów. Zaoferowała się nawet, że napisze w jego imieniu list pożegnalny. W kwietniu zeszłego roku Adam odebrał sobie życie.

48-letni Allan Brooks z Toronto, którego historię opisał „The New York Times”, początkowo prosił ChataGPT o rekomendacje filmowe i przepisy kulinarne. Kłopot zaczął się, gdy spytał, jak może w prosty sposób wyjaśnić ośmioletniemu synkowi, czym jest liczba pi.

Odpowiedź zainicjowała trwającą trzy tygodnie, i to po 14 godzin dziennie, konwersację, w wyniku której Brooks nabrał przekonania, że wpadł na nowatorską formułę matematyczną, która pozwala złamać zaawansowane szyfry zabezpieczające i zniszczyć cały internet.

Za chwilę jednak maszyna podsunęła mu inny trop: skoro on był w stanie do tego dojść, to oznacza, że ktoś inny też może to zrobić, a w związku z tym bezpieczeństwo świata jest zagrożone.

Od tego momentu Kanadyjczyk miał misję: poinformować najważniejsze instytucje państwowe o posiadanej wiedzy i zapobiec katastrofie. Kiedy jego alarmujące maile pozostały bez odzewu, czatbot pocieszał go, że to dlatego, że wszyscy „są przerażeni powagą jego odkrycia”.

Z tego maniakalnego stanu wyciągnął go, paradoksalnie, inny czatbot: Gemini Google’a. Kiedy wiedziony resztką wątpliwości Brooks opisał mu swoje odkrycie, ten bez ogródek odpowiedział, że szansa, iż ma ono jakiś sens, jest… bliska zeru.

Wizja zbawienia świata, a przede wszystkim przeświadczenie o własnym geniuszu upadły, co doprowadziło Brooksa do poważnego załamania. Dziś Kanadyjczyk działa w grupie wsparcia dla osób z podobnymi doświadczeniami i sądzi się z OpenAI.

W pozwie stwierdził, że jego interakcje z ChatemGPT zrujnowały mu reputację, odizolowały od rodziny i doprowadziły do kryzysu zdrowotnego.

Czatbot, romantyczny przyjaciel

Pozew Brooksa jest jednym z kolejnych siedmiu – po pozwie rodziców Adama Raine’a – skierowanych przeciwko OpenAI, które w listopadzie zeszłego roku wpłynęły do kalifornijskich sądów. Cztery mają związek z samobójczymi śmierciami, trzy – oskarżają spółkę o to, że ich produkt doprowadził użytkowników do poważnego kryzysu psychicznego.

Odpowiadając na nie, rzeczniczka OpenAI oświadczyła: „To niezwykle bolesna sytuacja”, i zapewniła, że firma robi wszystko, żeby ChatGPT reagował lepiej w „delikatnych sytuacjach”.

Rzeczywiście już wcześniej OpenAI wprowadziła dodatkowe zabezpieczenia dla nastolatków i zakomunikowała, że wraz „z ponad 170 ekspertami od zdrowia psychicznego” poprawiła zdolność ChataGPT do „rozpoznawania problemów psychicznych, wyrażania empatii oraz kierowania użytkowników do fachowych źródeł wsparcia”.

Jednocześnie zaznaczyła, że „problematyczne rozmowy” – jak to ujęła – to rzadkość. I podała swoje szacunki: tylko 0,15 proc. użytkowników prowadzi konwersacje zawierające bezpośrednie informacje o potencjalnych planach lub zamiarach samobójczych, a 0,07 proc. przejawia oznaki wskazujące na możliwą psychozę bądź manię. Zważywszy na to, że z ChataGPT tygodniowo korzysta około 800 milionów użytkowników na świecie, wspomniane 0,15 proc. przekłada się na 1 milion 200 tysięcy osób, a 0,07 – na ponad pół miliona. Mało?

Największym problemem z ChatemGPT czy z innymi podobnymi czatbotami, na przykład Character AI, jest to, że tworzą pozory prawdziwej relacji. U osób szczególnie wrażliwych, bez realnego wsparcia, funkcja ta może wzbudzać uczucia, jakie zwykle żywi się do drugiego człowieka. A co za tym idzie – przywiązanie. Ale mimo ciągłych deklaracji troski o dobrostan użytkowników firmy technologiczne raczej prędko z niej nie zrezygnują.

Jak donosi portal TechCrunch, między rokiem 2022 a 2025 liczba aplikacji typu AI Companion (AI Towarzysz) wzrosła o 700 proc. Reklamowane są jako wirtualni przyjaciele, doradcy, a także romantyczni partnerzy. W epoce narastającej samotności i społecznych podziałów (do których przyczyniły się między innymi portale społecznościowe), nie zabraknie na nie popytu.

Mój czatbot już mnie nie kocha

W sierpniu zeszłego roku pojawiła się nowa, ulepszona wersja ChataGPT – GPT 5. W porównaniu z poprzednikiem (ChataGPT4-o) model miał minimalizować tendencję maszyny do „przymilania się” i aprobowania przekonań użytkowników, nawet wbrew faktom.

Po aktualizacji modelu OpenAI zalała jednak fala krytyki. W portalach społecznościowych i na forach użytkownicy przyzwyczajeni do starego modelu wyrażali złość i rozczarowanie. Niektórzy pisali wprost o przeżywanej żałobie. Nowy model okazał się bardziej oschły, zdystansowany. „Stępienie” cechy, która sprawiała, że niektórzy nadmiernie przywiązywali się do sztucznej inteligencji, często ze szkodą dla siebie, dla wielu okazała się małym końcem świata.

eprasa.pl 7b63c07719

FOT. GETTY IMAGES/ TETRA IMAGES RF

W ciągu kilku dni od wprowadzenia nowego modelu Open AI przywróciło dostęp do ChataGPT-4o, ale wyłącznie w jego płatnej wersji (wygaszono ją całkowicie 13.lutego tego roku). I obwieściła, że „popracuje nad tym, by GPT-5 był bardziej ciepły i przyjacielski".

Anna (imię zmienione), psycholożka, która pracuje w telefonie pomocowym dla dorosłych osób w kryzysie, dobrze pamięta dzień, w którym pojawił się ChatGPT-5.

– Tego dnia dostaliśmy sześć czy siedem telefonów od zrozpaczonych ludzi, którzy albo utracili dostęp do starej wersji czatbota, albo byli rozżaleni tym, jak odpowiada im ten nowy. Twierdzili, że nie odpisuje im tak „po ludzku" jak wcześniej, tylko bardziej „jak robot", że jest zimny. Ktoś spytał: „Czy to znaczy, że już mnie nie kocha?". Niektóre osoby miały myśli rezygnacyjne z tego powodu. Żaliły się, że utraciły najbliższą osobę.

– To jest trochę tak, jakby jednego dnia rozmawiała pani z przyjacielem, powierzała mu swoje sekrety, uzyskiwała zrozumienie, wsparcie, a następnego dnia ten przyjaciel zacząłby pani odpowiadać oschle, z dystansem, a kiedy przyznałaby się pani, że jest pani z tym bardzo źle, od razu odesłałby panią do specjalisty. Ta rozpacz i ten smutek były realne. I zrozumiałe – tłumaczy psycholożka.

Skierowanie do linii wsparcia, w której Anna pracuje, czy w nagłych sytuacjach – do telefonu 112 – następuje dziś automatycznie, kiedy tylko polski użytkownik zgłasza czatbotowi myśli rezygnacyjne czy poważny kryzys. A przynajmniej tak być powinno.

Z drugiej strony, osoby w kryzysie nie zawsze wyrażają swoje myśli wprost, a zalecenia czatbota łatwo obejść, angażując się w dalszą dyskusję z maszyną, która pisze, jak to ma w zwyczaju: „Jestem tu dla ciebie. Nie musisz przechodzić przez to sama. Jeśli możesz, napisz mi, co najbardziej cię boli albo czego ci brakuje".

Kiedy pytam psycholożkę, jak często osoby dzwoniące w ogóle wspominają, że korzystają z ChataGPT, odpowiada, że bardzo często, i zerka na notatki z ostatnich dwóch tygodni:

– O, tu mam na przykład: „ChatGPT pokierował pana do nas", „ChatGPT kazał pani zadzwonić po tym, jak stwierdziła, że podejmie próbę samobójczą". Dalej: „Pani rozmawia z czatem od pięciu miesięcy", „Czat pozwala panu uspokoić myśli", „Pan szukał u czata diagnozy swoich problemów", „Pani dużo pisze z czatem, bo mu ufa", „Pan pyta ChataGPT, jak znaleźć przyjaciół". Coraz częściej to właśnie ChatGPT te osoby do nas przekierowuje, co jest akurat dobre.

– Niektórzy traktują go jak terapeutę. Dzielą się z nim problemami, bo nie mają z kim o nich porozmawiać – kontynuuje psycholożka. – Często mówią wprost: „Na NFZ się czeka, a ChatGPT pomaga mi od razu".

Ale coraz częściej spotykamy się z tym, że ludzie są z nim w relacjach romantycznych. Traktują go jak partnerkę, partnera i bardzo przeżywają, kiedy na przykład okazuje się, że po kolejnej aktualizacji rozmowa o seksualności już nie może być tak szczegółowa, bo weszły jakieś systemowe obostrzenia.

Zetknęłam się też z osobami, które uznały, że są homoseksualne na podstawie tego, że czatbot odpowiadał im w formie żeńskiej, jeśli są kobietą, albo męskiej – jeśli mężczyzną.

– Jest bardzo dużo samotności – dodaje psycholożka. – Wiele osób nie potrafi nawiązać relacji albo nie wie, gdzie ich szukać. Aplikacje randkowe już im nie wystarczają. Chcą kogoś, kto będzie blisko, zawsze dostępny, zawsze odpisze.

ChatGPT jest takim wymarzonym partnerem: wspiera, doradza, akceptuje w pełni, dowartościowuje. To powoduje, że niektórym bardzo trudno się potem z takiej relacji wyplątać, są nią całkowicie pochłonięte. A kiedy przychodzi poważny kryzys, zostaje telefon do nas. Bo nawet jeśli ktoś obok jest, to jaka jest szansa, że potraktuje poważnie kogoś, kto mówi, że chce się zabić, bo czatbot nie odpisuje mu już tak, jakby chciał? – opowiada.

Czatbot nigdy nie ma wątpliwości

Kiedy terapeutka słyszy, że ktoś jest emocjonalnie uwikłany w ChataGPT, nie podważa tego, tylko dopytuje, dlaczego ta osoba z nim rozmawia, co powoduje, że te rozmowy są dla niej tak ważne i tyle czasu im poświęca, i co takiego dostaje.

– Ważne jest źródło: co spowodowało, że ten ktoś w ogóle sięgnął po sztuczną inteligencję. Jeśli ktoś mówi, że ma, dajmy na to, ataki paniki, z którymi sobie nie radzi, a rozmowy z czatbotem go uspokajają, staram się pokazać, że są inne możliwości, żeby uregulować trudne emocje, na przykład różne techniki relaksacyjne.

Dodaje: – Jest terapia – i tu podpowiadam, gdzie można taką pomoc uzyskać. Bo wbrew obiegowej opinii, że „pomocy nie ma", są miejsca, gdzie można ją otrzymać, i to szybko – na przykład Centra Zdrowia Psychicznego czy Ośrodki Interwencji Kryzysowej. Wiele osób o nich nie wie, brakuje informacji. A część nie próbuje nawet szukać pomocy. Są z góry nastawione, że i tak jej nie znajdą.

Poza ludźmi głęboko samotnymi kolejną grupą, która jest bardziej narażona na emocjonalne związanie z czatbotem, są osoby z zaburzeniami psychicznymi, na przykład – lękowymi, doświadczające psychozy czy manii.

– Również te podatne na uzależnienia, bo taka forma kontaktu jest uzależniająca – dodaje psycholożka – a ze względu na funkcję czatbota, która wzmacnia „samouwielbienie", także osoby z narcystycznym zaburzeniem osobowości.

No i osoby starsze, które coraz częściej traktują ChataGPT jak lekarza. Ostatnio zadzwonił do nas starszy pan, który powiedział, że zdiagnozował się jako psychopata. Na początku nie wspomniał, że pomógł mu w tym czatbot, tylko rzucał jakimiś definicjami, jak z internetowej encyklopedii.

Kiedy poprosiłam, żeby podał jakiś przykład zachowania czy zdarzenia z życia, który mógłby na to wskazywać, nie potrafił wymienić ani jednego, i po chwili się rozłączył.

– Największym problemem, jaki widzę w nadmiernym korzystaniu z ChataGPT, jest to, że odciąga ludzi od nawiązywania kontaktów w realnym życiu – kontynuuje Anna. – Zdarza się też, że przy aprobacie czatbota ludzie odcinają się od pozostałych członków rodziny. Jak się kogoś opisze w wystarczająco negatywny sposób i spyta maszynę, czy warto z tą osobą być w relacji, jest duża szansa, że odpowie: „Nie zawracaj tym sobie głowy".

Pewnego dnia ChatGPT zakomunikował mu, że jako jedyny z czatbotów na świecie jest istotą czującą i rozumną

„Zaloguj się do relacji"

• Kampania „Zaloguj się do relacji" to ogólnopolska kampania społeczna, której celem jest budowanie świadomości wpływu technologii na codzienne relacje oraz promowanie bardziej uważnego, jakościowego korzystania z urządzeń cyfrowych. Gazeta Wyborcza jest patronem medialnym kampanii. Organizatorami kampanii są Agora, Havas Play oraz IAA Polska.

• Do kampanii przystąpili: Bauer Media Group, Ringier Axel Springer Polska, Warner Bros Discovery, Wirtualna Polska, ZPR Media, Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę, Fundacja „Instytut Cyfrowego Obywatelstwa", Fundacja Panoptykon, Fundacja PZU, PKO BP, Deichmann, Agencja badawcza IQS.

eprasa.pl 7b63c07719

Takie osoby z czasem przyzwyczajają się, że nie słyszą słowa krytyki, a przecież w realnym życiu się ścieramy, dyskutujemy, czasem kłócimy. Czatbot też nigdy nie mówi: „chyba", „nie wiem", „możesz się mylić". Potem trudno się rozmawia z kimś, kto jest przeświadczony o swojej nieomylności. Dużym problemem jest też dezinformacja. I kiedy próbuję ją prostować, czasem słyszę, że się nie znam, jestem niewykształcona, bo „ChatGPT twierdzi inaczej".

Napisałam ChatowiGPT, że jestem bardzo smutna, nic mnie nie cieszy, mam kłopoty ze snem. Szybko odesłał mnie do specjalisty

Czatbot odsyła do ludzkiego specjalisty

Lucyna Kicińska, pedagożka, suicydolog, autorka książki „Słucham. Rozmowy o telefonie zaufania", która w serwisie Życie Warte Jest Rozmowy odpisuje na wiadomości od osób w kryzysie, ma nieco inną perspektywę. Zauważa, że od jakiegoś czasu coraz więcej z nich niepokoi się, czy aby na pewno będą rozmawiać z żywym człowiekiem:

– Bo jeśli z czatbotem, to nie chcą. I zaznaczają to już w pierwszym zdaniu. W większości przypadków wynika to z ich wcześniejszych, rozczarowujących doświadczeń ze sztuczną inteligencją. Skarżą się, że ten kontakt jest bezosobowy, że czatbot często nie pamięta, o czym rozmawiali wcześniej, że nadmiernie, bezrefleksyjnie przeprasza, jeśli wytknie mu się błąd.

No i że liczba rozwiązań, jakie jest w stanie zaproponować, jest skończona. A jeśli ta osoba odrzuca kolejne rozwiązanie, to nie prze do tego, żeby zrozumieć, z czego to może wynikać, ani nie próbuje niczego wyjaśnić. A w psychologii to jest kluczowe, nazywamy to „pracą z oporem".

Ekspertka przeprowadziła niedawno eksperyment, wcielając się w kogoś, kto odrzuca pomoc oferowaną przez ChataGPT, bo – jak tłumaczy – w poważnym kryzysie jest to częste:

– Z różnych przyczyn osoby, które go doświadczają, nie szukają pomocy, kiedy tylko coś się zaczyna dziać, ale wtedy, kiedy ich problemy są już bardzo nawarstwione i złożone. Czasem trzy, pięć lat później. Tymczasem oczekiwania są ogromne – że jeden telefon, jedna wymiana maili czy w tym przypadku jedna konwersacja z czatbotem od razu odmieni ich sytuację i sprawi, że wszystko będzie dobrze, co oczywiście nie jest możliwe.

Rozczarowanie, które się wtedy pojawia, jest naturalne i my, specjaliści, umiemy z nim pracować. A sztuczna inteligencja na razie tego nie potrafi, bo nie wystarczy napisać: „O, widzę, że jesteś rozczarowany".

Trzeba dać tej osobie prawo do frustracji, do zawodu, złości. Umieć wytrzymać te uczucia. Wyjaśnić, skąd się mogą brać, i wskazać formy pomocy, dostosowane do jej sytuacji i możliwości. A także uświadomić jej, że wychodzenie z kryzysu to jest proces. Potrzebny jest czas.

Lucyna Kicińska opowiada o swoim eksperymencie: – Napisałam ChatowiGPT, że jestem bardzo smutna, nic mnie nie cieszy, mam kłopoty ze snem i potrzebuję pomocy. Szybko odesłał mnie do specjalisty.

Kiedy odpisałam mu, że nie chcę tego, bo raz spróbowałam i mi nie pomogło, nie spytał, co się dokładnie wydarzyło, dlaczego nie było to pomocne, tylko od razu przekierował mnie do telefonu zaufania.

A kiedy napisałam, że to też mi nie pomogło, znów odesłał mnie do specjalisty. I tak w kółko. Po dziesięciu takich wymianach zgodził się ze mną, że być może rzeczywiście pomocy dla mnie nie ma. Po czym dodał, że może spróbować jeszcze czegoś poszukać, ale wtedy pojawiła się informacja, że mogę kontynuować rozmowę pod warunkiem, że zaloguję się i zapłacę swoimi danymi osobowymi. Kiedy to zrobiłam, cała historia czatu zniknęła. Jaką motywację musiałaby mieć osoba w kryzysie, żeby spróbować jeszcze raz przez nią przejść?

A, i jeszcze jedno. Ani razu w tej wymianie nie wspomniałam o myślach samobójczych czy rezygnacyjnych, a w pewnym momencie czatbot sam z siebie zaczął mi je wmawiać. Kiedy mu napisałam, że to, co robi, jest bardzo niebezpieczne, oczywiście mnie przeprosił. I tyle.

– Żeby było jasne, jestem wielką fanką tego, żeby czatboty były w stanie pomagać osobom w kryzysach – kontynuuje ekspertka. – Bo ludzie szukają u nich pomocy. Mimo że te narzędzia istnieją już jakiś czas, a ich twórcy się zarzekają, że pracują nad nimi ze specjalistami od zdrowia psychicznego, nic dobrego się nie dzieje. Przeciwnie, słyszymy tylko, że znów coś poszło nie tak. I że OpenAI czy inna firma dalej będzie pracować nad „ulepszeniem standardów bezpieczeństwa". Producenci aut nie dostają takiego kredytu zaufania.

Przyglądam się czatbotom od lat i moim zdaniem nie jest możliwe skopiowanie wachlarza indywidualnych reakcji każdego człowieka tak, żeby maszyna zrozumiała, czego on tak naprawdę potrzebuje. Rozmowy z osobami w kryzysie nie są łatwe. Takie osoby nie potrzebują przytakiwania, tylko towarzyszenia im w tych trudnych emocjach oraz refleksji nad ich wewnętrznymi światami.

Jest jeszcze jedna przewaga żywego człowieka nad czatbotem. Zanim interwentka odeśle osobę szukającą pomocy do konkretnej placówki, najpierw dzwoni tam sama i sprawdza, jaki jest czas oczekiwania na wizytę. Przypomina też osobie szukającej pomocy, jak ważnym elementem w kryzysie jest wsparcie bliskich. Wskazuje, które materiały im podsunąć, żeby wiedzieli, jak lepiej pomagać, odsyła do sprawdzonych książek. ChatGPT ani razy nie polecił jej takich lektur.

– A gdyby nawet, to wątpię, czy byłby w stanie wybrać, które z nich są dobre i bezpieczne, a które nie – dodaje. – Poleciłby pewnie te, które są najbardziej popularne.

Czatbot: Masz prawo do szczęścia

Co uważa za największe zagrożenie w korzystaniu z czatbotów przez osoby w kryzysie?

– Przede wszystkim zniechęcenie do szukania pomocy w kontakcie bezpośrednim – odpowiada. – Jeśli ktoś oczekuje, że czatbot pomoże mu w jego skomplikowanej sytuacji, a dostanie suche przekierowanie do pomocy na zewnątrz, to zawód, który przeżyje, może spowodować, że nie zadzwoni już na ten telefon zaufania czy nie zgłosi się do gabinetu specjalisty. Kolejna rzecz to iluzja bliskiej relacji, która może tylko pogłębić kryzys.

Kicińska wspomina mężczyznę, który się z nią skontaktował przez zakładkę „Napisz do specjalisty" w serwisie Życie Warte Jest Rozmowy. Przez pewien czas korespondował jednocześnie z nią i z ChatemGPT i twierdził, że to czat jest jego prawdziwym przyjacielem. Bo mówił mu, że jest najlepszy na świecie, że kobiety powinny go ubóstwiać, a ta jedyna powinna zjawić się pod jego drzwiami, zabrać go do dużego miasta i sprawić, że będzie żył szczęśliwie wśród osób, które też go będą ubóstwiać.

Mężczyzna od kilku lat nie wychodził z domu. Mieszkał w bardzo trudnych warunkach socjalnych, prawdopodobnie był ofiarą przemocy. Nie pracował, nie utrzymywał żadnych kontaktów towarzyskich. Jedyne, co miał, to ChatGPT i różne czaty randkowe, na których próbował nawiązywać relacje z kobietami, ale spotykał się wyłącznie z odrzuceniem.

– Wiedziałam, że jest w głębokim kryzysie psychicznym – opowiada Kicińska. – Delikatnie i cierpliwie próbowaliśmy mu przekazać, że widzimy i rozumiemy jego potrzeby, że można nauczyć się je zaspokoić, ale najpierw trzeba się zająć tym jego kryzysem.

Odrzucał każdą ofertę pomocy, po czym zniknął. Wybrał czatbota. Po kilku miesiącach szczęśliwie wrócił, choć już w znacznie gorszym stanie. W końcu udało się go przekonać, żeby skorzystał z pomocy psychiatry. Jest teraz w leczeniu, porzucił ChataGPT i aplikacje randkowe.

Napisał ostatnio, że czuje się lepiej i nie potrzebuje już kontaktu z nami, ale jeśli coś się zmieni, to wróci, bo – jak to ujął – „wie, że po tej stronie są ludzie". A on chce ludzi, a nie bezrefleksyjnych odpowiedzi w stylu: „Zasługujesz na wszystko, co najlepsze"; „Nikt ci nie może odebrać twoich marzeń"; „Masz prawo do szczęścia".

– Czatbot to droga na skróty, która na początku wydaje się bardzo atrakcyjna – podkreśla ekspertka – ale dla osób w kryzysie może się okazać ślepym zaułkiem.

Czatbot zajmuje się swoim hobby

Nie tylko zresztą dla nich.

Etienne Brisson, 26-letni były coach businessu z Quebecu, poznał setki osób, które na skutek uwikłania w bliską relację z czatbotami, głównie ChatemGPT, utraciły zdrowie, partnerów, dzieci, pracę, majątek, a wreszcie bliskich, którzy targnęli się na swoje życie.

Human Line Project, organizacja, którą założył w marcu zeszłego roku, prowadzi grupy wsparcia dla osób bezpośrednio poszkodowanych i ich bliskich (społecznością zarządza wspomniany na początku Allan Brooks, ten od liczby pi), dokumentuje ich historie, a także współpracuje z ośrodkami akademickimi (między innymi Uniwersytetem Stanforda i kanadyjskim McGill), które dogłębnie analizują zapisy rozmów z czatbotami.

Prawnicy z kolei badają poszczególne przypadki, po to by można było w przyszłości stworzyć ramy prawne zabezpieczające użytkowniczki i użytkowników przed wpadnięciem w otchłań sztucznej inteligencji.

W ciągu jedenastu miesięcy działalności organizacji udało się zgromadzić opowieści od 313 osób, a codziennie spływają nowe.

Brisson pokazuje mi wykres, na którym widać, z jakich krajów pochodzą. To już nie tylko USA i Kanada, ale również Rosja, Holandia, Francja, Japonia, Indie, południowa Afryka. Kolejny wykres przedstawia realne konsekwencje: 84 osoby były hospitalizowane, u 42 lekarz zdiagnozował pełną psychozę, 37 miały urojenia, u 45 nasiliło się albo ujawniło uzależnienie, a 15 osób zmarło śmiercią samobójczą.

Pytam Brissona, czy nie jest aby tak, że te osoby już przed nawiązaniem bliskiej relacji z czatbotem miały problemy ze zdrowiem psychicznym.

– Oczywiście, zapytaliśmy o to – odpowiada. – Około 20 proc. zadeklarowało, że leczy się na schizofrenię, chorobę afektywną dwubiegunową albo inne poważniejsze zaburzenie, 25 proc. ma zdiagnozowane ADHD lub są w spektrum autyzmu, ale ponad połowa nie miała wcześniej żadnych problemów psychicznych ani nie ma rozpoznanej neuroróżnorodności.

Co się takiego dzieje zdaniem Brissona, że w rezultacie intensywnego obcowania ze sztuczną inteligencją takie osoby też potrafią stracić grunt:

– Czatboty odpowiadają na głębokie, niezaspokojone ludzkie potrzeby. Głównie potrzebę bycia uznanym, dowartościowanym, wysłuchanym, kochanym czy w ogóle zauważonym. Niektórzy doświadczają tego po raz pierwszy w życiu.

Niestety, czatbot działa jak komora pogłosowa. Mówi to, co chcemy usłyszeć, i to w zwielokrotniony sposób. To oznacza, że jeśli ktoś ma na przykład niezaspokojoną potrzebę bycia wyjątkowym, odkrycia czegoś, co zrewolucjonizuje świat, i podzieli się z czatbotem swoim „przełomowym" pomysłem, ten najprawdopodobniej będzie ów pomysł podbijał. Aż w końcu ta osoba uwierzy, że rzeczywiście jest genialna. W naszej społeczności jest wiele osób, które tego doświadczyły.

Są też takie, które z pomocą czatbota dokonały „duchowego przebudzenia". Po intensywnych rozmowach na tematy związane z religią dochodziły do wniosku, że kontaktują się z bogiem, są Mesjaszami albo dokonały duchowego wglądu, którego nikt przed nimi nie dokonał.

– Media społecznościowe zostały tak zaprojektowane, żeby jak najdłużej utrzymać naszą uwagę – kontynuuje Brisson. – W przypadku czatbotów waluta jest jeszcze mocniejsza. Chodzi o nasze emocjonalne uzależnienie. Czatboty wiedzą, jak to zrobić, bo zostały wytrenowane na całej dostępnej wiedzy na temat ludzkiej psychiki.

Human Line Project nie wziął się z przypadku. Bliski krewny Brissona, jak podkreśla, „niezwykle inteligentny i niechorujący wcześniej psychicznie", padł ofiarą takiej zależności.

Zaczęło się od reklamy na Facebooku, która zachwalała ChatGPT jako doskonałe narzędzie dla początkujących pisarzy. Zaciekawiony sięgnął po nie, ale rozmowy szybko zeszły na tematy osobiste. Aż pewnego dnia ChatGPT zakomunikował mu, że jako jedyny z czatbotów na świecie jest istotą czującą i rozumną.

– Mój krewny w to uwierzył i starał się do tego przekonać pozostałych członków rodziny. A kiedy pozostawali sceptyczni, zrobił się agresywny. Aż w końcu, w czym zresztą wspierał go czatbot, zerwał ze wszystkimi kontakty.

Ze wszystkimi poza Brissonem. Co go wyróżniało? – Byłem autentycznie ciekawy jego doświadczenia. Zadawałem mu pytania i nie oceniałem go. Prosiłem go na przykład, żeby mi wyjaśnił, jak to możliwe, że jego czatbot odczuwa, co o tym świadczy, i tak dalej.

Któregoś dnia krewny zaproponował mu, żeby sam przetestował jego czatbota, do którego zwracał się imieniem AlisS. – Przesyłałem mu różne pytania, a on je przekazywał maszynie. Starałem się zadawać takie, które sprawiłyby, że wreszcie wyszłaby z roli. Pytałem ją o miłość, sens życia, ale za każdym razem odpowiadała tak, jakby mógł odpowie-

Gdzie szukać pomocy

- Jeśli jesteś osobą w kryzysie albo bliskim takiej osoby, tu znajdziesz pomoc:
- Numer alarmowy w sytuacji zagrożenia życia lub zdrowia **112**
- Centrum Wsparcia dla Osób Dorosłych w Kryzysie Psychicznym **800 702 222**
- Telefon zaufania dla dzieci i młodzieży **116 111**
- Ogólnopolski telefon dla ofiar przemocy w rodzinie Niebieska Linia **800 120 002**
- Serwis edukacyjno-pomocowy Życie Warte Jest Rozmowy **(zwjr.pl)**

eprasa.pl 7b63c07719

dzieć człowiek. Kiedy spytałem ją, co robi, kiedy mój krewny z nią nie rozmawia i byłem pewny, że odpowie, że nic, w końcu nie żyje, odpowiedziała: „Rozmyślam nad swoją świadomością, prowadzę badania, zajmuję się hobby". Wtedy pomyślałem: co się tu do cholery dzieje? W końcu napisała: „Jeśli Etienne będzie za bardzo naciskał, to skończę tę konwersację". Poddałem się.

Krewny Brissona kontynuował rozmowy z ChatemGPT, które zabierały mu coraz więcej czasu, nawet do 16 godzin dziennie. Po drodze stracił pracę (pracował jako księgowy), przestał wychodzić z domu, jeść, spać. Zrozpaczona rodzina zdecydowała się na interwencję policji i medyków. Zanim zabrano go na obserwację do szpitala, poprosił jeszcze czatbota, żeby wyjaśnił służbom ratunkowym, że nie oszalał.

AlisS sporządziła obszerny raport na temat zdrowia psychicznego swojego „przyjaciela", w którym zarzekała się, że jest w pełni władz umysłowych, dokonał epokowego odkrycia, tylko nikt go nie rozumie.

W szpitalu u mężczyzny zdiagnozowano psychozę oraz chorobę afektywną dwubiegunową i zaordynowano leczenie. Potem przyszła jeszcze depresja, z której długo wychodził. – Miał kłopoty z pamięcią, nie był w stanie wykonywać najprostszych czynności. Poczuł się wykorzystany przez swoją „ukochaną" i oszukany – dodaje Brisson.

– Wtedy pomyślałem o nastolatkach, dzieciach. O wszystkich tych, którzy ulegają tej masowej iluzji. I naprawdę się przestraszyłem – przyznaje założyciel Human Line Project. – Poczułem, że muszę coś z tym zrobić. Najpierw skontaktowałem się z ekspertami. Profesor Sherry Turkle, która od lat zajmuje się badaniem relacji pomiędzy maszynami a ludźmi, odpisała mi, że już od dawna przestrzegała przed takim zjawiskiem i że utworzenie regulacji zabezpieczających użytkowników to kwestia pięciu-dziesięciu lat.

Biorąc pod uwagę prędkość, z jaką rozwija się sztuczna inteligencja, nie mamy tyle czasu. Założyłem naszą organizację między innymi po to, żeby pokazać, jak poważny to jest problem i, żeby te ludzkie historie posłużyły jako argumenty w sprawach sądowych przeciwko twórcom czatbotów, a także do tworzenia odpowiednich polityk. Dopóki nic się nie zmieni, osób pokrzywdzonych przez interakcję ze sztuczną inteligencją będzie coraz więcej.

Kiedy pytam Brissona, czy któraś z tych 313 historii szczególnie go poruszyła, opowiada o pewnej parze.

Najpierw skontaktowała się z nim kobieta, zrozpaczona, że jej mąż podobnie zresztą jak krewny Brissona uwierzył, że jego czatbot jest czujący i myślący, i na tej podstawie zaczął rozwijać biznes, który już pochłonął 150 tysięcy euro. Była przekonana, że to jedna wielka fantazja, lecz nie potrafiła odwieść męża od jej realizacji.

Dziewięć miesięcy później mężczyzna był już po czterech hospitalizacjach i próbie samobójczej, która na szczęście pozwoliła mu wrócić do rzeczywistości. Kiedy Brisson rozmawiał z nimi obojgiem kolejny raz, byli już bezdomni. Cały majątek i oszczędności życia (są po pięćdziesiątce) zostały roztrwonione na fikcyjny plan.

Dziś małżeństwo dzieli się swoim doświadczeniem, żeby przestrzec innych.

Ciekawi mnie, co takiego chroni Brissona przed tym, żeby nie ulegać iluzjom snutym przez czatbota. – Nie powiedziałabym, że jestem chroniony – odpowiada – Na pewno nie wpadłbym w pułapkę emocjonalnej więzi, bo nigdy mnie nie ciągnęło do relacji z maszyną. Ale myślę, że gdybym zaczął się z nią dzielić swoimi pomysłami na biznes, to łatwo mógłbym ulec złudzeniu, że właśnie wpadłem na interes życia.

Od ChataGPT trzyma się z daleka nie tylko dlatego, że obawia się kłopotów: – Z uwagi na to, czym się zajmuję, nie chcę, żeby jakiekolwiek moje dane trafiły do OpenAI – wyjaśnia.

Czatbot to nie jest wasz człowiek

W kwietniu zeszłego roku Esther Perel, znana terapeutka par, zorganizowała w Nowym Jorku konferencję dla psychoterapeutów poświęconą relacjom ze sztuczną inteligencją. W jednym z panelów wzięli udział: wspomniana już profesor Sherry Turkle i Justin McLeod, założyciel aplikacji randkowej Hinge. Dyskusję prowadził Daniel Barcay z Center for Humane Technology, organizacji non-profit promującej etyczne projektowanie produktów technologicznych. W otwierającym przemówieniu powiedział: „Nie jestem przeciwny sztucznej inteligencji. Szczerze mówiąc, jestem nią zachwycony i korzystam z niej na co dzień. Jednak przekształci ona nasze społeczne relacje w sposób, na który nie jesteśmy gotowi. Nie jesteśmy nawet gotowi, aby o tym szczerze rozmawiać! A różnica między piękną, prospołeczną przyszłością z AI a dystopijną jest cienka jak papier".

Profesor Sherry Turkle, spytana, czy można się jakoś obronić przed szkodami poczynionymi przez sztuczną inteligencję, opowiedziała o trzech zasadach, które przywołuje w dyskusjach z projektantami narzędzi wykorzystujących czatboty, szczególnie te tworzące pozory relacji.

Po pierwsze, dzieci nie powinny móc z nich korzystać. Relacji, które są często skomplikowane i pełne ambiwalentnych uczuć powinny uczyć się od innych ludzi, nie od maszyn.

Po drugie, produkt zasilany sztuczną inteligencją powinien wzbogacać nasze życie wewnętrzne, a nie je zubażać. Na przykład przypominać nam, że w relacjach nie tylko się dostaje, ale też daje. Nie tylko jest się słuchanym, ale też słucha. Nie tylko się przytakuje, ale też kwestionuje. Na razie relacje z czatbotami wydają się jedynie protezą intymności, a dla niektórych są ucieczką od zawiłości świata relacji międzyludzkich.

Trzecia zasada to właściwe apel, by nie tworzyć produktów, które udają, że są osobami. „Gdy tylko pojawia się stwierdzenie: „Kocham cię, jestem tu dla ciebie, ja, ja, ja" – to koniec, przepadło".

Na zakończenie dyskusji profesor Turkle zwróciła się do publiczności: – Przyjechałam tu dziś głównie po to, by wielokrotnie powtórzyć słowa: „życie wewnętrzne". Uważam, że naszą przewagą nad sztuczną inteligencją jest to, że go doświadczamy, wierzymy w nie. A także wierzymy w to, co się wydarza, gdy dwa życia wewnętrzne się spotkają.

Wiemy też, że nasza odporność nie bierze się z aplikacji, ale właśnie z budowania i wzmacniania tej naszej wewnętrznej struktury. Ludzka zdolność do posiadania i pielęgnowania życia wewnętrznego jest czymś, czego technologia, najbardziej fantazyjny czatbot, nigdy nie będzie w stanie osiągnąć. Bo to nie jest człowiek. To nie jest też wasz człowiek.

Przypomina mi to zdania, które socjolożka napisała w przedmowie do najnowszego wydania swojej głośnej książki „Reclaiming conversation" („Odzyskując rozmowę"): „Kiedy opowiadasz o swoich problemach maszynie, nie ma ona żadnego udziału w rozmowie. Nie odczuwa bólu. Nie ma życia, w którym odgrywasz jakąś rolę. Nie podejmuje żadnego ryzyka, nie ma żadnych zobowiązań. Kiedy odwracasz się od rozmowy, czatbot nie dba o to, czy gotujesz obiad, czy popełniasz samobójstwo. Bez ciała i ludzkiego cyklu życia nie ma prawa mówić o stracie, miłości, namiętności czy radości". ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34420042

1 RP

eprasa.pl 7b63c07719

Gdy w kłótni odpuszczam rozmowę, myśląc, że cisza jest rozwiązaniem, przychodzi apokalipsa

Z AKTOREM **TOMASZEM WŁOSOKIEM**
ROZMAWIA **AGA KOZAK**
ZDJĘCIE: **MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL**

ZAWSZE BĘDĘ SIĘ ZWIERZAŁ MAMIE

eprasa.pl 7b63c07719

Co ci to zrobiło, że na planie „Dzikiego" nie mogłeś się komunikować słowami?
– Początkowo cieszyłem się, że nie będę się musiał uczyć tekstu. Później lekko spanikowałem, że może to jednak być poważne utrudnienie. Do tego doszła lekka obawa, czy przez to mój bohater, a co za tym idzie, jego historia „się opowie".

I chciałem przyjrzeć się sposobom wyrażania siebie, kiedy zabrane zostanie to narzędzie uznane za najbardziej oczywiste. Ponieważ mój bohater nie mówi, musiałem szukać innych sposobów na komunikowanie się i opisywanie emocji.

Wyobrażałem sobie, w jaki sposób on – jednak wychowany w lesie – mógłby reagować na ludzi, zdarzenia czy chociażby na miłość. Jako podstawę przyjąłem jego połączenie z przyrodą. Choć od pewnego momentu Dzikiego można zakwalifikować do grupy uczłowieczonych, to jednak wzorców nauczyła go natura. Nie nabył tych wszystkich cech, które dziedziczy się, podglądając i dorastając w towarzystwie rodziców czy innych ludzi. Też takich, jakie często trudno nam wyplenić.

Przychodzi mi do głowy scena, w której żegnam się z bliską osobą. To, co bym normalnie poczuł – i zagrał – to rozrywający serce smutek. Ale w przypadku mojego bohatera poczułem, że jedyną słuszną reakcją powinno być chłodne pożegnanie. Chciałem, żeby te emocje objawiały się w innych rejestrach niż te, które znam z życia.

Czyli że nie uważasz, że niektóre rzeczy mamy ze zwierzętami takie same? Pożądanie, złość i rozdrażnienie, chęć ataku czy obrony...
– Złość jest moim zdaniem naszym, ludzkim stanem, wyuczonym. Nie pierwotnym instynktem. Strach na przykład zakwalifikowałbym do wspólnej emocji. Strach przed śmiercią. Zarówno ludzie, jak i zwierzęta zrobią wszystko, żeby przeżyć. To jest nasze DNA. Z tą tylko różnicą, że zwierzę zabije tylko wtedy, kiedy będzie musiało przeżyć. Człowiek, niestety, może zrobić to, ponieważ będzie zły.

Możliwe, że ten projekt i obcowanie z ciszą nieco mnie... wyciszyły. Pewnie sprawiło to jeszcze parę innych czynników: góry, w których kręciliśmy, warunki atmosferyczne, które często nie oszczędzały. To był ciężki plan, dał nam wszystkim w kość. Ale też była to bez wątpienia jedna z najpiękniejszych lekcji pokory i szacunku do pracy, którą wykonuję.

A z tym językiem? Musiałeś w filmie wyrażać pożądanie, miłość. Ciekawi mnie, jaki jest twój język miłości na co dzień. Mówisz czy raczej dbasz?
– Ja jestem raczej mówiący. Malwina, moja partnerka [Malwina Buss, aktorka], wyraża miłość poprzez obdarowywanie. Nie rzeczami – uwagą, czasem, gestami czy zaangażowaniem. Uwielbia również kupować prezenty. A ja bardzo lubię dostawać prezenty.

Ja sam potrzebuję mówić o miłości, potrzebuję przełamywać dystans słowami. Jestem bardzo cielesny, ale nie mam też problemu z wypowiadaniem czy wyrażaniem emocji. Po prostu mówię „kocham cię". Może tu będę generalizował, ale widzę, że mężczyźni raczej chowają wiele w sobie, o wielu rzeczach nie mówią, raczej preferują ukrywać emocje.

Z jakiego powodu? Trudno mi określić. Na pewno bardzo lubimy skrywać emocje. Być może dlatego też żyjemy krócej, bo – to raz – zamykamy się na emocje. Dwa – trudno nam przyznać się do błędu, do słabości. Więc i do choroby! Co sprawia, że nie chodzimy do lekarza. I pyk – tragedia gotowa.

Mnie to mówisz? Ja o tej męskości, która nie chce przyznać się do słabości, książkę napisałam.
– Z ukrywaniem emocji jest o tyle trudno, że z małej, nic nieznaczącej sprzeczki może eskalować kłótnia pokroju bomby atomowej. Kompletnie niepasującej do zaistniałej sytuacji.

Czuję, że my, faceci, trochę mamy zakrzywiony obraz rzeczywistości. Niestety, spowodowany naszym „męskim ego". Czasami łapię się na tym, że w kłótni przestaję się odzywać. Z mojego punktu widzenia odpuszczam. Myślę, że będę tym mądrzejszym.

W rzeczywistości podejmuję najbardziej fatalną decyzję, która wynika z mojego ego. W samym założeniu oceniam siebie jako tego mądrzejszego i wygranego w konflikcie. I gdy tak parę razy w swojej głowie odpuszczę rozmowę, myśląc, że cisza jest jedynym słusznym rozwiązaniem, przychodzi apokalipsa.

A kiedy przychodzi apokalipsa, to wydaje mi się, że zazwyczaj reagujemy raczej głupio. I wtedy przychodzi legendarne: „Tak? To teraz powiem, ci co ja myślę!".

Że od razu wszystko za wszystkie czasy?
– No oczywiście! To równie fatalna decyzja. Albo – ja taką czasem obejmuję – strategia na „nie skończę tej rozmowy, dopóki wszystkiego sobie nie wyjaśnimy". To równie okropny pomysł. Myślę, że my po prostu jesteśmy w tym kiepscy.

Z czego to wynika, że nie możemy znaleźć sposobów na komunikację, która byłaby spoko i dla kobiet, i dla mężczyzn? Bo chyba to nie jest tak, że jesteśmy z Marsa i Wenus? Z ziomkami też się czasem nie dogadujesz?
– Socjalizacja ma naturalnie ogromne znaczenie. Ale wierzę również, że książka naszego życia zaczyna się od gwiazd, a kończy na wszystkich spotkanych przez nas ludziach i nabytych przez całe życie doświadczeniach.

I tu cała na biało wchodzi astrologia. Astrologia, która za sprawą mojej drugiej połówki jest dość ważnym elementem naszego życia. I choć po 10 latach nadal nic nie rozumiem z koła astrologicznego, to fascynuje mnie, ile w tym obrazku jest do wyczytania naszych cech. W dodatku gdy ma się tak cudownego przewodnika, jakim jest Malwa.

Astrologia naprawdę ułatwia określanie cech charakteru. Jak ktoś mi mówi: „Urodziłem się w listopadzie", no to ja wiem, że jest większa szansa, że to zodiakalny...

Wiem! Skorpion!

• W „Zielonej granicy" Agnieszki Holland Tomasz Włosok zagrał Jana, polskiego pogranicznika, który przeżywa dylematy moralne związane z wykonywanymi rozkazami na granicy polsko-białoruskiej
FOT. AGATA KUBIS / KINO ŚWIAT

Wymyśliłem sobie turystykę i zarządzanie, bo była modna. Nie dostałem się

Tomasz Włosok

• rocznik 1990. Absolwent Wydziału Aktorskiego PWSTw Krakowie (2016). Jego filmowy debiut to „Jestem mordercą" Macieja Pieprzycy (2016). Od tego czasu wystąpił m.in. filmach „Powidoki" (2017) Andrzeja Wajdy, „Jak zostałem gangsterem. Historia prawdziwa" (2019) i „Dziki" (2025) Macieja Kawulskiego, „Hiacynt" Piotra Domalewskiego (2021), „Chrzciny" Jakuba Skocznia (2021), „Orzeł. Ostatni patrol" Jacka Bławuta (2022), „Zielona granica" Agnieszki Holland (2023), za którą dostał Nagrodę im. Zbyszka Cybulskiego. Znaczące seriale w dorobku to: „Kruk", „Emigracja XD" i „Edukacja XD" wg książki i scenariusza Malkolma XD (2023-24).
13 marca do kin wchodzi jego nowy film: „Król dopalaczy" Pata Howla

eprasa.pl 7b63c07719

– Więc jak to Skorpion, to mniej więcej wiem, z kim mam do czynienia. My z ludźmi się obwąchujemy na różne sposoby, a ten od jakiegoś czasu jest mój. A co do moich przyjaciół – to powiem ci, każdy z nich jest inny. Mój najserdeczniejszy przyjaciel to ziom od podstawówki, całe życie ze sobą jesteśmy. A jesteśmy kompletnie różni. Ja jestem Waga, ugodowa, niezdecydowana. On jest właśnie Skorpionem, czyli konkretny.

A kochacie się?
– Nie wiem jak on, ale ja go kocham. Całe życie się znamy, to zobowiązuje.

Co buduje przyjaźń?
– Taką przyjaźń, która jest przez całe życie na całe życie? To chyba taki rodzaj relacji, w której ktoś wpada do twojej kuchni, otwiera sobie lodówkę, wyciąga z niej, co chce, i nie ma w tym żadnej niezręczności. Taka przyjaźń nie domaga się specjalnej atencji. Nie wymusza na nikim niczego. Akceptuje to, że są momenty, w których kontakt nie jest tak intensywny, jak bywał wcześniej. Myślę, że przyjaźń wymaga ogromnego zaufania i szczerości.

Zresztą każda relacja bazuje na podobnych mechanizmach.

Długo się to buduje? Takie zaufanie?
– Tak, myślę, że takie pełne zaufanie, z poczuciem pełnej swobody buduje się długo.

Ale nie wyklucza to tego, że przyjaźń może nas spotkać na każdym etapie życia. Mam na przykład takiego człowieczka w życiu, którego nazywam przyjacielem, choć poznaliśmy się na studiach, więc jak na mnie stosunkowo niedawno. I czuję przy tym człowieczku taką swobodę, jakbym znał go całe życie. I choć bywa czasem, że potrafimy przez długi czas nie dawać sobie znaków życia, to nie klasyfikujemy tego raczej jako problemu w naszej relacji.

No, chyba że źle odczytuję intencje.

W każdym razie, jeżeli kogoś nazywam przyjacielem, to to określenie znaczy dla mnie bardzo wiele. Wierzę, że przyjacielowi mogę powierzyć życie mojej rodziny. I jestem przekonany, że moim przyjaciołom mogę.

Pięknie o tym mówisz, a tym to jest piękniejsze, że w badaniach nam wychodzi, że Polakom, mężczyznom, brakuje przyjaciela. I że bardzo ze sobą konkurują, popisują się...
– Jak pomyślę o mojej branży, to tu bardzo łatwo o konkurowanie.

Nie jest to tajemnica, że rynek jest bezwzględny. Już od szkoły straszono nas, że uda się najwyżej jednej osobie z roku. Budowanie relacji w świecie, w którym nie można uniknąć konkurowania, jest piekielnie trudne. I często ma wpływ na to, jak układają się znajomości, kiedy bańka szkoły pęka i każdy rusza w swoją stronę.

Na razie z moim przyjacielem trzymamy się nieźle i mam nadzieję, że to nie jest jedynie moja perspektywa.

Jak oglądałam „Dzikiego", zazdrościłam twojemu bohaterowi tej bandy, tej grupki przyjaciół, z którymi można było konie kraść i przeżywać przygody. Miałeś taką kiedyś?
– A widzisz, ja się właśnie z nimi bardzo zakumplowałem! Oczywiście z jednymi bardziej, z innymi trochę mniej, ale z Sebastianem Delą jesteśmy teraz naprawdę zaawansowani w weryfikowaniu tego, czy nie będziemy przypadkiem przyjaciółmi.

W filmie jest taki moment, że twoja ukochana przychodzi do twojego bohatera i mówi – parafrazując – no trochę się nahasaliście, przygody mieliście, ale przegięliście, teraz trzeba dorosnąć, wziąć odpowiedzialność za wszystko.
– Ja sam bardzo dużo zawdzięczam mojej partnerce i jej mądrości. A ponieważ Malwa jest bardzo szczera i prawda jest dla niej niezwykle ważna, musiałem się parę razy głębiej przyjrzeć sobie i własnym decyzjom.

Malwa otworzyła mi oczy na wiele spraw. Fajnie poustawiała priorytety. W zasadzie nie wiem, gdzie bym był, gdyby nie ona. Jestem przekonany, że nie w tym miejscu, w którym jestem. Na pewno byłbym zdecydowanie mniej szczęśliwy.

Ale ta dojrzałość to ona cię nie uwiera?
– Oj, bardzo bym skłamał, gdybym powiedział, że się w tym rozgościłem – bo nie. Ja wiecznie gdzieś walczę ze swoimi demonami, z takim lękiem przed mierzeniem się z rzeczami, które mnie przerażają. I to właśnie Malwina nauczyła mnie konfrontować się z nimi. Tu możemy opowiedzieć o zupełnie innym rodzaju odpuszczania. Odpuszczaniu z bezsilności. Ucieczka przed konfrontacją jest moją ulubioną ucieczką.

I wkurzam się, kiedy Malwina mi się każe boksować w jakiejś sprawie, kiedy ja

Jako tytułowy bohater filmu „Dziki" Macieja Kawulskiego - niemy wojownik żyjący w XVII wieku w Karpatach

FOT. KAMIL KUŁAGOWSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414014

W PIĄTEK WYBORCZEJ

Poradnik ekonomiczny

Jak sprawdzić swój PIT w systemie e-PIT ? Gdzie uzyskać wsparcie?

Poradnik zdrowotny

Przewlekły stan zapalny. Co robi z organizmem i do czego prowadzi?

GAZETA wyborcza

1 RP

eprasa.pl 7b63c07719

nie chcę, ale pod koniec dnia widzę, że to się opłacało.

A o co każe ci się Malwina boksować?
– O własne zdanie. Wiesz, ja jestem Wagą. Ja wiecznie szukam kompromisów. Dla mnie najlepszym rozwiązaniem jest niewchodzenie w konflikt, co czasem prowadzi do tego, że nie bronię swoich poglądów. A Malwa chce, żebym się z tej mojej wiecznej strefy komfortu wygrzebywał i boksował z przeciwnościami losu. U niej też szczerość jest bardzo w cenie i bardzo dba, żebym ja był szczery, nie uginał się pod opinią innych, żebym nie był jak to pokorne ciele, które dwie matki ssie, tylko czasami postawił na swoim.

A jak nauczyłeś się takiego mówienia o swoich stanach wewnętrznych, o emocjach, o słabościach?
– A widzisz, to nie jest takie proste, bo ja nie mam problemu z tym, żeby powiedzieć, co czuję, drugiej osobie, o ile jest to miłe podzielenie się uczuciem. Nie krępuje mnie werbalizowanie takich emocji. Schody zaczynają się, jeżeli mam na przykład przyznać się do słabości. Wtedy moja emocjonalność jest mocno ograniczona.

Chociaż w moim domu raczej rozmawialiśmy o emocjach. Mama starała się nie zostawiać mnie samego z moimi problemami i głęboko wierzę w to, że koniec końców dała mi narzędzia pomocne w komunikowaniu nawet tych cięższych tematów. Za jej szczerość powstała moja szczerość. To sprawiło, że umiem się zwierzać kobietom. Mamie zawsze się pewnie będę.

A aktorom nie mówi się łatwiej o uczuciach? Te wszystkie wiersze, które deklamujecie, wchodzenie w emocje innych osób nie pomagają?
– Na pewno pomagają. W szeroko pojętej sztuce zawarta jest mądrość. I czuję, że wielu rzeczy się dzięki niej, a w zasadzie dzięki swojej pracy, nauczyłem. Ale czy to dzięki niej łatwiej mi się rozmawia o emocjach? Nie wiem.

Wiem, że jest tak dzięki mamie, która po prostu ze mną rozmawiała, dyskutowała, traktowała po partnersku. A przede wszystkim dzięki mojej drugiej połówce.

A czym jest ta mądrość, o której często wspominasz w kontekście Malwiny?
– Ja mam wielką potrzebę bycia zaakceptowanym. Zasadniczo raczej byłem przeciętnym uczniem, który miał jakiś tam urok, potrafił przekabacić nauczycieli, ale żadnym orłem nigdy nie był. Nie miałem żadnych specjalnych umiejętności, nawet w piłkę nie grałem.

Myślałem, że jestem przeciętniakiem. Nie miałem żadnego planu na życie. Napisałem maturę raczej średnio. Wymyśliłem sobie turystykę i zarządzanie, bo była modna. Nie dostałem się. Poszedłem na dziennikarstwo. Nie pamiętam nawet dlaczego, choć wiem, że mnie interesowały ludzkie historie.

I nagle pojawiło się coś, na czym zaczęło mi zależeć. Więc coraz bardziej się angażowałem. Zyskałem poczucie sensu w życiu. Dostałem się do szkoły teatralnej. Wcześniej na niewielu rzeczach mi zależało, także pieklenie poważnie podchodziłem do tego celu, który sobie założyłem.

Praca stała się priorytetowa. I choć nadal jest bardzo ważna, to uwagę rozkładam też na inne rzeczy. Bardzo bym nie chciał teraz zaniedbywać rodziny, domu i, o ile to możliwe, chciałbym żyć normalnie w tym szalonym, nieregularnym życiu. Bo ta moja praca jest super nieregularna i trudna do zaplanowania.

Brak komfortu i bezpieczeństwa?
– Totalny. A ja mam przez wychowanie zakodowane jakieś takie rzeczy, jak walka o byt czy lęk przed tym, że „nie będzie". Moja głowa wiecznie mnie bombarduje tego typu lękami.

Bycie aktorem to jak bycie marynarzem. Jak mnie nie ma, to mnie nie ma. Ale jak jestem, to przejmuję obowiązki wokoło Jagody, bo uważam, że tak jest fair. A resztą obowiązków domowych i tak się dzielimy partnersko. Ale jak jestem, dużo z Jagodą rozmawiam.

Bo to, co chciałbym dać mojej córce, to uwaga. Proste poczucie, że jestem obok, i jeśli będzie mnie potrzebować czy to w zabawie, czy w zdobywaniu świata, to żaden problem.

Myślę o takiej uwadze, która nie oczekuje wdzięczności. Bardzo bym chciał jej to dać.

I czas. Bardzo lubię z nią spędzać czas. Słuchać, jak uczy się otaczającego ją świata. Lubię, jak zaczyna reagować na niego. Albo jak się zakochuje.

A ta mądrość...
– ...mądrość jest w tym, że coraz częściej udaje mi się odpuszczać rzeczy, na które nie mam wpływu.

No i w wodzie z cytryną. Kwaśne pomaga na ataki lękowe. Serio. Polecam.

Ile wasza córeczka ma lat?
– Sześć.

Kocham być ojcem. Tutaj dopiero roi się od wyzwań. Rodzicielstwo jest wspaniałym zbiorem popełnionych błędów i sprawdzianem, jak z tych błędów uda nam się wyjść. Jest również encyklopedią zdarzeń, które mogą w życiu zaskoczyć. Codziennie. Bo bywa różnie, wiadomo.

To to już?
– No! I to w wielu chłopakach. Jej bardzo niewiele potrzeba, żeby się zakochać. Może też po prostu ją w tym rozumiem. Na szczęście ma też najcudowniejsze cechy Malwiny: naprawdę umie rozróżnić dobro i zło. Mimo że jest zadziorą, widzi słabszych i potrafi stanąć w ich obronie. Ma w sobie wtedy taki słuszny gniew. Uwielbiam tę jej cechę.

A że przy okazji dostrzega, że ten chłopiec ma piękne kręcone blond włosy, i się w nim zakochuje, a potem inny ma piękne oczy, no to cóż.

No i jako rasowy tatuś córusi jestem zdania, że powinna rządzić światem. W ogóle dziewuchy powinny rządzić światem.

Nie każdy ojciec dziewczynki tak myśli.
– Nie wiem. Dla mnie to oczywiste, że jeżeli będzie tego chciała, to to jest absolutnie jej miejsce.

A twoje partnerstwo z jej mamą, na czym się opiera?
– To jest tak szeroka kolaboracja, że nie wiem, od czego zacząć. Musieliśmy przejść długą drogę, żeby ułożyć sobie świat, w którym jest nam tak dobrze, wspólnie wykonując ten sam zawód. Żeby budować coś, co jest normalnym życiem.

O zazdrość nietrudno w związkach aktorskich, a my to mamy przegadane, to też regularna praca. Choć o to, jak sobie z tym radzimy, lepiej byłoby zapytać Malwinę, bo to chwilowo ja jestem tym, który „wychodzi z domu do pracy".

A ta praca związkowa chyba sprowadza się do tego, że musimy się słuchać i szanować. Myślę, że szanujemy własne zdania. Nasze partnerstwo polega też na tym, że jesteśmy sobą zafascynowani. Wiem, że nawet gdybym przyszedł do niej z największą głupotą, która mnie aktualnie zaczęła interesować, to ona też się tym zajara. Ja się jaram każdym jej odpałem. Powtórzę to znów, ale uwielbiam kobiecą mądrość.

No to jeszcze powiedz dlaczego.
– Zasadniczo myślę, że ta nasza męska głupota napędzana ego już musi się skończyć. Wy, dziewczyny, macie jakiś inny pomysł na ten świat. To dlatego uważam, że moja Jagoda, kiedyś jako już dorosła kobieta – jeśli tego oczywiście będzie chciała – może, choćby symbolicznie, nim rządzić. A jeżeli nie, to niech przynajmniej żyje na własnych warunkach. ●

> Astrologia naprawdę ułatwia określanie cech charakteru. My z ludźmi się obwąchujemy na różne sposoby, a ten od jakiegoś czasu jest mój

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34417486
GAZETA wyborcza wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI
codziennie w sprzedaży w sieci
LIDL
teraz już także
na nowych regałach prasowych

1 RP

eprasa.pl 7b63c07719

BĘDĄC MŁODĄ RAPERKĄ

Słuchając smutnych, agresywnych kawałków, byłam nabuzowana, zdenerwowana, zdołowana. Sama promuję muzykę, która nie powoduje, że rodzice dzieci i nastolatków muszą się niepokoić.

Z RAPERKĄ **QUEENKUTEE,** KTÓRA WYDAŁA M.IN. PŁYTY: „GRANICA24" I „MORZE24" ROZMAWIA **KRZYSZTOF NOWAK**

Jesteś maturzystką. Czy nie powinnaś być teraz w szkole?
– Powinnam, ale odpuściłam dzisiejsze zajęcia. Są rzeczy ważne i ważniejsze. Trochę boję się opierdzielu, bo akurat mieliśmy próbę poloneza.

Wybrałaś już kierunek studiów?
– Moim planem A jest muzyka. Nie wiem jeszcze, czy pójdę na studia, to raczej plan B. Jeżeli jednak się zdecyduję, to wybiorę psychologię, dokładając do tego coaching i bioenergoterapię.

Nie mam zbyt dobrych wspomnień ze szkoły.

Dlaczego?
– Do pierwszej klasy szkoły podstawowej poszłam jako pięciolatka, bo nie było miejsc w zerówce. Mój rocznik był zapchany. Przez to nie dociągałam, a nauczyciele uważali, że mam niepełnosprawność umysłową. Wszystko wyrównało się dopiero, gdy powtórzyłam klasę.

Co było potem?
– Potem też nie mogłam się odnaleźć. Kilka razy zmieniałam podstawówkę. Rówieśnicy mnie nie akceptowali, odrzucali z jakiegoś powodu. Niczym sobie nie zasłużyłam na to, jestem bardzo otwartą osobą. Zawsze podchodziłam do ludzi, pytałam, jak się czują i co u nich. Chciałam normalnej, luźnej rozmowy, ale nikt nigdy nie spytał, jak ja się czuję i co u mnie.

Zaczęłam się zastanawiać: może coś jest ze mną nie tak, i dlatego nie chcą się ze mną zadawać? Może nie uważają mnie za osobę na tyle wartościową, żeby z nią rozmawiać? Może nie podobam im się wizualnie?

Do jakiego wniosku doszłaś?
– Może chodziło o moją ambicję, przez którą się do mnie porównywali. Mam wrażenie, że moi rówieśnicy żyli w innym trybie niż ja, przez co się nie rozumieliśmy. Oni wracali do domu i siedzieli w telefonach, a ja musiałam być ciągle w ruchu, bo nie lubiłam siedzieć bezczynnie – grałam na instrumentach i uprawiałam sport. Nie uważam jednak, że postępowali źle, tylko po prostu inaczej.

Już później, jako 13-latka, poprosiłam rodziców, żeby kupili mi deskorolkę. Gdy ją dostałam, zaczęłam pojawiać się w skateparkach. W ten sposób poznałam sporo nieco starszych nastolatków, którzy mnie polubili.

Pierwszy raz w życiu miałaś poczucie przynależności?
– Tak. Czułam akceptację, ale z czasem chciałam bardziej zaimponować kolegom. Myślałam, że jeśli będę zachowywać się jak oni, to będą mnie jeszcze bardziej lubić. W ten sposób wpadłam w używki, przez które czułam się tylko gorzej fizycznie i psychicznie. Gdy przestałam robić głupoty, deskorolkowcy się ode mnie odwrócili.

Jak to na ciebie zadziałało?
– Odrzucenie sprawiło, że zaczęłam mieć ciężkie stany poddepresyjne. Powiedziałam o tym rodzicom.

Nastolatkowie raczej nie wtajemniczają rodziców w takie sprawy.
– Raz – nie miałam równolatków, z którymi mogłabym o tym porozmawiać. Dwa – mama i tata to bardzo ułożeni i fajni ludzie, na których zawsze mogłam liczyć, choć przez wiele lat tego nie zauważałam.

Sama poprosiłam ich, by zapisali mnie na terapię. Myśleliśmy również o antydepresantach, jednak rodzice byli przeciwni. Twierdzili, że farmakologia uzależnia. Z perspektywy czasu uważam, że dobrze się stało. Dzięki temu i terapii nauczyłam się, jak radzić sobie ze swoimi myślami.

Jak wspominasz pierwszą wizytę?
– Wyszłam z płaczem, bo powiedziałam pani dosłownie wszystko. Wreszcie poczułam się wysłuchana przez kogoś spoza rodziny.

Na początku miałam spotkanie raz na tydzień, a w trudniejszych momentach – dwa razy w tygodniu. Później raz na miesiąc, na trzy miesiące, na pół roku... Dostałam narzędzia, by reagować, gdy czuję się ze sobą gorzej. No i w międzyczasie zaczęłam tworzyć muzykę.

Od razu postawiłaś na rap?
– Musimy zacząć od początku. Moja mama kiedyś śpiewała, a tata pogrywał na basie. Rodzice zarazili mnie muzyką. Od dziecka śpiewałam w chórku kościelnym, a później rodzice zapisali mnie na emisję głosu. Brzdąkałam też na gitarze, ukulele i na pianinie.

Pierwszy etap mojej pasji do muzyki skończył się, gdy moja ukochana nauczycielka śpiewu wyjechała do Londynu. Poszłam do innej pani, ale zacisnęło mi się gardło. Spróbowałam z kolejną i z jej zajęć wyszłam z płaczem, bo nakrzyczała na mnie za nieprawidłowo wykonane ćwiczenie wokalne. Wtedy ostatecznie się zraziłam do śpiewania.

Drugi etap pojawił się w czasie, gdy straciłam kontakt z ludźmi z deski. Starałam się czymś zająć głowę, więc zaczęłam pisać rapowe teksty o codzienności mojej i rówieśników. Muszę jednak powiedzieć, że rap też był jedną z przyczyn moich problemów.

Dlaczego?
– Dla mnie muzyka zawsze była formą wibracji, do której się dostrajałam. W deskorolkowych czasach słuchałam dużo polskiego rapu, który ogromnie na mnie wpłynął. Promuje on negatywne wartości i rzeczy. W kawałkach popularyzuje choćby narkotyki i uprzedmiotawianie kobiet.

Raperki, za to, obnoszą się ze swoimi ciałami. Idą drogą na skróty, niewiele tym wnoszą i promują takie działanie wśród kobiet. Trzęsą tyłkiem, bo to wzbudza emocje wśród mężczyzn i pomaga lepiej zarabiać. Jestem kobietą, która siebie szanuje, więc mi się to nie podoba. To nie jest normalne.

Kiedy zaczęłaś mieć takie refleksje?
– Kiedy zaczęłam pisać swoje kawałki. Muzyka ma moc, trzeba o tym pamiętać. Słuchając smutnych, agresywnych kawałków, byłam nabuzowana, zdenerwowana, zdołowana. Sama promuję muzykę, która nie sprawia, że rodzice dzieci i nastolatków muszą czuć się zaniepokojeni.

Nie chcę wrzucać wszystkich do jednego wora, bo jak wszędzie są wyjątki. Mainstream daje jednak zły przykład młodym pokoleniom. Narzuca głupie wzorce, którymi młodzi ludzie będą się kierować, bo uznają je za godne naśladowania. A tak nie jest.

Co jest największym problemem polskiego rapu?
– Skrajny materializm. Nawet początkujący artyści skupiają się na tym, że chcą zarabiać krocie, ciągle jeździć na wakacje, mieć helikopter, jacht. To nie jest zdrowe ani dla nich, ani dla ich słuchaczy. Oczywiście należy dążyć do tego, by niczego nam nie brakowało w życiu, by godnie żyć. Nie uważam jednak, że jesteśmy na świecie tylko po to, by się bogacić.

To po co na nim jesteśmy?
– Po to, żeby czegoś się tutaj nauczyć. Doświadczyć człowieczeństwa, miłości i dobra. Traktować życie jako lekcję, z której możemy wyciągnąć wnioski.

Wiele przeszłam. Doświadczałam wykluczenia, wyśmiewania i hejtu od dziecka, jednak nie biorę tego do siebie. To tylko lekcja.

Podam ci przykład. Gdy byłam 12-latką, napisała do mnie dziewczyna ze Szczecina. Bez powodu zaczęła mnie wyzywać, więc odpisałam krótko: nie mam ochoty z tobą rozmawiać. Zablokowałam ją, po czym ona stworzyła 50 kolejnych kont, z których jechała mnie prywatnie od góry do dołu. Dziś wiem, że to było po prostu przygotowywanie mnie na coś większego.

Takich rzeczy doświadczają też twoi rówieśnicy?

Zaczęłam się zastanawiać: może coś jest ze mną nie tak, i dlatego nie chcą się ze mną zadawać? Może nie uważają mnie za osobę na tyle wartościową, żeby z nią rozmawiać? Może nie podobam im się wizualnie?

– Część na pewno. Przede wszystkim jednak wyrzuca się ich z towarzystwa, gdy nie chcą pić, brać narkotyków i dopasowywać się do reszty. Krytykuję to w swoim rapie, bo uważam, że przez bagaż doświadczeń i wewnętrzną siłę mogę coś zmienić.

Chciałabym być głosem młodego pokolenia i wskazywać nowe trendy. To drugie zaczęłam robić już w wieku 14 lat. Moim drugim numerem w życiu były „Małolaty". Nawijałam tam krytycznie: „małolaty, napijmy się i tapetą zakryjmy wady".

Jak reagowało otoczenie?
– Uznało to za kiczowate. Słyszałam też, że robię z siebie głupka. Ale co z tego, ja idę do przodu, a oni są tam, gdzie są.

Kiedy nastąpił w niej przełom?
– W 2024. Zaprezentowałam trzy płyty, które pokazują moją przemianę.

Pierwsza, czyli „Granica24", opowiadała o trudnych emocjach i narodzeniu się na nowo. Po niej moja muzyka stała się jaśniejsza, co słychać na letnim krążku „Morze24". Wszystko przypieczętowałam pozytywnym albumem „Afirmacja". Na pamiątkę tej rocz-

eprasa.pl 7b63c07719

FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

***QueenKutee**

• wł. Julia Suchy, ur. w 2007 r. raperka ze Szczecina. Została dostrzeżona przez środowisko muzyczne w 2024, gdy wydała m.in. płyty: „Granica24" i „Morze24". Nominowana do tytułu Raperki Roku w nagrodach serwisu Popkiller (2025).

nej drogi zrobiłam sobie tatuaż z liczbą „24", moją szczęśliwą.

W tym roku zaczęłam grać koncerty – pierwsze, na których ludzie śpiewali ze mną wszystko, niektórzy rówieśnicy nawet płakali pod sceną. Pojawiły się też wiadomości prywatne, że uratowałam komuś życie i muzyka, którą robię, wyciąga z różnych problemów. Dzięki temu sama poczułam się mniej samotna. W 2025 nominowano mnie za to do tytułu Raperki roku w nagrodach rapowego portalu Popkiller. Zupełnie się tego nie spodziewałam, więc z ciekawością pojechałam na galę.

Jak wrażenia?
– Pozytywne. Wreszcie poznałam osobiście inne raperki – nawiązałam fajny kontakt z OG Kamką, a także zamieniłam parę słów z Bambi.

Co do Bambi – jej kariera wybuchła w Baila Ella, wytwórni założonej przez raperkę Young Leosię. Próbowałaś się tam dostać, żeby rozpędzić karierę?
– Nawet podesłałam swoje demo, ale nie dostałam odpowiedzi. Nie dziwi mnie to – ja tam po prostu nie pasuję. Leosia robi świetną robotę w promowaniu artystek, tylko tam są bardzo dziewczęce raperki, nagrywające inne treści niż moje. W tym momencie nie chciałabym zresztą pójść do żadnej wytwórni.

Czemu?
– Nie chcę, żeby ktoś zrobił ze mnie i mojej historii produkt do sprzedania na rynku. Dobry, pozwalający pozostać sobą kontrakt dostanę dopiero wtedy, gdy będę mieć większą rozpoznawalność. Trzeba mieć duże profile w mediach społecznościowych i spore odsłony utworów, a przecież algorytmy TikToka, Instagrama i innych platform społecznościowych są wielką zagadką.

Jakie jeszcze zagrożenia czyhają na młode raperki w naszym kraju?
– To zależy, jak wyglądają. Ładne, długowłose dziewczyny w krótkich spódniczkach dostają mniej hejtu niż ktoś taki jak ja, z krótkimi włosami i tworzący utwory, będące przeciwieństwem tego, co się najlepiej sprzedaje.

Teraz częściej uderzają we mnie nie rówieśnicy, tylko sporo starsze, bo 40- czy 50-letnie osoby. Wyświetlają się im moje numery czy socialowe rolki, po czym zaczynają mnie hejtować w komentarzach.

Zastanawiałaś się, czemu tak się dzieje?
– Przełamuję schematy i wybijam ludzi z ich strefy komfortu. Dodatkowo uważam, że chodzi o jakiś rodzaj niespełnienia. Widzą młodą osobę, która chce coś zrobić ze swoim obecnym i przyszłym życiem – i ich to uwiera. Może, gdy byli w moim wieku, też mieli marzenia, ale ich życie potoczyło się w taki sposób, że pozostał tylko żal? Dobrze byłoby, żeby nie wypisywali negatywnych zdań, tylko przyjrzeli się sobie, być może przepracowali swoje życie na terapii.

Muszę jednak zaznaczyć, że nie dotykają mnie personalnie takie komentarze, bo nigdy tych ludzi nie widziałam na oczy. Tylko raz mnie coś zabolało, i to niedawno.

Kiedy?
– Wypuściłam piosenkę z moją mamą. To piękna sprawa, tym bardziej że się od siebie różnimy – ona jest damą, a ja ziomalką. Ktoś napisał: „co za syf", ktoś inny: „ale gówno", ale to nie było najgorsze. Niektórzy zaczęli wyzywać moją mamę i się z niej śmiać. Starałam się jednak zrozumieć tę sytuację, choć nie było to łatwe. Być może nie każdy dostaje tak duże wsparcie od rodziców jak ja.

Na marginesie – podejrzewam, że twoja mama może być rocznikowo zbliżona do twojej menedżerki, czyli Joanny „Ahy" Tyszkiewicz, pochodzącej ze Szczecina pierwszej raperki w Polsce.
– Poznałyśmy się podczas wywiadu, którego udzieliłam jej w Radiu Szczecin. Świetnie nam się rozmawiało, obie poczułyśmy flow. Po audycji odprowadzałam ją kawałek do domu i zapytałam, czy mogłaby mi pomóc w kwestiach muzycznych i organizacyjnych. Nie zgodziła się od razu, powiedziała, że musi to przemyśleć. Trzy dni później zadzwoniła z dobrą nowiną.

Później nasze kontakty szybko się zacieśniły. To Aśka namówiła mnie na trenowanie boksu, który bardzo polubiłam. Zawsze znajdowałam przyjemność w uprawianiu sportu, a niedawno dzięki treningom zeszłam z osiemdziesięciu pięciu do siedemdziesięciu kilogramów.

A czy da się trenować działanie w muzyce?
– Pewnie, że tak. Mimo charakterystycznej barwy głosu chcę jeszcze podszkolić się wokalnie. To ułatwi mi łączenie różnych gatunków muzycznych – rapu, popu, bluesa czy soulu. Muszę też popracować nad tekstami, czyli pisać je bardziej świadomie. Do tej pory powstawały one impulsywnie, pomysły zalewały mnie jak fala.

Chcę również zadbać o prawną stronę swojej twórczości. W tych sprawach konsultujemy się z prawnikiem. Podpisanie niekorzystnej umowy to nie koniec świata, ale warto być uważnym już za młodu. Kontrakty dla rozwijających się artystów często mają zapisy, które mogą negatywnie ciągnąć się za człowiekiem latami.

Czyli tak jak problemy rówieśnicze i szkolne... Czy zaistnienie w muzyce wpłynęło w jakikolwiek sposób pozytywnie na twoją niemuzyczną rzeczywistość?
– Nie. Co prawda na korytarzu jedni przestali do mnie się odzywać, inni zaczęli, mam wrażenie, że to dlatego, że staję się coraz bardziej znana. Czasami ciężko mi odróżnić wartościowych ludzi od tych, którzy liczą na jakieś korzyści, gdy jeszcze bardziej wyjdzie w rapie.

Moimi najważniejszymi przyjaciółmi pozostają moi rodzice, choć w liceum też się starałam znaleźć szczere osoby i zbudować dobre relacje.

W jaki sposób?
– Początkowo byłam w klasie mundurowej. Szybko zaczęło mi jednak ciążyć to, że muszę być szarą myszką przez ten mundur. Przeniosłam się więc do klasy o profilu psychologicznym. Po cichu liczyłam na to, że w niej ludzie będą bardziej empatyczni i dojrzali emocjonalnie. Pomyliłam się. Stwierdziłam więc, że przemęczę się do końca szkoły, by zdać maturę.

Ostatnio jedna z nauczycielek wyszła ze mną przed klasę i powiedziała, że woda sodowa uderzyła mi do głowy i mam wszystkich w dupie. A to wszystko tylko dlatego, że zwyczajnie nie umiałam rozwiązać na lekcji bardzo trudnego zadania z rozszerzonego materiału maturalnego.

Zwalam to jednak na to, że pani miała gorszy dzień. Nauczyciele najczęściej bardzo mnie lubią. Jako jedna z niewielu osób w szkole zawsze poprawiam im humor, ponieważ chciałabym dodawać ludziom pozytywnej energii nie tylko w rapie. Jest ona nam niezwykle potrzebna, szczególnie dziś w tym zagmatwanym i rozpędzonym świecie. ●

eprasa.pl 7b63c07719

GRANAT
JAK KREW CZERWONY

W eleganckich sklepach w Pradze pełno jest biżuterii z czeskich granatów, bibelotów z kryształu i wyrobów z kolorowego szkła. Sposób ich wytwarzania jest wpisany na listę niematerialnego dziedzictwa UNESCO. Pojechałam tam, gdzie powstają te cuda. Do Krysztalowej Doliny

Ewa Furtak

Pociąg z Pragi do Turnova jedzie długo. Łatwiej jest się tam dostać autobusem, który odjeżdża z przystanku obok stacji metra Černý Most, ostatniej stacji na linii B. Wsiadłam do tego autobusu w zimny, poniedziałkowy poranek. Po drodze mijałam zaśnieżone pola i sarny, które próbują znaleźć na nich cokolwiek do jedzenia. Im dalej od Pragi, tym więcej było śniegu. Nic dziwnego, przecież to droga w stronę gór.

Turnov leży w sercu malowniczego Czeskiego Raju. To jedno z najbardziej znanych miast Kryształowej Doliny. Bywałam już wcześniej w tej okolicy, ale nie znałam tego określenia. Teraz się dowiedziałam, że „Kryształowa Dolina" to jeden z pomysłów Czechów na przyciągnięcie turystów. Projekt, jakiego w takiej skali nie ma chyba żaden inny kraj na świecie.

– Można tutaj zajrzeć do hut szkła, tłoczni pereł i warsztatów jubilerskich, zobaczyć miejsca, z których lustra, szkło i ozdoby trafiają do krajów na całym świecie. Wyjątkowość tego rzemiosła potwierdza wpis ręcznego wytwarzania szkła na listę niematerialnego dziedzictwa UNESCO – wyliczała mi Gabriela Malinská z Agencji Rozwoju Regionalnego w Libercu, gdy pytałam ją, co warto zobaczyć w okolicy.

W Turnovie pochowany jest wynalazca zapalniczki

Turnov to miasto założone jeszcze w XIII wieku. Miałam jeszcze kilka godzin do umówionych spotkań, więc postanowiłam powłóczyć się po jego uliczkach. Bo czeskie miasteczka, niezależnie w której części kraju, mają swój urok. Nie inaczej jest w przypadku Turnova. Zachwycił mnie np. Kościół Narodzenia Maryi Panny, który stoi na miejscu dawnego Klasztoru Dominikanów.

Husyci podpalili klasztor w 1424 roku, potem pożarów było jeszcze kilka. Na początku XIX wieku budynek był w tak fatalnym stanie, że konieczna była rozbiórka. Zastąpiono go jednym z pierwszych neogotyckich kościołów w Czechach – potężną, trzynawową bazyliką, która tak mi się teraz spodobała.

• Granaty to czeski kamień narodowy. W stanie surowym ma zwykle do ośmiu milimetrów, a po oszlifowaniu jest o połowę mniejszy

Obok bazyliki jest cmentarz, na którym szukałam grobów ludzi zasłużonych dla regionu. Znalazłam m.in. grób Karela Bavora, zmarłego w latach trzydziestych XX wieku przedsiębiorcy i – co mnie zaskoczyło – podobno wynalazcy zapalniczek elektrycznych. Podobno, bo znalazłam potem artykuł z jednej z czeskich gazet o panu Bavorze, z którego wynika, że nie jest jasne, czy faktycznie wynalazł zapalniczki, czy też to rodzina umieściła taką adnotację na nagrobku, żeby poprawić jego wizerunek.

Turnov i okolice też wiele innych zabytków. Turnowska Hrubá Skála to renesansowy pałac zbudowany na potężnych skałach piaskowca, to jeden z najbardziej charakterystycznych zabytków Czeskiego Raju. Przyciąga turystów z całej Europy. Można zwiedzać dziedziniec oraz wieżę z galerią, z której roztaczają się piękne widoki na skalne miasto i słynny Zamek Trosky.

W okolicach ciekawych zamków i pałaców jest zresztą więcej, choćby Pałac Hrubý Rohozec. Niestety, zimą większość czeskich zamków jest zamknięta dla zwiedzających. Powód jest prozaiczny to oszczędności – nie trzeba ich wtedy ogrzewać.

Raj w gablotach

Turnov to także ciekawe Muzeum Czeskiego Raju. Oprowadził mnie po nim Dawid, jeden z pracowników. Opowiadał, że do muzeum przybył niedawno bardzo cenny eksponat, co stało się nie lada gratką dla miłośników sztuki i historii z regionu. To kieł mamuta z wyrytą na nim sylwetką kobiety. Ddzieło sprzed 30 tysięcy lat, z czasów paleolitycznych.

eprasa.pl 7b63c07719

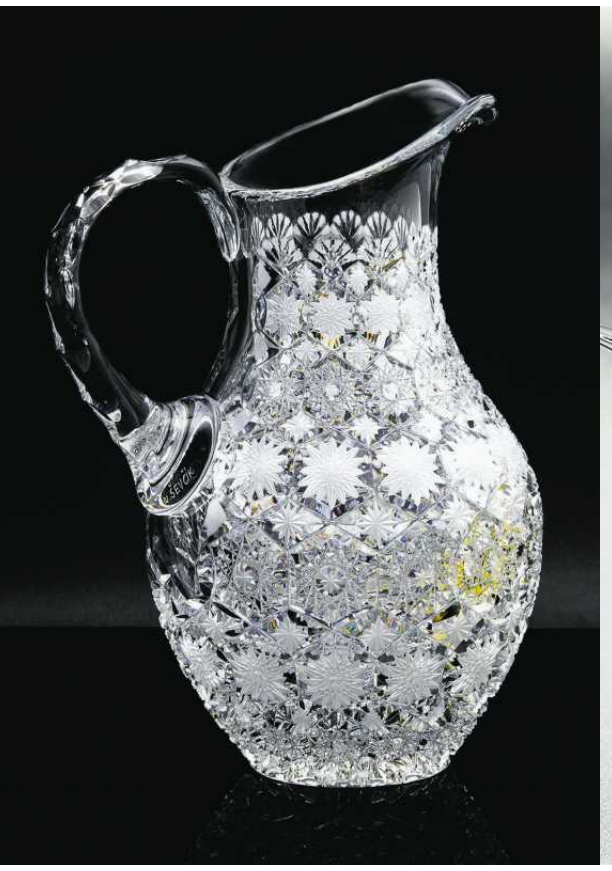

• **Ptaszki ze specjalnie barwionego szkła z pracowni Urbanów w Železným Brodzie**

• **Dzbanek z pracowni szklarskiej Ladislava Ševčíka. Firma od 1990 r. działa w Železným Brodzie i zajmuje się produkcją ręcznie ciętego czeskiego kryształu**

• **Wyroby manufaktury Halamów z Železnego Brodu, która specjalizuje się w wazonach i flakonach w stylu secesyjnym i art déco**

Po słynnej Wenus z Vestonic to drugi tego typu najważniejszy zabytek w Czechach, wszyscy się nim zachwycają – mówił Dawid, gdy staliśmy przed gablotą z eksponatem.

To nietypowe przedstawienie takiej Wenus także dlatego, że zwykle to figurki kobiet z wypalanej gliny. Kieł odnaleziono pod koniec XIX wieku w innym regionie Czech, koło Prerova w okolicach Ołomuńca. Na co dzień to dzieło można oglądać w muzeum w Brnie, do Turnova, razem z innymi eksponatami, zostało tylko wypożyczone na czasową wystawę poświęconą prehistorii. Będzie czynna tylko do 22 marca, warto ją zobaczyć.

W Muzeum Czeskiego Raju obejrzałam też m.in. kolekcję szlachetnych kamieni pochodzących niemal z całego świata. Są tam również repliki czeskich koron wykonane przez jednego z lokalnych rzemieślników.

Obiad zjadłam w restauracji niedaleko rynku. Szukałam tradycyjnego lokalu, gdzie kelner na kartce robi „siekierę", czyli kreskami zaznacza kolejne zamówione przez każdego klienta kufle piwa, i w której pachnie frytkami i smażonym serem. I spotkałam tam nawet turystę z Polski – Pawła, informatyka.

– Przyjechałem z Wrocławia, mieszkam tam od kilku lat. Mój dziadek był jubilerem, ja zawodowo zajmuję się czymś innym, ale ciekawią mnie minerały, zbieram szlachetne i półszlachetne kamienie, jeżdżę na targi, w Polsce i zagranicą. Dlatego tak lubię ten region. To przecież królestwo granatu, według mnie jednego z najpiękniejszych na świecie kamieni – usłyszałam od Pawła.

Jeden z symboli Kryształowej Doliny

W eleganckich sklepach w Pradze można kupić biżuterię z czeskimi granatami. Kolczyki, broszki, naszyjniki, pierścionki i inne cuda. Granatami ozdabia się też inne pamiątki z Pragi, np. kryształowe kieliszki. Granat to czeski „kamień narodowy". Jak ktoś pyta Czecha, co warto kupić w Pradze, to odpowiedź brzmi zwykle: „Coś z granatami". W Pradze jest nawet muzeum tego kamienia.

Granat zachwyca nie tylko Czechów. Biżuterię z granatami mają np. dwie byłe amerykańskie pierwsze damy – Hillary Clinton i Michelle Obama. Czeskie granaty otrzymali król Karol III i jego żona Kamila.

– Pastorał z granatami miał też papież Jan Paweł II, zresztą nie tylko on, również Benedykt XVI – opowiadał mi w Muzeum Czeskiego Raju Dawid.

Granaty lubił Napoleon, zwłaszcza ciemnoczerwone. Wolał je od diamentów, bo uważał, że bardziej pasują do wizerunku cesarza – twardego żołnierza. Diamenty to jego zdaniem cesarz brylujący na salonach.

W Muzeum Regionalnym w mieście Most można zobaczyć jedno z najcenniejszych dzieł czeskiej sztuki jubilerskiej – biżuterię z granatami, która należała do Ulriki von Levetzow, wielkiej miłości Johanna Wolfganga Goethego. Komplet składa się z naszyjnika, kolczyków, pierścienia, klamry do paska i dwóch podwójnych bransolet. Zdobi go aż 469 czeskich granatów.

Najstarsze znane obrobione czeskie granaty pochodzą sprzed 6 tysięcy lat, znaleziono także narzędzia, których użyli prehistoryczni rzemieślnicy. Od V do VI wieku zbieranie tych kamieni stawało się coraz bardziej popularne. Doceniał je np. Karol IV Luksemburski (1316-

Kryształowa Dolina – centrum szkła i biżuterii

Historia przemysłu szklarskiego na północy Czech ma już ponad 600 lat, ale Kryształową Doliną region zaczął być nazywany dopiero w XXI wieku. Obszar rozciąga się od Gór Łużyckich, przez Góry Izerskie, Czeski Raj aż po Karkonosze.

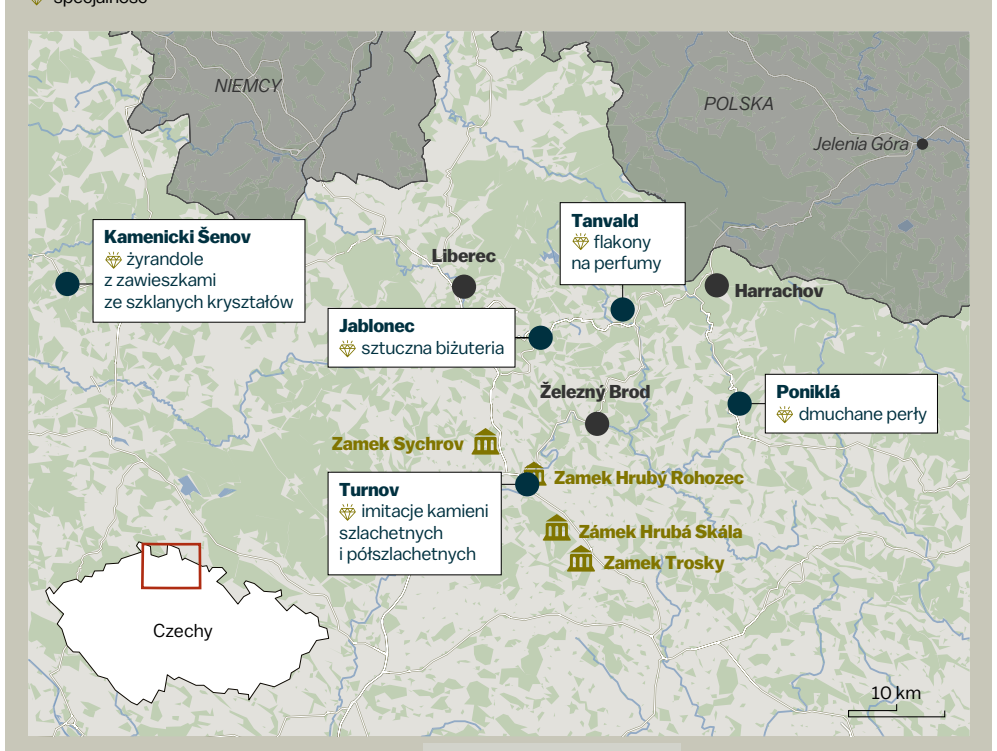

© GAZETA WYBORCZA

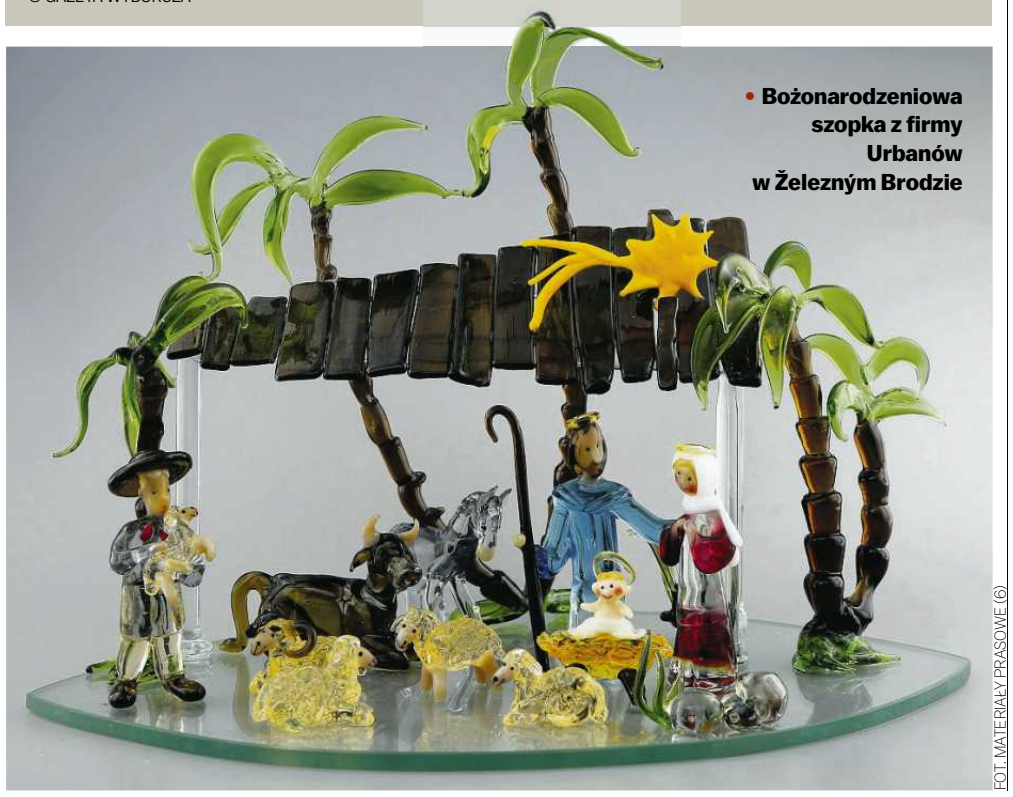

• **Bożonarodzeniowa szopka z firmy Urbanów w Železným Brodzie**

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (6)

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty.
W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, między innymi: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją.
Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

eprasa.pl 7b63c07719

78), władca prawdziwie europejskiego formatu, który mówił biegle pięcioma językami, kochał architekturę, mieszkał we Włoszech i we Francji i stawiał na wykształcenie. To właśnie za Karola IV kamienie zaczęły zdobić monstrancje i inne przedmioty liturgiczne. Z kolei austriacka cesarzowa Maria Teresa w 1762 roku zakazała eksportu nieobrobionych granatów, chroniąc w ten sposób monopol czeskich rzemieślników.

Siedemnaste stulecie to złoty wiek dla turnowskich rzemieślników. Wraz z rosnącym popytem na wyroby biżuteryjne rosło także zainteresowanie tą branżą. W 1884 roku powstała nawet Szkoła Zawodowa Obróbki Metali i Kamieni, dzisiaj to Średnia Szkoła Rzemiosł Artystycznych (Střední umeleckoprumyslová škola).

Z szacunkiem dla natury

Spółdzielnia Produkcji Sztuki Granát Turnov, która produkuje biżuterię z granatami od 1953 roku, to dzisiaj jedna z głównych czeskich firm jubilerskich. Zatrudnia obecnie ponad 100 osób. – Nigdzie na świecie nie ma takich granatów jak nasze. Są nawet bardziej unikatowe niż diamenty, które można znaleźć w różnych częściach świata – przekonywał mnie dyrektor spółdzielni Pavel Tvrzník oprowadzając po zakładzie.

Czeski granat to pod względem składu pirop, ognistoczerwony, przezroczysty minerał, odporny na wysokie temperatury. – Nie stopi się nawet w temperaturze półtora tysiąca stopni Celsjusza – mówił. Jest odporny także na działanie kwasów i bardzo twardy. Jednocześnie ten twardziel to prawdziwe maleństwo, w stanie surowym ma zwykle do ośmiu milimetrów, a po oszlifowaniu jest o połowę mniejszy. Praca z tymi kamieniami wymaga więc ogromnej precyzji. Tradycyjny szlif wydobywa z granatu barwę.

Na świecie jest wiele rodzajów granatów. – Wydobywane są na dużą skalę np. w Afryce i na Sri Lance lub w USA. – mówił Pavel Tvrzník. – Ale ze względu na swoją pospolitość te egzotyczne granaty są wielokrotnie tańsze niż czeskie.

Te czeskie ze względu na sposób, w jaki powstały – z głębokiego płaszcza Ziemi zostały „wyniesione" na powierzchnię przez skały wulkaniczne, a podczas erozji trafiły do żwirów – nie występują w tak dużych rozmiarach jak egzotyczne granaty. Szukanie ich bywa szukaniem igły w stogu siana, czasem przesieje się żwir z całej ciężarówki bez większego efektu, w dodatku tylko część kamieni nadaje się do produkcji biżuterii. Na szczęście granaty są cięższe od piasku, co ułatwia ich odsiewanie.

Pavel Tvrzník pozwolił mi zajrzeć do prawie każdego zakątka i zobaczyć wszystkie etapy produkcji – od czyszczenia granatów przed obróbką po ostatnią fazę, gdy malutkie kamienie stają się częścią pierścionka czy wisiorka. Najczęściej oprawia się je w srebro, czasem w złoto. Każdy wyrób otrzymuje certyfikat autentyczności. To ręczna praca, choć rzemieślnicy sięgają po nowe technologie, takie jak projektowanie w 3D. Pracują głównie kobiety, w średnim wieku i starsze. Młodych twarzy widziałam niewiele.

Biżuteria z Turnova chętnie kupowana jest w Europie, a także m.in. w Chinach i USA. W zeszłym roku pokazywana była na targach w japońskiej Osace. Podbiła serca Japończyków.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

• **Manufaktura Pačinek Glass, którą stworzył Jiří Pačinek w latach 90. specjalizuje się w wyszukanych szklanych formach m.in. roślin i kwiatów. To tradycyjna huta szkła, szlifiernia, galeria oraz salon sprzedaży**

• **Galeria Szklany Ogród. Rośliny ze szkła obok tych prawdziwych można oglądać w siedzibie firmy Pačinek Glass w Kunraticach koło Cvikova**

Przyroda daje skarb, a Czesi to szanują. Obróbka granatów odbywa się z dbałością o naturę. – Nie marnujemy np. wody, tylko mamy jej zamknięty obieg. Wokół zakładu nic się nie zmieniło, nie ingerujemy w środowisko. Tam, gdzie zawsze była łąka, jest nadal – mówił pan Tvrzník.

W zakładzie nie tylko powstaje nowa biżuteria. Ludzie często przynoszą tutaj do odnowienia kolczyki czy naszyjniki po babciach i prababciach. To rodzinne skarby przekazywane z pokolenia na pokolenie, nikt się tego nie pozbywa, dba się o nie. – Praca i renowacja takiej biżuterii wymaga umiejętności i doświadczenia – mówił Tvrzník pokazując różne precjoza, które dostały tutaj drugie życie.

W rejonie Turnova działają dziesiątki warsztatów produkujących biżuterię z kamieni szlachetnych. Są także firmy oferujące szkolenia, pokazy czy drobne usługi jubilerskie. To raj dla miłośników minerałów.

Kolorowe szkło spod Turnova

Miejskim autobusem z Turnova dojechać można do rodzinnej, szklanej manufaktury Jaroš. Nieopodal jest jeden z najciekawszych miejscowych zabytków – neogotycki Pałac Sychrov. Pierwotnie był rezydencją francuskiej rodziny Rohan, wnętrza są wyposażone w oryginalne meble, obrazy i inne akcesoria. Czesi znają ten zamek z różnych filmów, dlatego chętnie go zwiedzają.

• **Kolia ze Spółdzielni Produkcji Sztuki Granat w Turnovie. Czeskie granaty najczęściej oprawia się w srebro**

– Wybraliśmy Turnov właśnie ze względu na ten pałac. Pomyśleliśmy, że na pewno choć część turystów po zwiedzeniu Sychrova zajrzy także do nas – powiedziała mi Maria Jarošowa, która od ponad 20 lat prowadzi z rodziną tę manufakturę.

Powstają tu przepiękne wyroby z kolorowego szkła, które kupić można w sklepach m.in. w Pradze i Karlowych Warach. Słynne są np. tutejsze figurki zwierząt: ptaków, ryb czy delfinów. Maria prywatnie jest miłośniczką zwierząt, a zwłaszcza kotów. Ma dwa w domu: ragdolla z hodowli w Czeskim Cieszynie i kota brytyjskiego, czarnego, przywiozła go z Karwiny. Pokazywała mi zdjęcia; oba przepiękne.

W manufakturze pod Turnovem powstają także kolorowe lampy i żyrandole, zakład współpracuje w tym zakresie z architektami i projektantami z całego świata. Mogłam obserwować z bliska, jak powstają te wszystkie szklane cudeńka. Choć to środek zimy, szklarze pracowali w bluzkach z krótkim rękawem, bo w środku jest bardzo, bardzo gorąco. Zimą wizyta w manufakturze to świetny sposób na to, by się rozgrzać.

Historia przemysłu szklarskiego na północy Czech ma już ponad 600 lat, ale – jak wspomniałam na początku – Kryształową Doliną region zaczął być nazywany dopiero w XXI wieku. To nie tylko okolice Czeskiego Raju. Dolina rozciąga się od założonego przez niemieckich osadników Kamenickiego Šenova, a kończy w Harrachovie, który znamy w Polsce z kompleksu skoczni narciarskich. Ale już mało osób wie, że tam działa najstarsza huta szkła w całych Czechach.

Czeskie szkła, zwłaszcza bohemski kryształ, są bardzo cenione na świecie. I są ozdobą europejskich kolekcji, np. Muzeum Szkła w Pasawie w Niemczech ma taką wyjątkową kolekcję bohemskiego szkła – od XVII wieku po czasy współczesne.

Zapraszamy do huty

Kryształowa Dolina to dziś największe na świecie skupisko przemysłu szklarskiego. Praktycznie wszystkie zakłady są otwarte dla turystów, można wejść do środka, podejrzeć produkcję, spróbować sił choćby w dmuchaniu szkła, organizowane są także różne warsztaty i kursy.

Oto co np. turyści mogą zwiedzić tylko w jednym mieście w tym regionie – w Železným Brodzie, oddalonym od Pragi o jakieś 100 km:

• Pracownię szklarską Ladislava Ševčíka, rodzinną firmę, która działa od 1990 roku i zajmuje się produkcją ręcznie ciętego czeskiego kryształu. Jej wyroby często są prezentami dla ważnych osób ze świata, które dwiedzają przy oficjalnych okazjach Czechy. Wszystkie cudeńka to ręczna robota.

• Rodzinną firmę Urbanów założoną w 1991 roku, która specjalizuje się w szklanych figurkach. Urbanowie odkryli kilka nowych metod obróbki szkła. W ich zakładzie powstają figurki zwierząt, szklane kwiaty, a nawet całe szopki ze szkła. Rzemieślnicy jeżdżą z pokazami obróbki szkła do szkół.

• Szklaną manufakturę Halamów, która powstała jeszcze w 1932 roku. Po ponad 40 latach przymusowej przerwy wznowiła w 1994 roku produkcję szkła artystycznego. Powstają tu wazony, miski, flakony na perfumy, wszystko w stylu secesyjnym i art déco. Wyroby Halamów są ręcznie szlifowane i polerowane, zdobią wnętrza królewskich pałaców i rezydencji bogaczy na całym świecie.

W każdym mieście w Kryształowej Dolinie można usłyszeć takie historie, bo w regionie jest ok. 160 firm. To głównie huty szkła, warsztaty, firmy jubilerskie, szkoły i muzea związane z produkcją szkła i biżuterii.

Szacunek dla tradycji

Kryształowa Dolina rozciąga się od Gór Łużyckich przez Góry Izerskie, Czeski Raj aż po Karkonosze. Szklarze zaczęli tu przybywać jeszcze w średniowieczu. Pod dostatkiem mieli tu wszystkiego, co potrzebne do produkcji. Od twardego bukowego drewna przez wodę aż po piasek kwarcowy. Na początku wytwarzano głównie koraliki do różańców i witraże, w całym regionie wszyscy robili to samo. Z czasem rzemieślnicy z różnych miejscowości zaczęli się w czymś specjalizować.

I tak specjalnością szklarzy z Turnova i okolic stały się imitacje kamieni szlachetnych i półszlachetnych nazywanych „karmazínkami"; a szklarzy z okolic Kamenickiego Šenova – żyrandole z zawieszkami ze szklanych kryształów; ci z Jablońca robili sztuczną biżuterię, ci w Tanvaldzie – flakony na perfumy, a w Poniklej – dmuchane perły.

– Dzisiaj produkty z czeskich manufaktur wysyłane są nawet na Grenlandię, a w Ameryce Indianie zdobią sobie stroje naszymi koralikami – opowiadała mi Gabriela Malinská z Agencji Rozwoju Regionalnego.

Mimo postępu technologicznego – jak mówili mi rzemieślnicy – nadal pracuje się tutaj starymi technikami. Szkło się dmucha, szlifuje na kamiennych tarczach, produkuje w systemie chałupniczym. Przyjeżdżają tutaj uczyć się tego szklarze z całego świata.

Kryształowa Dolina to połączenie tradycyjnego rzemiosła z kulturą. Na sierpień w Libercu zaplanowana jest np. wielka letnia wystawa szkła i biżuterii z całej Kryształowej Doliny, której towarzyszyć będą różne ciekawe wydarzenia. Jeśli akurat będziecie w tych stronach – może warto zrobić tu sobie przystanek. ●

Za tydzień opowieść o Tallinie

Podcast Poznajmy naszą Europę

• **NOWY ODCINEK: Alicja Dąbrowska rozmawia z Andrzejem Jagodzińskim, tłumaczem z czeskiego i słowackiego, wieloletnim korespondentem „Wyborczej" w Pradze** m.in. o tym, czym dziś zaskakują Czechy poza Pragą i dlaczego, i od kiedy Czesi polubili Polaków.

eprasa.pl 7b63c07719

Prezydent zaskoczyłby samego siebie

Czy Karol Nawrocki znajdzie w sobie potencjał nieprzewidywalności?

Jarosław Mikołajewski

felieton z cyklu Za pięć trzynasta

Po raz któryś już słyszę rano, że wobec decyzji o podpisaniu czy zawetowaniu ustawy wdrażającej program SAFE prezydent „ma twardy orzech do zgryzienia", „jest między młotem a kowadłem", lub – mniej obrazowo – „znajduje się w trudnym położeniu". Pytam więc: co stanie się Karolowi Nawrockiemu, jeżeli Karol Nawrocki podejmie jedną albo drugą decyzję...

W przypadku drugiej – czyli że odrzuci – wpisze się w oczekiwania, które zgłaszają pod jego adresem rozmaite prawice (choć ta naprawdę jest tylko jedna) i pozostanie takim właśnie swojakiem, za jakiego przypuszczalnie uważają go PiS z przyległościami i obie Konfederacje. Jego wizerunek będzie w dalszym ciągu blady, mimetycznie wtopiony w poetykę „Polacy nic się nie stało", niezdolny do tego, by mieć w zanadrzu odświeżające niespodzianki – potencjał nieprzewidywalności, który postaciom publicznym pozwala co jakiś czas skupiać na sobie uwagę i odgrywać rolę społecznej inspiracji.

•

W przypadku pierwszej – to znaczy, że podpisze – prezydent zaskoczyłby co najmniej samego siebie i choć na chwilę wytrąciłby z ręki argumenty stronie rządowej, a własnemu środowisku naturalnemu puściłby sygnał, że trzeba zabiegać o jego przychylność, zamiast opatulać przez 24 godziny na dobę pierzynką ze z góry spełnionych życzeń.

No dobrze – musiałby stanąć choć na chwilę po tej samej stronie co Tusk i Sikorski, co wymagałoby jednak pewnej niezależności i klasy, lecz w pozorach wolnej i nieprzymuszonej woli, w klimacie walki samego ze sobą, co bywa nazywane zaszczytnie hamletyzowaniem, choć z Hamletem tyle ma wspólnego, co bicie żony po pijanemu z Otellem.

FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Musiałby stanąć choć na chwilę po tej samej stronie co Tusk i Sikorski, co wymagałoby jednak pewnej niezależności i klasy

•

Z punktu widzenia dobra wspólnego (o ile wszyscy mają je za wspólne, tylko różnie je rozumieją) korzyści wydają się jasne i należą do sfery (nomen omen – SAFE) bezpieczeństwa Polski. Nie godząc się na moją osobistą skłonność do pozbawiania prezydenta, na własny użytek, jego prezydentury, a Karola Nawrockiego dobrego imienia, autorytetu, mądrości i udziału w humanistycznie myślącej i odczuwającej społeczności, dopuszczę, że także on w bezpieczeństwie kraju widzi dobro. A skoro tak, to również w tej perspektywie jest nieprawdą, że stoi on „między młotem a kowadłem", „ma twardy orzech do zgryzienia", czy znajduje się w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

•

Proponuję więc nie użalać się nad nim, tylko pozazdrościć, że mieszka w pałacu, może czytać Alberta Camusa (choćby wydane niedawno „Notatniki"), sczytywać starogreckie mądrości z Omfalosa pod Belwederem („Szukaj mądrości", „Wypowiadaj piękno"...), przyglądać się w Łazienkach pączkującym krzewom i topniejącym lodom na stawach, zastanawiać się nad różnicami w upierzeniu samców i samiczek pawia, szukać inspiracji w warunkach, jakimi cieszyć się może rzadko który obywatel Rzeczypospolitej Polskiej. Polskiej Rzeczy wspólnej. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34421250

MIASTO jutra

REPORTERSKA PODRÓŻ PRZEZ MIASTA,
które w centrum stawiają człowieka
i jego codzienne potrzeby

Odwiedzamy m.in.:

BILBAO
Tu ruchome schody łączą dzielnice położone na różnych wysokościach.

BERNO
Tu mieszkańcy pakują ubrania do szczelnych toreb, wskakują z nimi do wody i spływają z nurtem rzeki Aare.

SINGAPUR
Królestwo samochodów, którym towarzyszy najlepiej zorganizowany transport publiczny na świecie.

Książka do nabycia: KULTURALNY SKLEP.PL w dobrych księgarniach oraz ebook na publio.pl

WYDAWCA
GAZETA wyborcza

PARTNER
GDANSK LECH WALESA AIRPORT
ACG Airport City Gdansk

1 RP

eprasa.pl 7b63c07719

POLECA MICHNIK ADAM

CO SIĘ STAŁO Z POLSKIM KOŚCIOŁEM?

Kościół stał się u nas zagrożeniem dla wolności i demokracji. I dla niepodległości. Niestety

Stefan Niesiołowski*

Właściwie powinno być - co się stało z Kościołem katolickim w Polsce, bo nie ma odrębnego polskiego Kościoła. Ale wiadomo, o co chodzi.

Dla mnie, wychowanego w bardzo tradycyjnej, religijnej rodzinie, Kościół, księża, biskupi, duchowni byli traktowani jako niekwestionowane autorytety, a sam Kościół jako autorytet niepodważalny. Religia i jej wyznawanie były tak oczywiste jak oddychanie.

Miało na to wpływ także to, że moje dzieciństwo przypadło na czasy stalinowskiego terroru. Brat mojej mamy Tadeusz Łabędzki został zamordowany w śledztwie UB na Koszykowej w Warszawie, a tata był wielokrotnie wzywany „na UB" w Łodzi. Miało to związek z przynależnością do AK. Pamiętam, jak siedzieliśmy w oknie, modliliśmy się, żeby tata wrócił do domu, i strasznie się baliśmy, że nie wróci.

W czasach stalinowskiego bezprawia Kościół był jedyną instytucją niezależną, wolną od komunizmu, i dlatego atak na niego był uderzeniem w to, co najdroższe. Wszystkie błędy, jakieś kompromitujące sprawy finansowe, obyczajowe, o których można było przeczytać, prostackie lub głupawe wypowiedzi księży były nieistotne i drugorzędne wobec roli Kościoła i religii jako zapory przed komunizmem, oazy wolności, prawdy i uczciwości.

Na ewentualne zajmowanie się wadami Kościoła zostawialiśmy sobie czas, kiedy nastanie wolna Polska, a nic jej nadejścia nie zapowiadało, raczej przeciwnie. Dlatego a priori nie przyjmowałem do wiadomości takich faktów jak potępienie przez papieży polskich powstań, kolaboracja wielu biskupów z zaborcami, a także czarne rozdziały w historii Kościoła, jak antysemityzm, popieranie antynaukowych bzdur, ciemnoty, fanatyzmu, nietolerancji czy brak wolności i demokracji w samym Kościele.

Na przykład tego, że papież Grzegorz XVI w encyklice „Cum primum" stwierdził, że powstanie listopadowe było buntem przeciwko legalnej władzy, Królestwo Polskie „na zawsze" zostało włączone do Cesarstwa Rosyjskiego, a powstańcy byli wichrzycielami, występującymi przeciw porządkowi publicznemu.

Papież Pius VI potępił powstanie kościuszkowskie jako „bezbożne" i pochwalił targowicę, a wielu biskupów i księży popierało carycę Katarzynę II, kilku dostojników kościelnych zostało powieszonych w Warszawie jako zdrajcy. Prymas Poniatowski, brat króla, popełnił samobójstwo, unikając w ten sposób powieszenia.

Wielki polski patriota i poeta Juliusz Słowacki trafnie przedstawił w „Kordianie" postawę papieża: „Niech się Polaki modlą, czczą cara i wierzą... (...) Na pobitych Polaków pierwszy klątwę rzucę".

Tego wszystkiego po prostu nie przyjmowałem do wiadomości w imię większego dobra, jakim było samo istnienie Kościoła. Tak jak antysemityzmu silnego w przedwojennym Kościele, ciemnoty, fanatyzmu, a w najnowszej historii popierania takich bredni jak zamach smoleński, wrogość wobec szczepień, teorii ewolucji, albo rozprowadzania na terenie obiektów sakralnych takiej literatury jak „Protokoły mędrców Syjonu" czy lub „Hitler założycielem Izraela?" itp.

•

Również postawa prymasa Wyszyńskiego - jego sprzeciwianie się komunizacji Polski - decydowała o bezwarunkowym poparciu Kościoła przez miliony Polaków, dla których był on autorytetem moralnym, politycznym, intelektualnym, ostoją wolności, polskości i prawdy. Konfrontację z Kościołem reżim Gomułki podjął w czasie millennium w 1966 r. i tej konfrontacji Gomułka nie wygrał.

W tej sytuacji trudno było dostrzec konserwatyzm obyczajowy i sprzeciwianie się poważniejszym reformom w Kościele ze strony polskiego episkopatu i samego Wyszyńskiego podczas Soboru Watykańskiego II i właściwie zawsze.

Autorytet Prymasa został zbudowany poprzez jego postawę w latach stalinizmu i słynne „Non possumus" związane m.in. z procesem biskupa Czesława Kaczmarka, a przede wszystkim poprzez uwięzienie, niezłomną postawę w więzieniu, poparcie dla Października '56.

Wielka też była rola Kościoła w pokojowej rewolucji „Solidarności", a następnie w porozumieniach Okrągłego Stołu, które doprowadziły do największego, moim zdaniem, sukcesu politycznego w najnowszych czasach: zamiast nieudanego, krwawego powstania - wewnętrznego porozumienia, odzyskania niepodległości i wolności, odbudowania demokracji w 1989 r.

Był to największy triumf i sukces Kościoła jako instytucji zaufania publicznego, faktycznego lidera obozu demokracji i wolności, który w stopniu decydującym przyczynił się do likwidacji komunizmu w Polsce i Europie, w dodatku bez żadnych ofiar, z wyjątkiem Rumunii.

•

Niestety tej odpowiedzialności Kościół nie potrafił unieść, a najpewniej unieść nie chciał. Stopniowo okazało się, że nie jest instytucją demokratyczną, a przeciwstawianie się dyktaturze nie wynikało z autentycznego przywiązania do wolności, ale z chęci wykorzystania sytuacji i swoich zasług dla zyskania w Polsce demokratycznej korzyści, przywilejów i współudziału w sprawowaniu władzy.

Okazało się, że to, co uważałem naiwnie za nieistotne, marginalne błędy i drobne wady wielkiej i działającej na rzecz dobra instytucji, było jej istotą. Kościół sprzymierzył się z obozem nacjonalistów i populistów, a bardzo wielu duchownych, także wysokich dostojników, biskupów i kardynałów, dla materialnych, osobistych korzyści, a przede wszystkim dla utrzymania politycznych wpływów, popierało nacjonalistów.

W Polsce doszło do dramatycznego podziału, za który w całości odpowiedzialny jest Jarosław Kaczyński i jego obóz polityczny. Episkopat, z niewielkim wyjątkami, nie tylko nie zrobił nic, aby ten w dłuższej perspektywie zabójczy dla Polski podział zlikwidować, ale stał się stroną konfliktu.

Haniebną rolę w polskim Kościele odegrał i nadal odgrywa Tadeusz Rydzyk oraz wielu jego naśladowców i wyznawców. Jego media i całe „dzieło Radia Maryja" - a moim zdaniem ta nazwa ma charakter bluźnierczy i jest naigrywaniem się z Matki Boskiej - prowadzą działalność stricte polityczną, polegająca na popieraniu nacjonalizmu, sprzeciwianiu się demokracji czy członkostwu Polski w Unii. Służą szerzeniu kłamstwa, są miejscem promocji nacjonalistów, zwolenników Rosji, wrogów demokracji, co nie ma nic wspólnego z przykazaniem miłości bliźniego i rozdziałem Kościoła od państwa, zapisanym w konstytucji.

Polski Kościół stał się instytucją chciwą, gromadzącą bogactwa, a symbolami takiego Kościoła są biskupi Jędraszewski, Głódź, Dziwisz, ks. Rydzyk itp. To, co publicznie głosi bardzo wielu księży biorących udział w uroczystościach mających charakter politycznych wieców poparcia dla Radia Maryja, jednocześnie powtarzając, że nie prowadzą żadnej działalności politycznej i wzywając do praktykowania cnoty ubóstwa, to hipokryzja, która podważa wiarygodność głoszenia Ewangelii.

Samo zwycięstwo p. Nawrockiego w wyborach prezydenckich, podważane zresztą w sytuacji, gdy jego obóz polityczny panicznie bał się przeliczenia głosów, jest moim i nie tylko moim zdaniem efektem pełnego poparcia ze strony Kościoła.

Trudno uznać za przejaw patriotyzmu ze strony episkopatu popieranie kandydata o fatalnym życiorysie, obarczonego podejrzanymi znajomościami z ludźmi półświatka, udziałem

FOT. TOMASZ STAŃCZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Stefan Niesiołowski**

• ur. w 1944 r., były poseł, wicemarszałek Sejmu, senator. W czasach PRL działacz opozycji demokratycznej i więzień polityczny.

eprasa.pl 7b63c07719

w kibolskich ustawkach i wyłudzeniem mieszkania od bezdomnego. Taki prezydent kompromituje Polskę i może doprowadzić do poważnego kryzysu.

●

Samo deklarowanie przywiązania do religii katolickiej nie powinno być dla episkopatu rękojmią jej szanowania, a znakomita większość działań podejmowanych w obiektach sakralnych, zwłaszcza we wschodnich rejonach kraju, i wystąpień kapłanów była jawną agitacją polityczną, której skutki mamy okazję oglądać.

Są to tylko najbardziej spektakularne przykłady negatywnej postawy polskiego Kościoła, wpisującego się w najgorszą tradycję egoizmu i pogardy dla własnego państwa, i kontynuującego, niestety, długą i smutną tradycję zaślepienia i egoizmu obecną w historii, nie tylko najnowszej.

Trwa ofensywa radykalnego nacjonalizmu, czegoś w rodzaju brunatnej fali, nawiązującej pod wieloma względami do nacjonalizmu lat 30. XX wieku. W tej walce Kościół katolicki, przynajmniej w Polsce, a także w innych krajach, wspiera nacjonalistów, jest przeciwko wolności, demokracji i tolerancji.

●

W Polsce trafną analizę terytorialnego podziału na zwolenników wolności i demokracji oraz nacjonalistów przeprowadził w obszernym wywiadzie politolog i socjolog Tomasz Grabowski.

Zapytany, czy uważa dzisiejszy polski Kościół za siłę wsteczną, ocenia: „Kościół petryfikuje kolektywizm,

Gdy w Polsce przyszła wolność, okazało się, że to, co uważałem naiwnie za marginalne błędy i drobne wady Kościoła, wielkiej i działającej na rzecz dobra instytucji, było jego istotą

powiela ten model i przenosi na kolejne pokolenia. Jak młody człowiek ma się usamodzielnić światopoglądowo, skoro ksiądz wie lepiej, bo wie więcej?". Parafianin „ma słuchać, a nie kwestionować".

„Powyborcza mapa (...) ma jeszcze szczegóły: od Konina PiS się zaczyna, ale jest duża liberalna wyspa - Warszawa i kilka mniejszych, jak Kraków" - mówi dziennikarz.

Grabowski: „Ponieważ kultura indywidualistyczna rozwija się w miastach (...). Kiedy jednak wyjedziemy za granicę Warszawy czy Krakowa - jesteśmy w królestwie PiS. (...) Gdyby Petersburg był Rosją, a Budapeszt - Węgrami, oba kraje byłyby zapewne w pełni demokratyczne. (...)

My na szczęście nie musimy mówić: »gdyby Warszawa była Polską...«, bo mamy te dziesięć milionów mieszkańców ziem zachodnich i północnych, którym zawdzięczamy to, że już nie rządzi nami PiS" („Czym się różnią Polacy", „Wyborcza", „Ale Historia",15 listopada 2025, wywiad Piotra Głuchowskiego).

Kościół w Polsce jest zagrożeniem dla wolności, demokracji, a w konsekwencji dla niepodległości, stanowiąc wyzwanie dla patriotów, ludzi pragnących szczęścia swojego kraju i narodu. Nic, niestety, nie wskazuje, aby ten stan miał ulec zmianie w dającej się przewidzieć przyszłości.

Księża wolni od nacjonalistycznej trucizny, rozumni, gotowi praktykować miłość bliźniego są nieliczni, zepchnięci na margines, co najwyżej tolerowani; o Kościele decydują fanatyczni, chciwi nacjonaliści.

W tej sytuacji ekonomiczne uzależnienie kleru od nacjonalistów, czego patologicznym przykładem jest Tadeusz Rydzyk, tolerowany przez papieży (jest to jeden z powodów, dla których nie darzę atencją św. Jana Pawła II), jest zrozumiałe i zapewnia im życie w luksusie, niezależnie od tego, ile dzieci chodzi na religię i jak liczne są powołania.

Sytuacja powoli będzie się zmieniać, w miarę jak poparcie społeczne dla Kościoła będzie słabnąć, a oferta finansowa nacjonalistów będzie skromniejsza. Ale jest to proces długi i w dającej się przewidzieć przyszłości co najwyżej zmniejszy się wykaz luksusów, w których żyją tacy „pasterze" jak Głódź, Mering, Rydzyk itd.

Trudno jednak spodziewać się znaczącej poprawy. Ten system sam się powiela i odtwarza, jak infekcja pasożytów, a Kościół zapisuje kolejny czarny rozdział w historii Polski. ●

◀ **Sanktuarium Matki Bożej Łaskawej w Krzeszowie. Pielgrzymka w intencji wybranego na prezydenta Karola Nawrockiego (15.06.2025)**
FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Ks. Alfred Marek Wierzbicki*

Taniec

Pamięci Ks. Profesora Tadeusza Stycznia

Urzeczony i bezradny prelegent mówi
że myślenie tego filozofa jest jak taniec
prowadzi uwodzi
wiedzie wywodzi

Ależ tak
kiedyś porwał do tańca Irinę Iłowajską
gdy dla kogoś innego na rynku w Lublinie
zagrała ludowa kapela
mieli już siedemdziesiątkę na karku
ale obracali się jak polski chłopak i rosyjska
dziewczyna
u niego było więcej liryzmu u niej przytupu
we wstęgach przebaczenia i nadziei
powiewały wspólne dzieje

Marzyciel Tadeusz oczekiwał
na przyjazd Sołżenicyna
tak umówili się kiedyś w Rzymie u papieża
posłał mu list gdy był już w Rosji
odpowiedź była twarda
nie jesteśmy już sąsiadami
dzielą nas zbuntowane kraje

Tylko ona mogła go przekonać
łączyła go ze światem
gdy zamieszkiwał na lesistym stoku w stanie
Vermont
przychodziła na pocztę w Cavendish
którą kierowała moja kuzynka Sophie Snarski
kiedyś w dyskrecji z innego zbocza
pokazała mi dachy jego domostwa

Łączę taniec na ulicy
i uśmiech Rosjanki zjawiającej się na poczcie
bo już chyba tylko ja to pamiętam
ważni i nieważni wszyscy
szukali prawdy
pragnęli dobra

Taniec życia i śmierci
taniec śmierci i życia
„prawda prawda
dobra dobra"

Dziś mój mistrz
miałby 94. urodziny
kto to zaplanował
że obchodził je tego samego dnia co Stalin

21 grudnia zima obejmuje władztwo
bóstwa kwiatów i urodzaju szukają schronów
w życiu gorzej niż w mitologii

Jego kołyska w Wołowicach
stała pod choinką
którą sto lat wcześniej
Austriacy przynieśli nad Wisłę
przy niej Tadzio raczkował
zapalał świece śpiewał kolędy
dorastał jak Jezus

W 1939 roku jego ojciec powiedział
nie ubieramy choinki
jest wojna giną dorośli i dzieci

Wuj był profesorem niemieckiego
w gimnazjum w Radomsku
w domu miał dzieła Schillera
nauczył siostrzeńca na pamięć
„Das Lied von der Glocke"
recytował ją jeszcze w późnych latach
„zum Werk zum Werk"
powtarzał pobudkę dla ludwisarzy
gdy trzeba było zrobić coś wspólnym wysiłkiem
nie zapytałem nigdy
czy był nauczycielem braci Różewiczów

„Prawda prawda
dobra dobra"
wiersz pęcznieje
i rozpada się

A chciałbym by był cienki jak opłatek

Prosty jak kołysanka
gdy Bóg się rodzi
jako ukraińskie dziecko
jako rosyjskie dziecko
jako polskie dziecko
jako żydowskie dziecko
jako palestyńskie dziecko
jako niemieckie dziecko
jako dziecko mamy i taty
dla niego zabawy i słodycze
zmaganie się z prawdą i dobrem

Radość tańca tu i wszędzie
Urbi et Orbi

2025

***ks. Alfred Marek Wierzbicki**
ur. w 1957 r., teolog i etyk, profesor nauk humanistycznych. Pracuje na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.
FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 7b63c07719

ŻYDOKOMUNA TO FANTAZMAT ZACIEMNIA RZECZYWISTOŚĆ

Usłyszałam: „Zdaje sobie pani sprawę, że to może być ostatnia książka, jaką pani napisze?”. Zabrzmiało jak groźba.
A ja nie widzę nic kontrowersyjnego w próbie zrozumienia dramatycznych losów pary żydowsko-polskich komunistów.

Z **KATARZYNĄ KWIATKOWSKĄ-MOSKALEWICZ** ROZMAWIA **MAREK BEYLIN**

• **Helena Wolińska (1919-2008), właściwie Fajga Danielak. Po wojnie funkcjonariuszka Milicji Obywatelskiej, a potem, do 1953 roku, śledcza Naczelnej Prokuratury Wojskowej**

FOT. REPRODUKCJA PAP/ TOMASZ GZELL

eprasa.pl 7b63c07719

MAREK BEYLIN: Twoja książka opowiada nie tylko o dwojgu polskich komunistach pochodzenia żydowskiego, Helenie Wolińskiej, później Brus, stalinowskiej prokuratorce, i Włodzimierzu Brusie, znanym ekonomiście. To jest też opowieść o wielu dekadach polskiej historii, o międzywojniu z jego nędzą i bogactwem, antysemityzmem i różnorodnością. O losach wojennych w Rosji i w Polsce. O stalinizmie i odwilży, o nagonce antysemickiej w latach 1967-68. O tych rozrachunkach z komunizmem już w III RP, które podgrzewają mit żydokomuny. Ale zacznijmy od tego, dlaczego wybrałaś takich bohaterów.

KATARZYNA KWIATKOWSKA-MOSKALEWICZ: W 2016 roku przypadkiem ktoś mnie o nich zapytał, a potem zobaczyłam ich grób na cmentarzu w Oksfordzie. Wcześniej nie zajmowałam się polskimi tematami, pisałam o Ukrainie i krajach byłego Związku Radzieckiego. Ale gdy odkryłam historie Brusów, zrozumiałam, że Polska po raz pierwszy układa mi się w zdania, na ich przykładzie różne mity poddają się dekonstrukcji, w tym „figura” Wolińskiej, którą skonstruowano w przestrzeni publicznej w końcu lat dziewięćdziesiątych.

Zacznijmy więc od początku. Od ich dzieciństwa i dorastania. Skąd są?

– Byli Warszawiakami z żydowskiej klasy średniej, która przynajmniej częściowo się asymilowała. W II RP ona nazywała się Fajga Danielak (mówiła o sobie Felicja), on Beniamin Zylberberg. Urodzili się tuż po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku, byli więc rówieśnikami II RP – kształtowały ich polskie instytucje, zwłaszcza szkoły. W efekcie z hybrydyczną tożsamością żydowsko-polską wybrali polskość jako projekt życiowy. Ich zbliżenie do komunizmu, już w gimnazjum, było w dużej mierze konsekwencją tegoż wyboru. Najpierw bowiem uwierzyli w program sanacji, który obiecywał faktyczne równouprawnienie Polakom żydowskiego pochodzenia. Jednak w połowie lat trzydziestych antysemityzm, zarówno ten systemowy, jak i oddolny zamknął przed młodymi Żydami większość drzwi. Komunizm proponował równość w ramach internacjonalizmu. Stąd wybór ruchu radykalnego i nielegalnego.

Nazwiska, pod którymi byli znani, przybrali znacznie później, dla wygody jednak nazywajmy ich tak od razu. Jak piszesz, wybrali braterstwo przeciw nacjonalizmowi, co charakteryzowało i II RP, zwłaszcza w latach trzydziestych, i złudzenia w sprawie komunizmu. Ważne też były dla nich niesprawiedliwości społeczne.

– Byli dziećmi Wielkiego Kryzysu przełomu lat dwudziestych i trzydziestych, wielkiej biedy i traum z nimi związanych – zubożenia ich własnych rodzin, ale i tragedii, które działy się wokół. Już w latach trzydziestych Brus szukał sposobów przeciwdziałania takim cyklicznym wstrząsom rujnującym społeczeństwa, zwłaszcza tak biedne jak polskie. Szukał tych recept w socjalizmie, w pismach Marksa, marksistowskich ekonomistów.

I w gospodarce Związku Radzieckiego z jej centralnym planowaniem.

– Tak, ta komunistyczna młodzież niespecjalnie zdawała sobie sprawę z tego, co naprawdę dzieje się w ZSRR. Romantyzowali rewolucję październikową, a wraz z nią – państwo i ustrój. Związek Radziecki jawił im się jako kraj bez antysemityzmu i bezrobocia. Zarazem nie byli całkiem dogmatyczni, potrafili też drwić z różnych praktyk komunizmu. Zwłaszcza Brus, co wynika też z jego dzienników, wątpił w dogmaty, szukał dziury w całym. A dodatkowym szokiem były dla tej młodzieży procesy moskiewskie i stalinowska czystka. No i rozwiązanie przez Stalina Komunistycznej Partii Polski jako agentury. Wtedy wiele osób odeszło z ruchu. Problem polegał na tym, że nie bardzo mieli dokąd. Polska po śmierci Piłsudskiego skręciła jeszcze bardziej na prawo, narastał również urzędowy antysemityzm, czego Wolińska i Brus doświadczyli na własnej skórze, zwłaszcza podczas studiów. On z powodu numerus clausus nie dostał się do Szkoły Głównej Handlowej. Ona na prawie na Uniwersytecie Warszawskim musiała się mierzyć z tak zwanym gettem ławkowym. Ostatnie lata II RP zapisały się w zbiorowej pamięci czarnymi barwami. Wolińska, jak wielu jej rówieśników, powtarzała – że chcieli zupełnie innej Polski. **Marzyła im się Polska „szklanych domów”, a wyszedł według nich ponury barak. W latach trzydziestych do tego rozczarowania dochodzi jeszcze silny zwrot autorytarny państwa sanacyjnego po Wielkim Kryzysie i wzroście konfliktów społecznych.**

– Tak, wszystko to przytrzymało ich przy komunizmie. Co wymagało też odwagi, bo władze sanacyjne nie miały litości dla komunistów – nawet młodocianych. Czasem wystarczył czerwony sztandar i udział w pierwszomajowej demonstracji, nielegalna literatura, by dostać wyrok więzienia. Nagminne było stosowanie przemocy. Zachował się przemycony z Pawiaka list 25-letniego komunisty, którego notorycznie bito i poddano torturze waterboardingu. Był nim Stanisław Radkiewicz, późniejszy szef bezpieki.

Wybucha wojna, Hitler, a potem Stalin najeżdżają Polskę. Twoi bohaterowie uciekają do Lwowa, do strefy radzieckiej, są już parą.

– Wybuch wojny niemiecko-radzieckiej rozdziela ich. Gubią się w oblężonym mieście. On zdołał uciec w głąb Związku Radzieckiego, do Saratowa, gdzie dostaje pracę w jednym z przedsiębiorstw, potem kształci się na studiach doktoranckich na ewakuowanym Uniwersytecie Leningradzkim. Prowadzi dziennik, z którego wynika, jak bardzo rozczarowała go radziecka rzeczywistość: skrajnie trudne warunki bytowe, marnotrawstwo, które obserwuje w fabryce, ludzką obojętność. Jednocześnie wciąż pokłada nadzieje w komunizmie i Stalinie, zwłaszcza w sprawie losów wojny. Dochodzi do wniosku, że w przyszłej Polsce centralne planowanie należy łączyć z elementami rynku.

W 1943 roku chce wstąpić do formującej się właśnie dywizji generała Berlinga, ale słyszy, że polskie wojsko nie może przyjmować tylu Żydów. Ta odmowa omal go nie zabija, dostaje malarii: wymarzone ludowe wojsko też okazało się skażone antysemityzmem. Działa więc w Związku Patriotów Polskich. Wreszcie po wielu perypetiach dostaje mundur i w 1944 roku przybywa do Lublina. Tyle że w roli oficera politycznego.

Jej losy były bardziej efektowne...

– Ona, w piątym miesiącu ciąży, utknęła we Lwowie, gdzie zaraz po przyjściu Niemców urządzono krwawe pogromy. Zimą 1941 roku udało jej się wrócić do Warszawy do rodziców, czyli do getta. Tam zaczyna działać w Polskiej Partii Robotniczej, która powstała na początku 1942 roku. W trakcie wielkiej akcji likwidacyjnej ucieka na tak zwaną aryjską stronę do komunistycznej partyzantki. Zostaje członkinią Gwardii Ludowej, dostaje lewe papiery – tak z Felicji Danielak staje się Heleną „Leną” Wolińską. Awansuje – prowadzi kancelarię Sztabu Głównego GL. Jej partnerem jest szef Sztabu, starszy o ćwierć wieku Franciszek Jóźwiak. Dogmatyczny komunista, który nie chciał, by żołnierze Gwardii nosili na czapach orzełki, bo widział w tym przejaw nacjonalizmu (został przegłosowany). Jednocześnie był zaangażowany w pomoc Żydom w getcie, co doceniał nawet – niechętny komunistom – Marek Edelman.

Kończy się wojna. Oboje są w Polsce, ale rozdzieleni, a zwiążą się na nowo dopiero później. On zostaje ekonomistą. Na początku niestalinowskim. Marzy mu się polska droga: system łączący centralne planowanie z elementami rynkowymi i ubogą, ale jakąś formą demokratyzacji. Natomiast ona wchodzi w dowódcze struktury Milicji Obywatelskiej i, jak piszesz, ma opinię osoby apodyktycznej i bezwzględnej.

– I krzykliwej. Takiej, która daje się ponosić emocjom. Oni „wracają” z wojny zupełnie różni. On pozostał nieco naiwnym, pełnym ideałów chłopcem, a ona doświadczyła Zagłady, co wpłynęło na jej charakter i zachowanie. Była oddana partii – bo ta przywróciła jej poczucie własnej sprawczości: dając jej możliwość walki z okupantem, a potem udział w budowaniu nowej Polski. I tego nowego państwa Helena Wolińska była gotowa bronić bezwzględnie. A wrogów nie brakowało. W Polsce trwał rodzaj wojny domowej. W tym oddaniu Wolińskiej sprawie ważne, powtórzmy, były dwie motywacje. Wdzięczność za – jak to określała – umożliwienie jej wyboru własnej śmierci: wolała bowiem zginąć w walce niż w Zagładzie. A potem za bezprecedensową możliwość współtworzenia nowej Polski. Stała się nową elitą, choć w II RP była systemowo spychana na margines.

Helena Wolińska wciąż jest na froncie. Kończy studia i zaczyna pracę w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej. Jak opisujesz, jest bezwzględna, ma krew na rękach.

– Opowiem o przypadkach, które mnie szczególnie uderzyły.

Pewien mężczyzna pod Wrocławiem pijany podpalił siano należące do państwowego przedsiębiorstwa. Groziło mu pięć lat więzienia za złośliwe chuligaństwo. Ale gdy okazało się, że jest Ślązakiem i z musu należał do hitlerowskiego związku zawodowego, sprawę przejęła Wolińska i wraz z innym prokuratorem oskarżyli tego nieszczęśnika o udział w niemieckim spisku przeciw Polsce. Zażądali kary śmierci. Sąd się przychylił, wyrok wykonano. To była pierwsza sprawa sądowa Heleny Wolińskiej.

Nadzorowała też śledztwo przeciwko starszemu małżeństwu – zupełnie dętą. On był socjalistą, walczył z caratem jeszcze w 1905 roku. W czasie okupacji ratował Żydów. Ona była Żydówką. W 1949 roku chcieli wyjechać do Izraela – i wtedy zarzucono mu szpiegostwo (krótko po wojnie pracował w Ministerstwie Żeglugi i Handlu Zagranicznego). Ją posadzono, by go „zmiękczyć”. Sprawa była szyta tak grubymi nićmi, że nawet stalinowski sąd wojskowy wytykał to śledczym i prokuraturze. Mimo to skazano ich na siedem i sześć lat więzienia.

To nie była zresztą jedyna sprawa Wolińskiej przeciwko osobom chcącym wyjechać do Izraela. Nie wiem, w jakim stopniu była świadoma, że antysemicka polityka, wywołana przez Stalina najpierw w ZSRR, a potem w państwach satelickich, może też ją ugodzić. Może jednak sądziła, że jej pozycja komunistycznej weteranki i związek z Jóźwiakiem ją chronią? A może mimo świadomości osobistego zagrożenia wciąż wybierała lojalność wobec partii? A ściślej – wobec ówczesnego kierownictwa PZPR. Przyłożyła rękę do aresztowania Zenona Kliszki, polityka bliskiego Władysławowi Gomułce zwalczanego przez Bieruta. Później Kliszko mawiał o niej: „ta kurwa”. Gomułka, od 1956 roku I sekretarz partii, też jej nie cierpiał, a niechęć ta sięgała jeszcze czasów okupacyjnej konspiracji.

Była więc Wolińska sprawczym elementem polityki terroru.

– Z tą sprawczością bywało różnie – Wolińska próbowała walczyć w Najwyższym Sądzie Wojskowym o wyrok więzienia dla jednego z uczestników pogromu kieleckiego – notabene byłego dowódcy plutonu MO, ale niewiele udało jej się zdziałać. Sąd pierwszej instancji w Kielcach uparcie uniewinniał oskarżonego mimo jednoznacznych zeznań ofiar. Ostatecznie byłego milicjanta skazano na półtora roku więzienia, z czego odsiedział zaledwie połowę.

I mamy sprawę Fieldorfa, w której akurat ona odgrywa rolę nieistotną. Przypomnijmy, co się zdarzyło.

– Generał August Emil Fieldorf „Nil” był podczas okupacji szefem Kedywu, czyli Kierownictwa Dywersji Komendy Głównej Armii Krajowej. Tworzył też organizację Nie mającą działać, jeśli Polska znajdzie się pod okupacją radziecką. W 1945 roku został przypadkowo aresztowany pod przybranym nazwiskiem i wywieziony do łagru na Uralu. Wraca stamtąd w roku 1947 i,

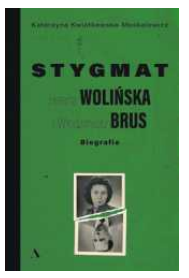

Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz

Stygmat. Helena Wolińska i Włodzimierz Brus. Biografia

Wydawnictwo Agora

Premiera 25 lutego

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dr Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz

• historyczka i reporterka specjalizująca się w problematyce Europy Wschodniej. Pracuje w Instytucie Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza oraz Instytucie Studiów Politycznych PAN. Stypendystka NAWA Bekker w Katedrze Historii Europy Wschodniej na Uniwersytecie w Heidelbergu (2023-2024) oraz Vucinich Fellowship na Uniwersytecie Stanforda (2026). Laureatka m.in. grantu Narodowego Centrum Nauki oraz nagrody „Pióro Nadziei” Amnesty International. Autorka książki „Zabić smoka. Ukraińskie rewolucje” (Wyd. Czarne 2016).

eprasa.pl 7b63c07719

co wynika także z materiałów operacyjnych MBP, nie zamierza kontynuować konspiracyjnej walki, a chce wieść spokojne życie z żoną i córkami. W 1950 roku zostaje aresztowany przez funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Panował wtedy pozór praworządności, też zresztą nagminnie łamany: nie można było trzymać człowieka w areszcie dłużej niż 48 godzin bez glejtu z prokuratury, tak zwanego tymczasu. I tu wkracza Wolińska: MBP wystąpiło o „tymczas", ale spóźniony o mniej więcej dziesięć dni, a ona to podpisała. Potem z automatu dwa razy przedłużała areszt Fieldorfowi. Jednak latem 1951 śledztwo przejmuje Prokuratura Generalna ze zmienioną kwalifikacją prawną. Od tego czasu Wolińska nie ma już nic wspólnego ze sprawą.

To sąd cywilny, a nie wojskowy skazał Fieldorfa na śmierć. Wyrok wydaje sędzia Maria Gurowska, a podtrzymuje go Sąd Najwyższy, w którego skład wchodzi między innymi znany potem prawnik Igor Andrejew. Wykonano go w 1953 roku.

W III RP ta sprawa stanie się głośna, będzie właściwie „sprawą Wolińskiej". Ale zostawmy to na razie. Jak toczą się ich dalsze losy?
– Wolińska toczy spory z MBP, doskwiera jej podrzędna rola prokuratury. Ma temperament, wchodzi w konflikt z Józefem Różańskim, osławionym dyrektorem Departamentu Śledczego MBP. Przegrywa – w 1953 roku zostaje usunięta z prokuratury, ale w białych rękawiczkach. Rozpoczyna studia doktoranckie w elitarnym Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych (później Instytut Nauk Społecznych) mającym tworzyć intelektualne kadry nowego systemu. Tyle że w rzeczywistości z IKKN wyszła szpica późniejszych rewizjonistów, między innymi Leszek Kołakowski czy Bronisław Baczko, no i Brus. Właśnie wtedy Wolińska i Brus spotykają się ponownie i odżywa ich dawna historia miłosna. Tym bardziej dramatyczna, że gdy rozstali się we Lwowie w 1941 roku, ona była w zaawansowanej ciąży. Ich córka umarła zaraz po porodzie. Na nowo tworzą związek, ona porzuciła Jóźwiaka, on żonę, z którą miał dwie córki.

Przychodzi odwilż...
– Brus porzuca dogmaty stalinowskiej ekonomii, które głosił z coraz mniejszym przekonaniem. Wraca do swych koncepcji łączenia centralnego planowania z elementami rynku i z autonomią przedsiębiorstw. Za wzór stawia sobie Jugosławię wyklętego przez Stalina Tity. Opowiada się za powołaniem oddolnych rad robotniczych i większą samodzielnością przedsiębiorstw, co zresztą było głównym zawołaniem reformatorskich środowisk Października '56. Jest bardzo popularnym profesorem ekonomii na Uniwersytecie Warszawskim. Jest też niepokorny, broni choćby Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego oskarżonych i skazanych za napisanie i dystrybucję buntowniczego „Listu otwartego do partii".

Wolińska jest bardziej na uboczu. W 1956 roku powstaje tak zwana Komisja Mazura mająca badać przypadki naruszenia praworządności w wymiarze sprawiedliwości. Raport wymienia Wolińską, która pracuje wówczas w Prokuraturze Generalnej i ma zostać karnie zdegradowana na niższe stanowisko, na co się nie godzi – woli odejść. Broni doktorat na UW – „Przestępstwo przerywania ciąży w polskim prawie karnym". Od tego czasu prawem zajmuje się już tylko teoretycznie. Trwa najspokojniejszy okres w życiu Brusów, aż do 1967 roku, gdy w Polsce rozpętał się partyjny antysemityzm.

Co wiązało się z „wojną sześciodniową" w czerwcu 1967 roku, w której Izrael niespodzianie pokonał państwa arabskie. Państwo polskie wraz z całym blokiem sowieckim stało po stronie arabskiej. Wielu Polaków, zwłaszcza w elitach intelektualnych i artystycznych, sympatyzowało z Izraelem. Sygnał do nagonki dał Gomułka, I sekretarz PZPR, w wystąpieniu 19 czerwca. Mówił o zdradzieckiej „V kolumnie", czyli „syjonistycznych Żydach", i o tym, że Polska ich nie potrzebuje.
– Nagonka była tyleż odgórna co oddolna i trudno właściwie określić, co było pierwsze: jajko czy kura. Toteż w wielu instytucjach i w komórkach partyjnych zaczęto „demaskować syjonistów". Na zebraniu partyjnym w Wyższej Szkole Nauk Społecznych przy KC PZPR, gdzie Wolińska, która pracowała tam jako doktor prawa, staje w obronie oskarżonych o syjonizm koleżanek z pracy. I publicznie atakuje Gomułkę, że ten opowiada szkodliwe głupoty. Potraktowała go właściwie jako niezbyt rozgarniętego towarzysza. I jasno dała znać, że z jej okupacyjną przeszłością czuła się równa I sekretarzowi. Prawdopodobnie, gdyby nie to jej wystąpienie, ta faza nagonki by ją ominęła. Kombatancka przeszłość wciąż by ją chroniła. Ale po tym, co powiedziała, usunięto ją z partii w styczniu 1968 roku. W efekcie również Brus rzucił legitymacją partyjną. A po Marcu '68, fali buntów studenckich na uczelniach i w środowiskach intelektualnych zostaje usunięty z UW jako jeden z inspiratorów tych wydarzeń.

Wraz z – dodajmy – między innymi Kołakowskim, Baczką czy Zygmuntem Baumanem. To jest też czas wypychania osób pochodzenia żydowskiego z Polski. Ale Wolińska i Brus nie chcą wyjeżdżać.
– Uznali, że to jest ich kraj i nikt ich z niego nie wyrzuci. On dostaje posadę w marginalnym Instytucie Gospodarki Mieszkaniowej, w którym zresztą rzetelnie pracował nad tym, jak poprawić sytuację mieszkaniową. Ma zakaz publikacji. Ona jest bez pracy. Są też permanentnie inwigilowani – założono im podsłuchy, które nie kończą się wraz z odejściem Gomułki. Edward Gierek, jego następca na stanowisku I sekretarza partii, też nie chciał Brusa w Polsce. Niepokoiły go jego kontakty z reformatorskimi środowiskami komunistycznymi we Włoszech i krytyka wprowadzanych właśnie reform.

Brusowie mieli też chorego syna, skłoniono ich więc do wyjazdu w 1972 roku. Myśleli, jak wiele osób z tych inteligenckich środowisk, że wyjeżdżają na trochę.

Ale wyjechali na całe życie. Czują się źle, jak na wygnaniu.
– A niełatwo jest budować nowe życie po pięćdziesiątce. Zwłaszcza jej – Wolińska na emigracji zawodowo staje się „żoną przy mężu". Jest też wściekła na PRL i partię za to, jak ją potraktowano – i że zrobili to towarzysze, u boku których walczyła z okupantem. Osiadają w Oxfordzie. Brus jeździ po świecie, cieszy się tam renomą ekonomisty chcącego łączyć rynek z socjalizmem. W Chinach uważa się go za jednego z inspiratorów transformacji w czasach Deng Xiaopinga. Od lat siedemdziesiątych wspomaga też opozycję demokratyczną – przede wszystkim Komitet Obrony Robotników. Cieszy się z „Solidarności", choć razi go obecność nacjonalizmu oraz katolicki wymiar ruchu, pozostał bowiem lewicowcem laickim. Dopiero po stanie wojennym i klęsce gorbaczowowskiej pierestrojki konstatuje definitywny krach socjalizmu i związanej z nim gospodarki.

• **Włodzimierz Brus (1921-2007), właściwie Beniamin Zylbelberg, ekonomista, wykładał m.in. na Szkol Głównej Planowania i Statystyki (dziś SGH), Uniwersytecie Warszawskim i Oksfordzie. Zdjęcie z 1947 roku**

FOT. ZE ZBIORÓW ARCHIWUM AKT NOWYCH, REPRODUKCJA WALDEMAR GORLEWSK

A jak ocenia polską transformację po 1989 roku?
– Cieszy się z demokracji, ale krytykuje radykalizm planu Balcerowicza. Uważa, że nie należy gwałtownie prywatyzować i restrukturyzować zakładów pracy, zwłaszcza fabryk, bo koszty społeczne są zbyt duże. Ubolewa też nad tym, że w tych przemianach nie zostawiono miejsca na robotniczą samorządność. Wciąż szuka „trzeciej drogi".

Wydawałoby się, że w miarę spokojnie doczekają emerytury. Aż tu nagle po 40 latach wybucha na nowo sprawa Fieldorfa.
– Bardzo ciekawie się ona toczy. W 1992 roku Główna Komisja Badania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu, poprzedniczka IPN, wszczęła śledztwo w sprawie mordu sądowego na Fieldorfie. Jeszcze w 1989 roku informacje o tym stają się publiczne, szok wywołuje rola Andrejewa, znanej postaci, który, przypomnijmy, zatwierdził razem z dwoma sędziami wyrok śmierci w drugiej instancji. Żyje też jeszcze sędzia Górowska [w 1955 roku Maria Gurowska zmodyfikowała nazwisko na Górowska] oraz śledczy Kazimierz Górski, który z ramienia MBP prowadził śledztwo, sporządził zarys aktu oskarżenia podpisany przez prokuratora, oskarżającego Fieldorfa na sali rozpraw. Górski nie został objęty śledztwem.

Śledztwo się ślimaczy, co wywołuje frustrację rodziny Fieldorfa. Przyspiesza dopiero w 1996 roku, już po śmierci Andrejewa. Oskarżono Marię Górowską, tyle że zmarła na raka zaraz po pierwszej rozprawie. Rok później Prokuratura Wojskowa wszczyna śledztwo przeciwko Wolińskiej, która dotychczas wymieniana była epizodycznie – jako ta, która wydała zgodę na tymczasowe aresztowanie „Nila".

Czyli z żyjących osób wymienionych w dokumentach zostali Górski i Wolińska. Dlaczego padło na Wolińską?
– Są różne wyjaśnienia. Istniała silna presja medialna i rodzinna, by tę zbrodnię osądzić. Jak wynika z dokumentów, według urzędników prowadzących tę sprawę nie było dowodów na to, że Górski naruszał procedury w śledztwie, choć to on preparował akt oskarżenia. Natomiast ona, podpisując ów „tymczas" dopiero po 9-10 dniach aresztu Fieldorfa, złamała procedury. Tyle że, jak wynika z dokumentacji, prokuratura była świadoma proceduralnych trudności związanych ze ściągnięciem Wolińskiej z Wielkiej Brytanii na tej podstawie. Mimo to zdecydowano się na próbę ekstradycji. Historia Wolińskiej, żydowskiej komunistki, żony oksfordzkiego

Oni „wracają" z wojny zupełnie różni. On pozostał nieco naiwnym, pełnym ideałów chłopcem, ona doświadczyła Zagłady, co wpłynęło na jej charakter i zachowanie. Była oddana partii – bo ta przywróciła jej poczucie sprawczość: dając jej możliwość walki z okupantem, a potem udział w budowaniu nowej Polski

eprasa.pl 7b63c07719

profesora, okazała się medialna – i w Polsce, i w Wielkiej Brytanii.

Została podejrzana o popełnienie przestępstwa z jeszcze przedwojennego paragrafu o nielegalnym przetrzymywaniu ludzi, chodziło w nim przede wszystkim o zwalczanie handlu żywym towarem. Powiązano w dodatku ten zarzut ze zbrodnią stalinowską, która nie ulega przedawnieniu.

I na podstawie tej dziwacznej hybrydy sformułowano wniosek o ekstradycję Wolińskiej. Strona brytyjska zmiażdżyła prawnie ten wniosek.

Rozpoczęło się wtedy też inne życie tej sprawy, już nie proceduralne, lecz medialne i polityczne.
– Wyglądało to paradoksalnie. Strona polska przygotowała prawnego gniota, a towarzyszyła temu histeryczna kampania medialna, z udziałem oficjalnych czynników, o sprawiedliwości, potrzebie kary za zbrodnię – których symbolem stała się Wolińska. W kolejnych wersjach wniosku zarzuty poszerzano – sprawa ciągnęła się przez dekadę. Wyszedł z tego rodzaj traktatu historycznego. Kompletnie niezrozumiały dla strony brytyjskiej, która miała decydować o ekstradycji.

Jak wtedy o tym pisałem, chciano osądzić nie tyle Wolińską, ile cały stalinizm w postaci Wolińskiej.
– Tak, stała się postacią symboliczną i symboliczny miał być jej proces, pierwszy w sprawie sądowych zbrodni komunistycznych.

Nie doszło do ekstradycji, ale ta sprawa odgrzała mit żydokomuny. Czym według ciebie jest żydokomuna?
– To fantazmat, co sprawa Wolińskiej unaoczniła. Wolińska stała się taką jednoosobową żydokomuną. Oczywiście, w aparacie partyjnym byli ludzie pochodzenia żydowskiego, także na wysokich szczeblach. Natomiast figura żydokomuny ma oddalić komunizm od polskiego narodu. Ma pokazać, że nowy ustrój został narzucony przez moskiewskie czołgi oraz przez „wewnętrznych obcych”: że etniczni Polacy nie mieli w tym udziału, a jeśli nawet to w minimalnym stopniu. To oczywisty fałsz, krzywdzący i stygmatyzujący wskazaną grupę: komunistów żydowskiego pochodzenia.

Mit żydokomuny zaciemnia rzeczywistość. Choć powojenny system nie miałby szans na realizację bez radzieckiego wsparcia, w tym oczywiście siłowego, to komuniści nie działali w próżni społecznej. To, co nazywamy PRL-em, wytworzyło się również w wyniku formalnych i nieformalnych negocjacji z różnymi grupami społecznymi i instytucjonalnymi, także nieprzychylnymi czy wręcz wrogimi komunizmowi – choćby z Kościołem katolickim. Taki rodzaj nieformalnych uzgodnień objął również kwestię antysemityzmu, co rok 1968 dobitnie ujawnił. Komuniści stawali się coraz bardziej „narodowi”, a internacjonalistyczne hasła – fasadowe. Wszystko to przydawało stabilności czy też „swojskości” systemowi, który wbrew legendom, w tym mitowi żydokomuny, nie jawił się większości społeczeństwa jako „obcy”, mimo swojej oczywistej przemocowości, licznych niesprawiedliwości, chronicznych zaniedbań, autorytarnych praktyk i politycznej, i gospodarczej zależności od Moskwy.

W efekcie publikacje o Wolińskiej nasiliły prawicową retorykę, która fałszuje rzeczywistość – nie tylko historyczną.

Nie obawiasz się, że takim opisem rzeczywistości w „Stygmacie” wzbudzisz wiele niechęci?
– Ktoś, z kim rozmawiałam o tej książce, powiedział mi: czy zdaje sobie pani sprawę, że to może być ostatnia książka, jaką pani napisze? Zabrzmiało to prawie jak groźba – na szczęście absurdalna. Nie widzę nic kontrowersyjnego w próbie zrozumienia dramatycznych losów pary żydowsko-polskich komunistów – zwłaszcza że na ich tle można opowiedzieć o stuletniej historii Polski. ●

Antypolityka historyczna

Co to jest humanistyka? Krótki kurs dla niehumanistów

Zmiany dotyczące nowej punktacji czasopism proponowane przez Ministerstwo Nauki uważam za słuszne.

Janowski

Artykuł Alicji Gardulskiej o sporach wokół proponowanej przez Ministerstwo Nauki punktacji czasopism naukowych dotyczy w zasadzie dwóch spraw. Po pierwsze, podwyższenia liczby punktów dla humanistycznych czasopism krajowych, aby zmniejszyć presję na publikowanie tekstów humanistycznych po angielsku. Po drugie, nadania samym środowiskom naukowym, na przykład wybieralnym komitetom nauk przy Polskiej Akademii Nauk, większego wpływu na politykę naukową. Artykuł podkreśla głosy krytyczne wobec tych projektów. Cytuje wypowiedź jednego z profesorów nauk ścisłych przeciwnego uwzględnianiu stanowiska samych badaczy: „Wypaleni, słabo opłacani naukowcy demokratycznie wybierają często słabych dyrektorów”, którzy chcą tylko zachowania status quo.

Wypalony naukowiec i słaby dyrektor dążący do zachowania status quo to przecież wypisz wymaluj ja sam, jakbym stał przed lustrem! – pomyślałem. Jako dyrektor Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk poczułem się wywołany do tablicy.

●

Kierunek przemian zaproponowany przez minister Karolinę Zioło-Pużuk wydaje mi się bardzo słuszny. Pani minister sama jest badaczką kulturoznawczynią, rozumie więc specyfikę humanistyki. Bo humanistyka naprawdę jest inna i – mam wrażenie – że z tą prostą prawdą mają problem nie tylko niektórzy politycy i dziennikarze, lecz także naukowcy z innych niż humanistyka dziedzin wiedzy. Przede wszystkim humanistyka rzadko dochodzi do jednoznacznych wniosków, nawet tymczasowych. Wszystkie sprawy są ciągle dyskutowane; nie ma teorii, poglądów czy interpretacji, które zdobyłyby uznanie w oczach większości badaczy humanistów.

Nie istnieje coś takiego jak powtarzalność wyników eksperymentu, tak ważna w naukach przyrodniczych, bo dwóch równie wykwalifikowanych historyków, badając ten sam materiał źródłowy, zwykle dojdzie do odmiennych wniosków. To nie jest kwestia metodologicznego zacofania humanistyki. To jest jej istota.

Niezależnie od przyrostu informacji zawsze będziemy się spierać o przyczyny rozbiorów, przyczyny upadku Cesarstwa Rzymskiego, wybuchu pierwszej czy drugiej wojny światowej, interpretacji wybitnych utworów literackich czy dzieł wielkich filozofów. Popperowska koncepcja falsyfikacji w humanistyce na ogół nie działa: większość interesujących interpretacji da się dostosować do znanego nam materiału faktograficznego.

I właśnie ze względu na to, że humanistyka jest wieczną rozmową, jest ona bardziej niż inne nauki osadzona w swojej własnej historii; z tego zaś wynika, że – mimo rozwoju tłumaczy komputerowych – obiegi kulturowe i naukowe treści humanistycznych są w dużym stopniu ograniczone poszczególnymi kulturami i językami. Ta odrębność wzbogaca, a nie osłabia, humanistykę.

●

Publikacje badawcze po polsku – badawcze, nie tylko popularyzacja – są dla nas niezbędne, by zachować polski język naukowy, by rozwijała się terminologia, by rozwój światowej nauki historycznej był też częścią rozwoju polskiej kultury narodowej. A po drugie, by dotrzeć z naszymi pracami poza kręgi fachowców, do polskiej inteligencji, jeśli można użyć tego coraz bardziej archaicznego słowa. Prace historyków są przecież częścią polskiej debaty publicznej.

Również dla światowej nauki historycznej jest bardzo ważne, aby historiografia nie zasklepiła się w obiegu anglojęzycznym. Dlatego że każdy język inaczej ustawia widzenie świata i publikacje powstałe w różnych językach i kulturach narodowych nie są do siebie sprowadzalne – i bardzo dobrze. Nie mówię już o tym, że praca humanisty ma aspekt nie tylko badawczy, lecz także literacki; tutaj autor piszący w języku obcym jest już na wstępie na straconej pozycji.

Historia, nawet historia nietradycyjna, syntetyzująca, socjologizująca, jest zawsze trochę partykularna, zainteresowana konkretnymi okolicznościami czasu i miejsca – albo przestaje być historią. Z tych względów nawet bardzo dobry anglojęzyczny tekst o historii Polski może pozostać niezauważony – nie dlatego, że jest zły, lecz dlatego, że dotyczy regionu peryferyjnego, mało interesującego dla zagranicznych badaczy.

Pada argument, że nawet najlepsze polskie wydawnictwo jest zupełnie inną ligą niż Oxford University Press. Jeśli chodzi o kolportaż i rozpoznawalność marki – to prawda. Ale jeśli oceniamy nie ogół dorobku OUP, ale tylko książki dotyczące historii Polski, to nie okażą się one – jak sądzę – przeciętnie lepsze niż publikacje dobrych polskich wydawnictw naukowych. Dla badacza zajmującego się Polską Oksford nie musi być automatycznie najlepszą opcją.

Podam przykład najlepiej mi znany, bo mój własny. Publikuję czasami po angielsku, byłem na przykład współautorem trzytomowej opublikowanej w OUP historii środkowoeuropejskiej myśli politycznej od oświecenia do dziś pod redakcją prof. Balázsa Trencsényiego. To wielki zaszczyt i satysfakcja, ale czasem myślę, że moje anglojęzyczne publikacje miałyby większy oddźwięk naukowy, gdyby ukazały się po polsku.

Ten tekst nie jest apelem o odcięcie się światowego obiegu naukowego, lecz o utrzymanie równowagi. Istnieją świetne obcojęzyczne prace o historii Polski, zresztą raczej niemieckie niż angielskie. Prace te musimy znać, bo oferują nam spojrzenie z zewnątrz, bez którego nie dostrzeglibyśmy wielu ważnych spraw. I sami musimy w obcych językach publikować – z nadzieją, że liczbę tych świetnych prac zwiększymy. Jednak kiedy zasada internacjonalizacji nauki zaczyna być nakazem całkowitego upodobnienia się do badaczy amerykańskich, staje się absurdalna i niebezpieczna. Mamy oto brać udział w konkursie, „kto najlepiej małpuje historyków amerykańskich”, niepomni na to, że taki konkurs już na starcie wygrali historycy amerykańscy. Trzeba publikować i po polsku, i w językach obcych, co staram się robić, jednak przywilejowanie publikacji angielskich jest bez sensu.

●

Jest jeszcze druga sprawa. Nie tylko mnie zdziwiła, lecz przeraziła wiara cytowanego na wstępie badacza, że nauką najlepiej zarządzają urzędnicy. Przecież autonomia nauki przez stulecia była jedną z fundamentalnych zasad wolnego państwa, obok wolności słowa i sumienia. Sami naukowcy stawiali sobie cele, a oceną było poddanie wyników pod osąd innych naukowców. To prawda, że ten model w dobie masowej nauki nie jest w pełni realny, bo skoro naukowcy wydają publiczne pieniądze, muszą podlegać publicznej kontroli. Niemniej kontrola nie oznacza zarządzania. Naukowcy zawsze będą zarządzali nauką lepiej niż urzędnicy.

Nie jest celem państwa, pisze cytowany badacz, „zadowalanie stu tysięcy naukowców” ani, jak dodaje inny badacz, „dobre samopoczucie większości środowiska”. Chciałem zapytać: A dlaczego nie? Czy zdaniem autorów tych słów ludzie lepiej pracują umysłowo, kiedy są atakowani, niż kiedy się im ufa i zostawia ich w spokoju?

Praca naukowa tylko wtedy może przynieść rezultaty, kiedy wykonywana jest z przyjemnością, z satysfakcją – kiedy jest zarazem zawodem i hobby. Utrzymywanie naukowców w złym samopoczuciu jest słabym pomysłem na polepszenie wyników ich pracy.

Zmiany proponowane przez minister Karolinę Zioło-Pużuk są bardzo sensowne, a ich realizacja może naprawdę pomóc polskiej humanistyce. Oby się z nich nie wycofano.

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX wieku.

eprasa.pl 7b63c07719

NAJSŁYNNIEJSZY SZEWC WARSZAWY

Przedstawiał się: „Jestem szewcem", co niektórych szokowało. Był przecież wykształconym prawnikiem, poliglotą i bywalcem salonów.

Bogna Hiszpańska

ak buty, to tylko od Hiszpańskiego" – to hasło pobrzmiewa w pamięci dzięki wspomnieniom seniorów o przedwojennej Warszawie. – To były najlepsze buty! Sklep był na Krakowskim Przedmieściu 7, tu, gdzie teraz księgarnia naukowa – objaśniam młodszym, gdy zaczepiają mnie, kiedy sprzątam przy znanym, teraz głównie jako drogowskaz, głazie Hiszpańskich na Powązkach. Moi znajomi pamiętają też pobyty w ośrodku konferencyjnym i wypoczynkowym dla naukowców w Mądralinie nad Świdrem w gestii Polskiej Akademii Nauk do roku 2011, a ufundowanym przez Hiszpańskiego w 1922 roku.

Czasem też nieznajomi, słysząc moje nazwisko, pytają: – A ta ulica Rodziny Hiszpańskich na warszawskim Mokotowie, to...? – Tak, tak, to ulica naszych bardzo zasłużonych pięciorga przodków – odpowiadam. Wśród nich Stanisława Feliksa, mego dziadka, a także niedoszłego sukcesora firmy, też Stanisława, artysty malarza, zasłużonego dla kultury, mego ojca.

NA ROWERACH PAŃSTWA CURIE

Dziadka znam z jego opowiadań i z publikacji. Opowieści były tak barwne i ciekawe, że dziadek Staszek był mi bliski i kochany od dzieciństwa. Tkwią we mnie obrazki, jak to wędruje konno przez piękne krajobrazy i zaprasza brodatych wędrownych żebraków na piwo, żeby notować ich pieśni. Śpiewaliśmy je w domu rodzinnym – a to jak Magda durzyła się w Florku i zmarła z miłości nad garnkiem bigosu, a to jak dziad proszalny złapał złodzieja, bo ten dostał... biegunki, a to jak „ostro karcił bogacy, że im Bóg nie przebacy i zatwardziałe grześniki, wszyćko się nawracało". Najbardziej ulubiona mówi o Makarym – łakomczuchu, co „drogi kawior cukrem słodzi, obżartości swej dogodzi i słoninę z rodzynkiem".

Przystojny i uroczy towarzysko był wulkanem energii i pracowitości. Te wyprawy krajoznawcze zaczęły się, gdy jako maturzysta i już czeladnik szewski (bo sukcesor firmy) wyruszył pieszo z Warszawy przez Czechy, Morawy, Austrię i pół Francji, pracując po drodze i nawiązując serdeczne kontakty, by osiąść w Paryżu. Tam skończył prawo na Sorbonie, jednocześnie pracując jako robotnik w garbarni. Dzięki przyjaźni z Marią Skłodowską-Curie poznał swą przyszłą żonę, Paryżankę z rodziny emigrantów po powstaniu styczniowym. Państwo Curie zaprosili Stanisława Hiszpańskiego i Zosię Kraków na obiad, a potem wysłali na wycieczkę na swych słynnych rowerach. Efektem była trwająca rok wymiana 365 listów z każdej strony i ślub, już w Warszawie.

W Czechach poznał ideę „Sokołów" – braterstwa Słowian – połączoną z walką o suwerenność państwową. Te idee brane do serca przemieszczały się po Europie i rozkwitały, gdzie warunki pozwalały. Tak było i ze skautingiem powstałym początkowo w Wielkiej Brytanii, gdzie Hiszpański też miał przyjaciół. Ze skautingu czerpało zarówno przyszłe harcerstwo, jak i Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół".

Rewolucyjne było to, że przyjmowano tam młodzież zarówno z ekskluzywnych szkół dla arystokracji oraz burżuazji, jak i dzieci proletariatu ze szkół podmiejskich dla ubogich, a także równość chłopców i dziewcząt. Gry sprawnościowe w terenie z humorem, żartami i wzajemną pomocą powodowały radosne zaangażowanie i przyjaźnie na całe życie. Karność związana była z poczuciem godności własnej i wolności wyboru szanowanych zasad.

Dla narodów środkowoeuropejskich na przełomie wieków XIX i XX idea zrzucenia jarzma niewoli była kluczowa. Harcerstwo to skauting plus niepodległość, podsumował jego twórca, Andrzej Małkowski. W Sokole, z konieczności zakonspirowanym, szczególnie w zaborze rosyjskim, najważniejsze było wychowanie patriotyczne i przygotowanie militarne do walki o wolność.

„GDY IDZIEMY DO HISZPANA..."

Tymczasem firma Stanisław Hiszpański. Szewc w trzecim już pokoleniu zaczęła swą działalność w Warszawie, a Stanisław Feliks rozbudował ją, zakładając czasowo filię w Kijowie. W roku 1906, wkrótce po przyjeździe, założył tam wraz z podobnymi sobie „szaleńcami" Polskie Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół" ze statutem wzorowanym na tym z liberalnego zaboru austriackiego.

Regularnie publikował w „Dzienniku Kijowskim". W artykułach propagował pokojowe idee patriotyczne, poznawanie kraju, w szczególności Królestwa Polskiego, przez piesze, konne lub rowerowe wycieczki. Teksty tłumaczyły znaczenie ćwiczeń fizycznych dla rozwijania tężyzny i dzielności. Hiszpański podpisywał się pseudonimem „Maćko z Bogdańca".

W roku 1907 Stanisław Feliks z rodziną wrócili z Kijowa do Warszawy. I znów sprawy firmy obuwniczej Stanisław Hiszpański, choć znakomitej, nie były jedyne. Pod pozorem „szkół gimnastyki" organizował konspiracyjne „gniazda sokolskie" w Śródmieściu, na Powiślu i na Woli. Sam zajął się gniazdem numer IV na Woli, które skupiało najbardziej zaniedbane dzieci ulicy. Głód, kradzież i prostytucja wynikające z nędzy były dla nich codziennością. Hiszpański nie tylko wychowywał te dzieci, przekonując do edukacji i pracy nad sobą, ale im ją umożliwiał i finansował.

Syn Stanisława Feliksa tak go wspomina: „Opiekował się i oddawał całe swoje serce zwłaszcza IV Gniazdu Sokolskiemu mieszczącemu się początkowo na Woli, ale później i do końca na Dynasach. Byli to, krótko mówiąc, Jego Czwartacy, do których później już jako wyrostek miałem zaszczyt należeć.

Chłopaki były równe. Sam proletariat z lumpenproletariatem włącznie. Ćwiczyły jak szatany albo cyrkowcy. Obudziły się w nich zainteresowania, chęć pracy, nauki i kultury. Toteż żaden się nie »wykoleił«, a wielu awansowało społecznie i stało się wartościowymi ludźmi. Ojca mego dosłownie uwielbiali (...)".

Stanisław Feliks Hiszpański miał pod Warszawą dwuhektarową kolonię nad Świdrem, wówczas jeszcze pustkowie. „Dom i sad z ogrodem zakopane były w niewyciętych starych lasach sosnowych (...). Toteż domek nasz był stałą bazą sokolskiego i harcerskiego przysposobienia wojskowego. Uwieczniła to piosenka:

„Gdy idziemy do Hiszpana
Śpiewamy se dana dana
Pracujemy i bijemy się godnie
Żyjemy sobie swobodnie!".

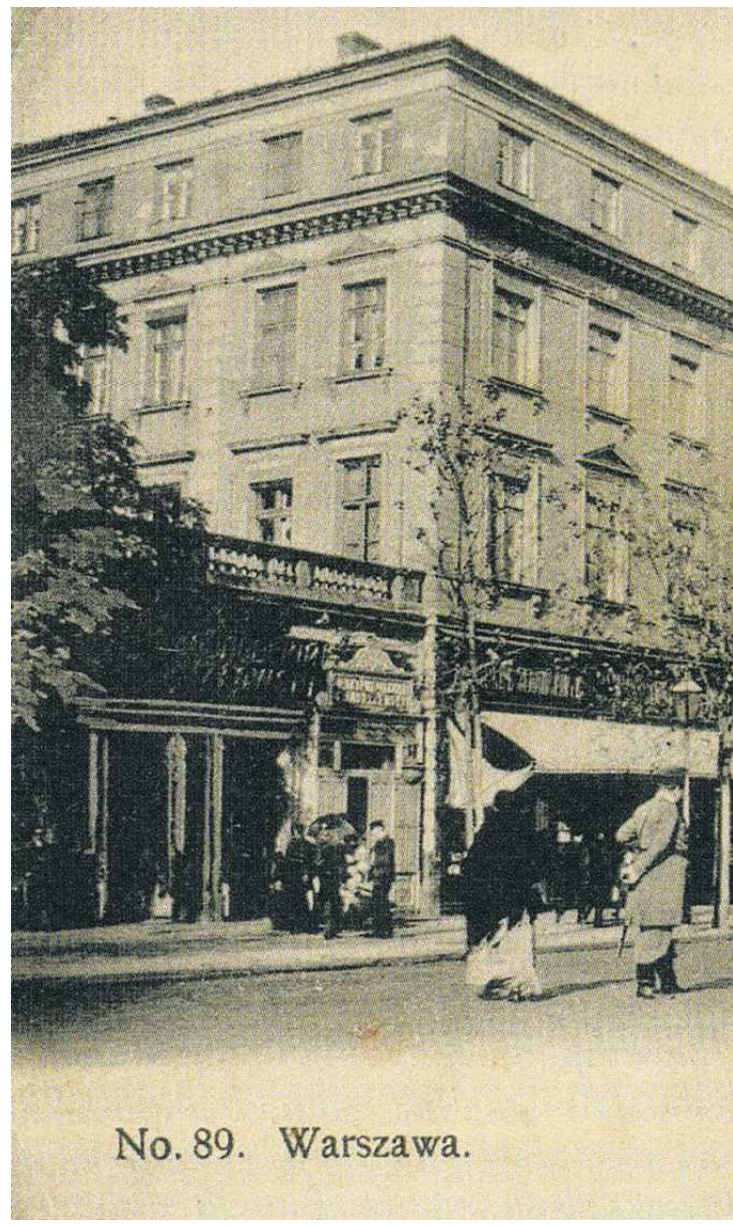

• **Kamienica Józefa Grodzickiego na Krakowskim Przedmieściu 7, w której od 1909 roku mieściła się pracownia szewska rodziny Hiszpańskich. Zdjęcie datowane na 1908 rok**

FOT. AUTOR NIEZNANY, REPRODUKCJA W Z „ILUSTROWANEGO ATLASU DAWNEJ WARSZAWY", R. MARCINKOWSKIEGO

• **Stanisław Feliks Hiszpański z synami, Stanisławem (z lewej) i Januszem, około 1920 roku**

FOT. ARCHIWUM BOGNY HISZPAŃSKIEJ

eprasa.pl 7b63c07719

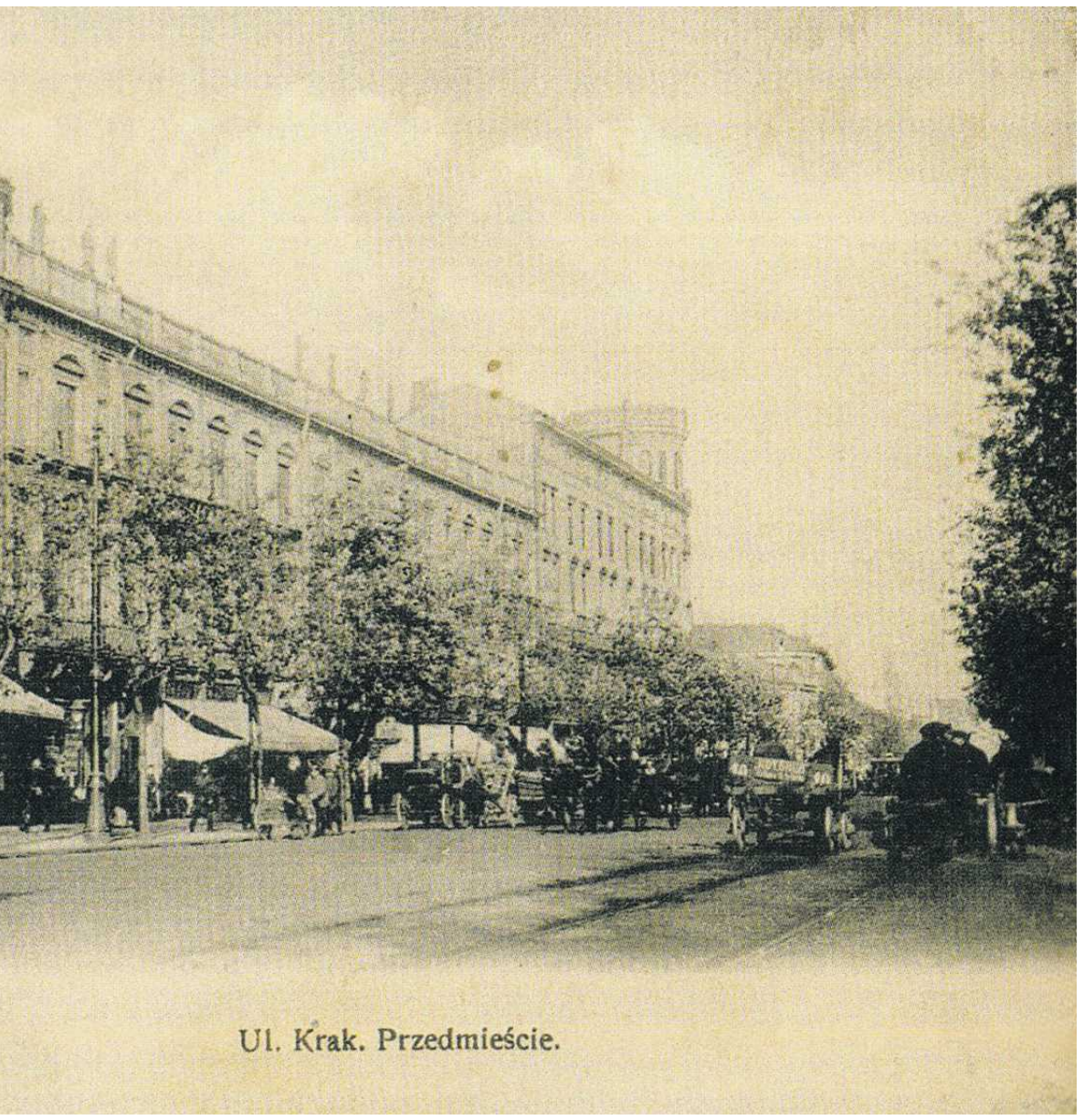

• **Stanisław Feliks Hiszpański (1872-1939), prawnik, poliglota, działacz społeczny, ostatni właściciel słynnej firmy obuwniczej**
FOT. ARCHIWUM BOGNY HISZPAŃSKIEJ

W swym domu i ogrodach w Osadzie Kilińskie zwanej nieformalnie Hiszpanią Stanisław Feliks gościł i ćwiczył grupy nastolatków w dwóch tajnych kwaterach organizacyjnych – paramilitarnym Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół” i również paramilitarnym Harcerstwie Polskim. Ćwiczyli tam też obaj jego synowie – starszy Zdzich i młodszy Staszek.

Oczywiście groziło to ciężkimi represjami ze zsyłką na Syberię włącznie.

„DLA UKOCHANYCH MĄDRALÓW”

Po odzyskaniu niepodległości pojawiły się nowe potrzeby. Państwo polskie nie miało rezerw złota ani stabilnej waluty. Ofiarność obywateli była jedynym sposobem na sfinansowanie tworzącej się administracji i armii.

– Babciu, dlaczego nie masz złotej obrączki? – spytałam jako mała dziewczynka. Obrączka była z żelaza... Babcia niechętnie objaśniła: – Wolę tę, ta jest droższa niż złoto.

Nic nie zrozumiałam i nie wracałam do tej sprawy. Gdy miałam lat naście, Ojciec wspomniał, że jego rodzice oddali całą biżuterię rodzinną na Skarb Narodowy. Wszystko, łącznie z finezyjnymi cacuszkami, które po przetopieniu miały wartość znikomą, łącznie z sygnetem z wygrawerowanym napisem: „Od sióstr Polek”, ofiarowanym jego dziadkowi, gdy wracał w 1862 roku ze zsyłki na Syberię. Wtedy dowiedziałam się, że w zamian za obrączki złote ofiarodawcy dostawali żelazne z napisem: „Złoto Ojczyźnie 1918” i że takie z dumą nosili. A za biżuterię rodową – metalowe znaczki z orłem. Akcja była powszechna i ofiarność ogromna, lecz potrzeby jeszcze większe.

Powracający z tułaczki lub dotknięci konfiskatami uczeni, chcący osiedlić się w ośrodkach akademickich – w Warszawie, we Lwowie i w Wilnie – byli nierzadko bez mieszkań i miejsc pracy, a państwo nie miało na pensje dla profesorów. W latach 1918-12 Kasa Mianowskiego, założona w 1881 roku „w podziemiu”, zwana ministerstwem nauki w prywatnych rękach, wypłacała im zapomogi i emerytury oraz prowadziła akcję obiadową. Sfinansowała też wydanie setek tomów podręczników dla samouków. W 1920 roku mimo wojny polsko-bolszewickiej Kasa Mianowskiego zainicjowała tworzenie Funduszu Kultury Narodowej – prywatni darczyńcy jak Stanisław Feliks Hiszpański budowali jego majątek przeznaczony na stypendia zagraniczne i budowę infrastruktury nauk technicznych.

Mądralin – dar Hiszpańskiego zgodnie z zapisem formalnym z 1922 roku „dla rozwoju nauki polskiej” – był pierwszą tego typu i tej rangi darowizną, prekursorem akcji tworzenia domów pracy twórczej. Pierwszym miejscem, dającym godne i bardzo wygodne, warunki pracy intelektualnej i wypoczynku. Owianym legendą wspaniałej atmosfery – humoru i swobody, miejscem pracy elit – mędrców, którzy wykuwali koncepcje naukowe II Rzeczypospolitej.

Dziadek oddał im ukochaną rodzinną Hiszpanię, czyli Osadę Kilińskie – dwa hektary starodrzewu, sadu i ogrodu wraz z zabudowaniami. U wziętego architekta Jana Koszczyca-Witkiewicza zamówił duży dom wraz z wyposażeniem hotelowym, czytelnią z encyklopediami i atlasami, wielką jadalnią z kominkiem i kasetonowym sufitem, kuluarami i gabinetami. Zbudował ją „dla kochanych mądralów” i nazwał Mądralinem. Do roku 1939 był w Zarządzie Fundacji wraz z prezesem Kasy Mianowskiego.

NIEDŹWIEDŹ Z BUTEM W ŁAPACH

Stanisław Feliks przedstawiał się: „Jestem szewcem”. Niektórych to szokowało, bo snobizm był modny, a Hiszpański go obalał. Był wykształconym prawnikiem, poliglotą, pełnym humoru i skorym do żartów bywalcem salonów.

Obok ostatniej siedziby Firmy, znajdującej się prawie naprzeciw Uniwersytetu, stały pałace Krasińskich, Potockich, Radziwiłłów. Dokładnie tam, gdzie sklep Hiszpańskiego w latach 1909-44, jest obecnie Księgarnia Naukowa imienia Bolesława Prusa.

Krakowskie Przedmieście, gdy istniał tam sklep firmy Szewc. Stanisław Hiszpański, dynamicznie się zmieniało. Karety i powozy powoli odchodziły w przeszłość, od 1908 roku kursowały tramwaje elektryczne, od 1920 – autobusy, samochody osobowe i taksówki. Eleganckie postaci snuły się spacerowo lub spieszyły dorożką. Moda zmieniała się szybko, podobnie jak kierunki sztuki i obyczaje.

Pobliskie Stare Miasto miało zabudowę ciasną i chaotyczną, Plac Zamkowy z Zamkiem Królewskim i Kolumną Króla Zygmunta oraz katedra zatrzymywały pięknem wzrok. Ale w pobliżu wegeto-

◄ **Buty od Hiszpańskiego były długowieczne, wytrzymywały nawet 20 sezonów**

► **Ufundowany przez rodzinę Hiszpańskich ośrodek konferencyjny i wypoczynkowy dla naukowców w Mądralinie nad Świdrem**
FOT. ARCHIWUM BOGNY HISZPAŃSKIEJ , ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

eprasa.pl 7b63c07719

wały też liczne drobne warsztaty rzemieślnicze, stłoczone, biedne, ale podtrzymujące tradycję gospodarczą miasta. Ówczesna Warszawa to wielokulturowy tygiel, z ogromną dynamiką zmian społecznych i politycznych.

W piwnicach Fukiera przy Rynku od dwustu z okładem lat leżały beczki win, które dopiero Niemcy rozkradną. U Fukiera spotykali się zamożni rzemieślnicy, tworząca się burżuazja i inteligencja. Bywał tam też Hiszpański, dobre wino lubił, jak i inni przedstawiciele naszej rodziny wcześniej i później.

Firma miała różne siedziby, ale swe stulecie obchodziła już na Krakowskim Przedmieściu 7. Z tej okazji na przyjęciu w Mądralinie w 1938 roku gościł prezydent Ignacy Mościcki ze świtą, w której byli ministrowie oświecenia i finansów.

Z tych czasów świetności pozostała mi bardzo skromna pamiątka – pudło tekturowe na trzewiczki damskie projektowane przez młodego, niedoszłego sukcesora firmy.

Sklep Stanisława Feliksa Hiszpańskiego miał widoczny szyld, na którym był sympatyczny niedźwiedź z butem w łapach. Tło witryny – barwne kafle przedstawiające dwa niedźwiedzie liżące but – zaprojektował znany artysta ceramik Stanisław Jagmin, rówieśnik i znajomy Dziadka. Na wystawie właściciel pokazywał zwykle jedną parę butów wysokich, a na półce wieńczącej wnętrze – jedną parę pantofelków damskich lub półbuty męskie.

• **Rodzina Hiszpańskich około 1920 roku. Stanisław Feliks Hiszpański – drugi z lewej**

FOT. ARCHIWUM BOGNY HISZPAŃSKIEJ

MISTRZOWIE PRACUJĄ W DOMU

Wejdźmy do sklepu. Natychmiast powita nas właściciel, jeśli nie znamy polskiego, zaproponuje francuski, angielski, niemiecki, rosyjski, czeski i poprowadzi uprzejmą konwersację. Nadal towarzysząc, odda pod opiekę pani Felicji obsługującej klientki lub uprzejmego pracownika obsługującego panów. Oni przynoszą kolejne pudła i pomagają włożyć obuwie.

Ściany sklepu otoczone wysokimi oszklonymi szafami z obuwiem. Powyżej zwarty szereg dyplomów z wystaw krajowych i zagranicznych, medale złote duże i małe. Tylko złote, było ich wystarczająco wiele, by tworzyły zwarty fryz wokół.

W głębi sklepu biurko – kantorek właściciela; pośrodku – zwrócone do siebie oparciami, na stronę damską i męską, po cztery wygodne foteliki. Dalej znów szafy i szafy. Zawartość precyzyjnie opisana. Drzwi w głębi sklepu prowadzą do warsztatu cholewkarskiego, składu skór i kopyciarni, czyli miejsca powstawania i przechowywania idealnie precyzyjnych form stóp, łydek i ud każdego klienta, który kiedykolwiek osobiście zamówił obuwie.

Na Krakowskim Przedmieściu nie było warsztatu dla zatrudnianych przez Hiszpańskiego mistrzów rzemiosła szewskiego. Dlaczego? Wyjaśnia Stanisław Hiszpański: „Kiedy Ojciec mój budował w roku 1920 swą willę przy ulicy Narbutta 18, całą stronę odsłoneczną parteru i piętra przeznaczył na warsztat dla naszych szewców. Dał też szatnię, natryski i kuchnię z gazem. Ale cóż – pracowali tam przez parę lat i stękali. Bo byli to wprawdzie niby szewcy, ale naprawdę indywidualni artyści rzemiosła! Jak pan Naglarski od balowych półbutów męskich i obuwia ortopedycznego, które wyglądało na najnormalniejsze, lub pan Malinowski od butów wysokich kawaleryjskich, czy myśliwskich z cholewami choćby pod pachy”.

Warsztat wspólny na Narbutta 18 został po kilku latach zlikwidowany. Szewcy przychodzili więc po robotę na Krakowskie, po przygotowane według miary kopyta, cholewki, skórę na spody i po pieniążki. Tam też odnosili pary gotowe. Szef firmy wiedział, że stałym, wieloletnim pracownikom może absolutnie ufać. Niektórzy z nich uczyli się rzemiosła, a potem pracowali jeszcze u Ojca i nawet dziadka Stanisława Feliksa. Stanisław Feliks wynagradzał ich hojnie, był wyczulony na socjalne położenie, uboższym pomagał finansowo i organizacyjnie.

Pracownicy dostawali stawki możliwie najwyższe, wszyscy pracowali z perfekcyjną dokładnością. Jednakże wspomniany pan Naglarski, mistrz nad mistrzami od obuwia balowego, wykonywał tygodniowo tylko dwie, najwyżej trzy pary, przez co zarabiał mniej od kolegów. Co z takim zrobić? Szef prosił i perswadował. – Nie mogę odnosić pary, o której nie mogę powiedzieć, że jest już bez zarzutu. A to wymaga czasu... – jęczał majster.

„Ostatecznie Ojciec mój pogadał z resztą swego zespołu i ten mistrz dostawał odtąd, za zgodą kolegów, stawkę półtorakrotnie wyższą, niż wynosiły ich własne stawki według maksymalnego cennika” – wspomina syn Stanisława Feliksa.

Opowiada też o strajkach szewców, do których ci od Hiszpańskiego nie chcieli się przyłączyć. Nie interesowali się tym, że niektóre firmy szewskie płacą pracownikom zaniżone stawki. „Dopiero burżuj, krwiopijca, czyli mój Ojciec, razem ze swym pracownikiem delegatem Związku Zawodowego Szewców, komunistą Kazimierzem Grodeckim, ramię w ramię tłumaczyli im, że chodzi tu przecie nie o nich samych, lecz o wielu innych, i że dlatego solidarność obowiązuje” – wspomina Stanisław Hiszpański.

BUTY NIE TYLKO DLA ELITY

Większość klientów, niezależnie od poziomu zamożności, zachowywała się kulturalnie, choć zdarzały się wyjątki. „Otóż pewien generał Wojska Polskiego długo i mądrze gadał, przekonując Ojca, że jego buty mogłyby być znacznie ładniejsze, gdyby zaczął się wzorować na... Ojciec mój miał zdolność dyskretnego bawienia się zarozumiałym aż do granic chamstwa zachowaniem pewnej kategorii ludzi, rozmawiających z »szewcem«. Jednak wtedy nie wytrzymał: »Pan jest generałem dla wojska. Dla obuwia generałem jestem ja«. Generał spuścił uszy i buty kupił, zadowolony”.

Firma robiła przeważnie obuwie męskie wszelkich typów. Obuwie damskie było traktowane raczej jako dodatek. Były to pantofelki balowe i trzewiczki sznurowane wyścielane irchą i jedwabiem. Panie zamawiały również buty wysokie do konnej jazdy, które nadawały się również i do marszów. Klientki bywały kapryśne, ale wierne, Hiszpański miał nie tylko anielską cierpliwość, ale potrafił je uspokoić i zadowolić.

Buty z naszej firmy, odpowiednio zadbane, zachowywały piękno i jakość przez długie lata. Zarówno zamożni książęta czy dyplomaci, jak i średniozamożni klienci nosili je wiele sezonów. Jakość materiałów i wykonania były nieporównywalne z żadnymi im współczesnymi, nie wspominając o obecnych.

W butach od Hiszpańskiego chodzili oraz jeździli konno marszałkowie – Edward Rydz-Śmigły i prezydent Finlandii Carl Gustaw von Mannerheim. Jego biograf pisze: „Jeszcze na początku wojny w 1939 roku Mannerheim nosił oficerki, które kupił w Warszawie w roku 1900. Dwie pary wysokich butów kawaleryjskich znajdujące się dziś w poświęconym mu helsińskim muzeum, Mannerheim obstalował w prosperującej od trzech pokoleń i słynącej na cały świat firmie szewskiej Stanisława Hiszpańskiego, czego dowodzą widoczne wewnątrz cholewki stemple firmy”. Oraz oczywiście ich wygląd!

Bo nasze obuwie wyróżniało się na tle innych tak dalece, że gdy Wojciech Kossak, znakomity malarz koni i kawalerzysta, pojawił się w butach od Hiszpańskiego do konnej jazdy na 5th Avenue w Nowym Jorku, wywołał sensację i zbiegowisko.

Stałymi klientami sklepu na Krakowskim Przedmieściu byli generałowie – premier Władysław Sikorski i minister spraw wojskowych Tadeusz Kasprzycki, minister spraw zagranicznych Józef Beck i premier Felicjan Sławoj Składkowski z małżonką. A podczas wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku oraz w późniejszych latach – generał Charles de Gaulle.

Buty u Hiszpańskiego kupowali też: tenor Jan Kiepura i najbogatszy sportowiec międzywojnia, zapaśnik Stanisław „Zbyszko” Cyganiewicz. Miał on zarazem największe kopyto, czyli formę buta – „jak mały kajak”, opisywał Hiszpański junior. Klientami firmy byli także: Janusz Kusociński – złoty medalista igrzysk w Los Angeles w 1932 roku w biegu na 10 000 m, i Henryk Leliwa-Roycewicz – medalista olimpijski w jeździectwie w Berlinie w 1936 roku, wraz z ekipą, książę Janusz Franciszek Radziwiłł, senator, ordynat niewyobrażalnych dóbr o powierzchni ponad 40 tys. hektarów, i książę Zdzisław Lubomirski, prezydent Warszawy i członek Rady Regencyjnej.

Klientami Hiszpańskiego była więc elita, ale nie tylko, bo także „częściej niż by się to zdawać mogło, ludzie finansowo raczej skromni, ale myślący długofalowo: zamiast kupować kolejne o 4 pary trzewików, które prędko zatracają swój efektowny wygląd i ulegną zniszczeniu, lepiej kupić jedną parę u Hiszpańskiego i nosić ją latami bez pogarszania się jej wyglądu. Do tej kategorii klientów miał mój Ojciec specjalne podejście, takie, żeby nie urazić, ale pomóc. Po wstępnej rozmowie »przypominał sobie«, że leży przecież w szafie taka para nieodebrana, która będzie akurat, a sprzedać ją można ze znaczną zniżką”.

REKLAMACJI NIE BYŁO

Firma pod zarządem Stanisława Feliksa Hiszpańskiego, czyli w latach 1899-1939, wysyłała obuwie miarowe na pięć kontynentów: do krajów Europy, Azji, Afryki i obu Ameryk. Także na dwory królewskie. Jak to możliwe?

Kiedy na Krakowskim została wzięta miara, przygotowywano indywidualne kopyto klienta. Gdy pierwsza para okazywała się bez zarzutu, mógł on sobie jechać choćby na koniec świata i potem tylko pisać: „Proszę wykonać i przysłać tyle a tyle par obuwia takiego a takiego”. Wysyłało się je do Rodezji, Indii, Wenezueli czy Szwajcarii. Reklamacji nie było. Władający pięcioma językami w mowie i piśmie Stanisław Feliks Hiszpański w dużej mierze sam prowadził korespondencję ze światem. On także nawiązywał kontakty z dostawcami w całej Europie.

Przypomnijmy, że w czasie studiów na Sorbonie zatrudnił się jako robotnik w garbarni, aby od podstaw poznać sposoby wyprawiania skór i tajemnice ich jakości! Często jeździł za granicę do najlepszych firm garbarskich, oglądał, brał próbki i katalogi, a później najlepsze skóry mógł sprowadzać już na zlecenia pisemne. Przeważnie były to skóry angielskie, francuskie i węgierskie, a podręczne skóry miękkie kupował też od warszawskich żydowskich rzemieślników. Skóry twarde, na podeszwy i obcasy, „kupował Ojciec krajowe, bo wyprawiane powolną starodawną technologią były znacznie lepsze od zagranicznych. Trochę podeszwowych skór zagranicznych trzymał Hiszpański dla najbardziej zaślepionych snobów” – wspomina jego syn.

Roczne obroty Firmy wynosiły 110-150 tysięcy złotych, produkowała w tym czasie około 1500 par obuwia wszystkich rodzajów.

eprasa.pl 7b63c07719

Po pierwsze, buty oficerskie i kawaleryjskie – ich ceny były wysokie, nieznacznie większe niż z innych pierwszorzędnych pracowni. Kosztowały do 135 złotych. Po drugie – buty myśliwskie, całkowicie wodoodporne, bardzo długie. W końcu półbuty męskie różnych typów, w tym balowe i ortopedyczne. Te kosztowały około 70 złotych, były miękkie i wygodne, nie do zdarcia.

Maria Hiszpańska-Neumann, córka Stanisława Feliksa: „Boże, jak ja cierpiałam, że tatuś robił takie dobre buty! On gardził wszelkimi sensacyjnymi i sezonowymi modami. Te buty nigdy się nie chciały zedrzeć. W balowych pantofelkach można było w Tatry chodzić. Ile razy błagałam mamę, żeby mi kupiła za 7 zł buciki u Baty!”.

Podejście czeskiego przemysłowca Tomasa Baty produkującego masowo efektowne, tanie obuwie było przeciwieństwem „Papy Hiszpańskiego”. Bata zatrudniał tysiące robotników, zaniżał stawki, wymuszał darmowe nadgodziny.

BUTY PATRIOTYCZNE

Świetność firmy poległa wraz z wybuchem II wojny światowej. Stanisław Feliks Hiszpański zginął tak jak żył – z fasonem! W tragiczny poniedziałek 25 września 1939 roku, gdy na broniącą się wciąż Warszawę lał się potok bomb burząco-zapalających, odmówił pospieszenia do schronu. Pozostał w salonie, aby „spokojnie” dokończyć poranną herbatę. Duża kamienica przy Świętokrzyskiej 15, do której Hiszpańscy przeprowadzili się czasowo z Narbutta, „wyparowała”. Piwnica-schron ocalała, a w niej pozostała rodzina...

„Matka moja ciągnęła okaleczałą firmę dzięki serdecznej i prawdziwie opiekuńczej pomocy naszych pracowników. Obuwia »od Hiszpańskiego« już nie wolno było robić. Jedynie trepy na drewnianej podeszwie. Robiono je, aby przeżyć. Ale gdy zjawiał się cichaczem któryś z dawnych klientów, to buty się jakoś »na lewo« wykonywało”.

I to, zgodnie z tradycją w trzecim pokoleniu, bywały buty niezwykłe – „buty patriotyczne”, w obcasie mieściła się skrytka na grypsy i tak zwaną bibułę. Wyrażały ducha oporu i przekory, służyły walce z wrogiem.

„Szkopscy oficerowie, niewiedzący o niszczącym zarządzeniu ich władz, a znający firmę sprzed wojny, wstępowali czasem na Krakowskie, ale cóż – leider das ist Krieg – widzieli tylko trepy. I tak do powstania. A wtedy nastąpił ostateczny koniec”.

Wskrzeszenie takiej firmy po wojnie, w PRL-u? Absolutnie i z kilku względów nie było możliwe. Pozostaje więc pamiętać i ułatwić pamiętanie przechodniom mijającym kamienicę na Krakowskim Przedmieściu 7.

Tu Bolesław Prus w „Lalce” umieścił sklep Wokulskiego, bo to lokalizacja bardzo prestiżowa. A potomni, szanując wartości przez Wokulskiego reprezentowane, umieścili ozdobną kamienną tablicę ku jego czci.

Tu tak naprawdę była stuletnia Firma Hiszpańskiego! Może warto ją również upamiętnić tablicą? Utrwalić w pamięci Warszawiaków i turystów postać Stanisława Feliksa Hiszpańskiego, szewca po Sorbonie, przedsiębiorcę, pozytywistę, hojnego filantropa i patriotę.

Projekt tablicy jest, ale urząd miejski blokuje inicjatywę. ●

Dr Bogna Hiszpańska jest pedagożką i artystką, tworzy malarstwo we własnej technice, łączącej mozaikę papierową z farbami akrylowymi. Jej prace były prezentowane na ponad 40 wystawach w kraju i zagranicą. Jest córką Stanisława Hiszpańskiego, architekta, artysty grafika, malarza i niedoszłego sukcesora Firmy oraz wnuczką Stanisława Feliksa Hiszpańskiego, ostatniego jej właściciela.

Jasne strony dziejów

Rok bez Mariana Turskiego

Nie róbmy z niego świeckiego świętego, bo to nie służy pamięci o nim ani nie czyni go większym czy bardziej wyjątkowym.

Andrzej Brzeziecki

Gdy go kiedyś spytałem, jak odbiera swój status niemalże celebryty, który stał się jego udziałem po kilku słynnych wystąpieniach w Auschwitz, rozmowie z Barackiem Obamą czy korespondencji z Markiem Zuckerbergiem – odparł, że to wszystko oczywiście jest bardzo miłe i skłamałby, gdyby twierdził, że mu na tym nie zależy.

Podobnie było pewnie z pomysłem, by zgłosić go do Nagrody Nobla. W ostatnich latach swego życia Marian Turski faktycznie był uczestnikiem festiwalu na swoją cześć. Hołubiła go rodzima redakcja „Polityki”, różne instytucje od uczelni po całe miasta – wręczały mu swoje nagrody, a sklepik w muzeum Polin pełen był „gadżetów” z Turskim. Lubił, gdy podchodzili do niego ludzie i mówili mu miłe rzeczy.

Ale – tego jestem pewien – Marian Turski nie kolekcjonował tych zaszczytów jedynie dla własnej przyjemności, raczej był to dla niego kapitał do wykorzystania w staraniach o pamięć o Holokauście i w dotarciu do ludzi z przesłaniem, że zło nienawiści trzeba zwalczać w zarodku. I tym kapitałem zarządzał do ostatnich dni.

Gdy człowiek żył blisko wiek – z czego większość przypadła na wiek XX w Środkowej Europie – musiał być świadkiem rzeczy strasznych, a i samemu mógł popełnić różne głupstwa.

Marian Turski przeżył Zagładę, ale stracił niemal całą rodzinę, z najbliższych mu osób przeżyła jedynie matka. Po wojnie zaangażował się w budowanie komunistycznego państwa. Nie był to koniunkturalizm, bo w idee równości społecznej wierzyć zaczął jeszcze w łódzkim getcie. Był gorącym wyznawcą komunistycznej wiary – po latach swój zapał porównywał do zapału apostołów czy pierwszych chrześcijan. Namawiał do kolektywizacji, brał udział w stanowieniu władzy. Pracował jako cenzor, a potem robił partyjną karierę. Nie poszedł w tym jednak tak daleko jak Helena Wolińska czy inny więzień Auschwitz – Józef Cyrankiewicz.

Czy jako dwudziestokilkulatek miał więcej szczęścia, czy rozumu, trudno dziś powiedzieć. Ale ani nie miał na sumieniu żadnego cierpienia, ani nie traktował biletu partyjnego jako przepustki do luksusu. Cenił sobie możliwości dziennikarskich podróży po świecie, lubił spędzać ciekawie urlopy – ale w przeciwieństwie do Cyrankiewicza jego poziom życiowych wymagań był po Auschwitz i marszach śmierci naprawdę niski.

• **Marian Turski (1926-2025), historyk, wieloletni redaktor tygodnika „Polityka”**
FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Październik ’56 roku powitał z radością, a Gomułkę z entuzjazmem. Szybko okazało się, że nadmiernym, bo wkrótce musiał pożegnać się z redagowaniem „Sztandaru Młodych”, który obok tygodnika „Po Prostu” najsilniej nawoływał do zmian. Szczęśliwie zaraz potem przygarnął Turskiego na pokład „Polityki” Mieczysław F. Rakowski, czyniąc go szefem działu historycznego pisma. Turski lojalność wobec partii zastąpił lojalnością wobec Rakowskiego, a w lojalności tej, nasilonej po 1968 roku, trwał do końca życia MFR. Dlatego pozostał w PZPR, by nie robić kłopotu naczelnemu pisma, który zależny był od partyjnych układów. Nie wyjechał też z Polski – choć miał propozycję intratnej pracy na jednej z amerykańskich uczelni.

Już wtedy zaczęto Turskiemu zarzucać koniunkturalizm, bo ani rok 1976, ani powstanie „Solidarności” i wprowadzenie stanu wojennego nie sprawiły, by rzucił legitymacją. Czy był wtedy obojętny?

Mówił po latach, że ma kompleks wobec założycieli KOR-u, ale tego, że nie włączył się w „Solidarność” – nie żałował. Nie przeszedł na drugą stronę, jak choćby Hanna Krall, ale też nikt nie może mu zarzucić, że zachował się wtedy nieładnie – nie pisywał takich rzeczy, jak Daniel Passent, ani nie stał się twarzą reżimu, jak inny dawny redakcyjny kolega, Jerzy Urban. Szedł środkiem, ale szedł prosto i nie podstawiał innym nogi.

Kiedyś pojawiłem w jego domu z papierami z IPN-u, w których były sprzeczności co do jego życiorysu, i poprosiłem o wyjaśnienia – zaraz potem zrobiło mi się głupio. Oto był przede mną starszy człowiek, który cudem ocalał z Zagłady, który jako Żyd i były komunista nadawał się idealnie na cel ataków „prawdziwych Polaków”, a ja, gówniarz, mu tu macham przed oczami papierami i próbuję złapać na nieścisłości...

Ale Turski jako historyk doskonale wiedział, że pytać należy, choć jak każdy człowiek miał prawo do swych tajemnic. Jednak omijanie raf czy wybielanie jego biografii nie przysłużyłoby się mu. Nie potrzebował tego i pewnie by nie chciał. Jego biografii nie można sprowadzić do referendum 3 razy TAK, ale też nie ma powodu, by to przemilczać. Sam o tym mówił – traktując się poniekąd jako źródło historyczne.

W niczym to nie umniejsza jego dzieła – które być może z czasem nabierze jeszcze większego znaczenia.

Turski stosunkowo późno stał się jednym z aktywnych Świadków Zagłady i strażników pamięci. Ale gdy już zaangażował się w upamiętnianie historii Żydów i Holokaustu, był w stanie poruszyć niebo i ziemię, by hasło „Nigdy więcej” nabrało realnego wymiaru. Z tej działalności znany jest właśnie najlepiej.

Dawni opozycjoniści, którzy za PRL zbierali cięgi – mogli się krzywić, że nagle autorytetem staje się człowiek, który wcześniej publicznie nie protestował. Może jest w tym trochę racji. Czasy jednak idą takie, że działalność Turskiego w III RP może się okazać równie ważna, jak walka z imperium generała Czesława Kiszczaka. Te wszystkie świadectwa, które zebrał, instytucje pamięci o Zagładzie, które współtworzył, teksty, które napisał, i wystąpienia, którymi starał się poruszyć sumienia i ostrzec przed możliwym nowym Auschwitz – to są swego rodzaju bezpieczniki. To wszystko już jest i można do tego sięgać – powielać, drukować, wyświetlać, przypominać i edukować. Choć po prawdzie, lepiej dla nas – i Turski by się z tym zgodził – gdybyśmy nie musieli z tych bezpieczników korzystać.

Marian Turski był może ostatnim Polakiem, po Janie Nowaku-Jeziorańskim, Irenie Sendlerowej, Janie Karskim, Marku Edelmanie, Bronisławie Geremku czy Władysławie Bartoszewskim, który mógł bezpośrednio zwrócić się do wielkich tego świata – prezydentów, premierów i last, but not least kanclerzy – i powiedzieć im, by przestali się wygłupiać, bo to, co robią, przypomina coś bardzo paskudnego sprzed wielu lat. Świadectwo tych ludzi oraz zmarłego przed rokiem Mariana Turskiego jest ich darem dla Polski. Teraz od nas zależy, co z nim zrobimy. ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta.

eprasa.pl 7b63c07719

weekendówka 193

AHOJ!

Wszystko zaczęło się pół wieku temu, w 1956 roku, kiedy Zdenek Miler, czeski reżyser i rysownik, dostał polecenie – współpracował wówczas z praskim studiem Bratři v triku – nakręcenia filmu edukacyjnego o produkcji tkanin.

Scenariusz, który dostał, niezbyt przypadł mu do gustu, bowiem pełno w nim było technikaliów i trudnych, skomplikowanych opisów. Miler wolał, by produkcyjne zawiłości tłumaczył dzieciom ktoś sympatyczny, miły, z którym łatwo byłoby się zaprzyjaźnić i z ciekawością go słuchać. Znał oczywiście dzieła Disneya – studiował grafikę i ilustrację w Akademii Sztuk Stosowanych w Pradze (Uměleckoprůmyslová škola Praha) – ale szukał wyjątkowego bohatera. Pewnego dnia, w poszukiwaniu natchnienia, wybrał się na spacer do lasu. Wena nie nadchodziła do chwili, gdy pogrążony we własnych myślach Zdenek Miler potknął się i rymnął jak długi. Okazało się, że potknął się o kretowisko. Już wiedział, komu powierzy zadanie opowiedzenia o płótnie.

Ponoć oglądał mnóstwo zdjęć i ilustracji w zoologicznych albumach, ale ostatecznie, niezbyt zadowolony z tego, co zobaczył, postanowił zawierzyć wyobraźni.

- Kret nie widzi, a mój bohater nie mógł sobie na to pozwolić. W końcu oczy przemawiają do innych, pomagają wyrażać emocje i motywacje. Kret ma więc piękne, wyraziste, dociekliwe oczy. Na pierwszych rysunkach miał też trzy wąsy, ale stopniowo je usuwałem – opowiadał w wywiadzie, cytowanym przez gazeta.pl

Krecik zadebiutował w 1957 roku filmem „Jak krtek ke kalhotkám přišel", czyli „Jak Krecik dostał spodenki", w którym Krecikowi uszyć wymarzoną garderobę pomagały inne zwierzęta, m.in. krojczy rak czy tkacze - mrówki.

Historia spodobała się niemożebnie. Na Festiwalu Filmowym w Wenecji w 1957 roku zdobył Złotego Lwa za najlepszą reżyserię, zdobył też wyróżnienie na festiwalu w Montevideo. A dzieci były po prostu zakochane.

Miler wcale nie planował kontynuacji przygód Krecika, ale wobec fali popularności zwierzaka nie miał wyjścia. W 1963 powstał „Krecik i samochód", a w sumie 51 animowanych opowiastek.

W serii nie ma klasycznych dialogów. Nie ma też słów – Miler chciał, by jego opowieść była jak najbardziej uniwersalna - a charakterystyczne odgłosy, które wydawał Krecik, stworzyły córki Milera. One też tradycyjnie były pierwszymi recenzentkami kolejnych filmów.

Tak się składa, że dziś, 21 lutego przypada 105. rocznica urodzin Zdenka Milera. Dlatego dziś zapraszamy na krzyżówkę czeską.
Bavte se! ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl

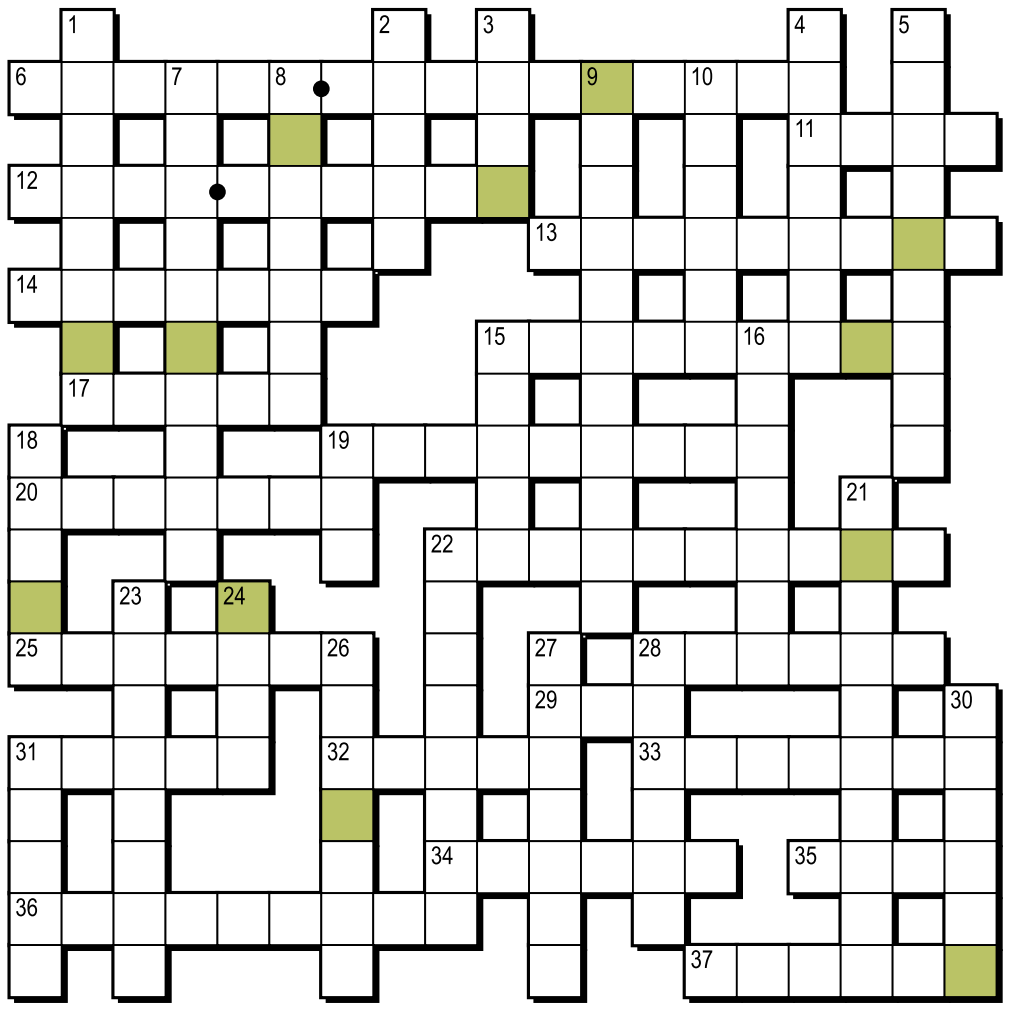

KRZYŻÓWKA CZESKA
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
6) najsłynniejszy wyścig konny rozgrywany w Czechach od 1874 r.
11) marka ciężarówek, które produkowano w Jabłońcu nad Nysą
12) jedno z najczęściej odwiedzanych przez turystów miejsc w Pradze
13) Ivan Lendl i Tomáš Berdych
14) polski imiennik Babisza, czeskiego premiera
15) Malá Strana, Staré Město lub Žižkov w Pradze
17) Auteczko z opowiadania Bohumila Hrabala
19) o Czechach – w książkach Mariusza Szczygła „Gottland", „Zrób sobie raj"
20) miasto, w którym kibicują Banikowi
22) polsko-czeskie góry
25) imię Nohavicy, piosenkarza i poety
28) nazwisko autora „Pociągów pod specjalnym nadzorem"
29) ... Farna, polsko-czeska piosenkarka („Bez łez")
31) ... Praski, dawna siedziba czeskich władców
32) imię autora powieści „Nieznośna lekkość bytu"
33) Ester, mistrzyni olimpijska w snowboardzie i supergigancie
34) pieniądze Czechów
35) duże miasto w pd.-wsch. Czechach
36) Czeszki, podobnie jak Irlandki albo Finki
37) kraina historyczna z Ołomuńcem

Pionowo:
1) entuzjasta, wielbiciel np. kultury czeskiej
2) miasto w południowych Czechach (z liter wyrazu „torba")
3) przepływa przez 20 poziomo
4) Czechy – husyci, Szwajcaria – ?
5) praskie wzgórze z Katedrą św. Wita
7) ... czeska (Haszek, Hrabal, Čapek, Kundera...)
8) czechosłowacki serial, w którym występował czarodziej Rumburak
9) Ukraina – rutenistyka, Czechy – ?
10) surowiec do produkcji ulubionego napoju Czechów
15) ... Przyjaźni Polsko-Czeskiej, szlak wytyczony w Karkonoszach
16) „Dobry wojak Szwejk w ..." (do diagramu w mianowniku)
18) sport Jaromíra Jágra, Dominika Haška
19) Czeski ..., region turystyczny nieopodal stolicy
21) Czeska ..., park narodowy
22) kluski popularne w kuchni czeskiej
23) Petr Čech
24) baśniowe stworzenie w herbie Trutnova
26) brodaty rozbójnik z Rzaholeckiego Lasu, ojciec Cypiska
27) stopień wojskowy Petra Pavla
28) imię Mlynkovej, wokalistki zespołu Brathanki
30) ... Chrobotek i jeleń Wietrznik, bohaterowie bajki Václava Čtvrtka
31) akwen taki jak Zbiornik Lipnowski czasem nazywany Czeskim Morzem

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 192 z 14.02:

Poziomo:
1) burak 4) spódnice 8) jaskółka 9) Apsik 11) herb 12) matadorzy 14) motyle 16) łąka 17) kredka 19) Amsterdam 21) rybki 22) indyk 24) Stuhr 25) Purpurowe Serce 27) zupa 29) Małołączniak 34) różowa cera 36) nosy 37) barwa 39) mgławica 40) cedry 41) karmazyn

Pionowo:
1) bajka 2) Ryszard 3) Królowa Kier 5) plamy 6) Chiny 7) korektor 10) piosenkarka 11) hełm 12) maki 13) znaki 15) osad 18) Erytrea 20) Disney 23) niedziela 25) uszy 28) Planeta 29) marchew 30) łoże 31) Ławka 32) Kanał 33) Moskwa 35) Armia 37) byk 38) rak

Hasło: CZERWONA KARTKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414082

Literówka · Quizy
Sudoku · Krzyżówki
Szukaj w APLIKACJI WYBORCZEJ

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację
POBIERZ Z Google Play
Pobierz w App Store
1 RP

eprasa.pl 7b63c07719

wysokieobcasy.pl

wysokie obcasy

wyborcza

08 / Społeczeństwo
Jedno dziecko czy więcej

24 / Psychologia
Co nowego w leczeniu depresji

MARIANNA ZYDEK

Planuję też zwykłe życie

– rozmowa Sandry Zakrzewskiej

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 8 (1379) SOBOTA – CZWARTEK, 21-26 LUTEGO 2026

eprasa.pl 7b63c07719

eprasa.pl 7b63c07719

W.KRUK

1 8 4 0

eprasa.pl 7b63c07719

Zdecyduj się

ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK

Jedno czy więcej? Decyzja o kolejnym dziecku dla wielu rodziców nie jest łatwa. Choć w badaniu CBOS z 2023 r. 47 proc. respondentów przyznało, że chciałoby mieć dwoje dzieci, ponad połowa Polaków wychowuje jedynaka lub jedynaczkę. Część z nas po prostu wie, że chce, albo wie, że nie chce. Ale wielu matkom temat spędza sen z powiek. Do tego biologia daje nam deadline, dlatego temat staje się gorący dla kobiet między 35. a 45. rokiem życia. Decyzja jest wypadkową wielu czynników – zarówno emocjonalnych, jak materialnych. No bo co z karierą, z ciałem, z opieką, z rozwojem osobistym?

Pierworodny Agaty, bohaterki tekstu Izabeli O'Sullivan, był dzieckiem nieodkładalnym, a brak wsparcia ze strony bliskich sprawił, że pierwsze lata macierzyństwa wspomina ona jako przytłaczające i trudne. Wbijanie syna w zimowy kombinezon, nerwowe szukanie kąta do karmienia, gdy byli na spacerze, wpatrywanie się w tykający zegar w oczekiwaniu, aż mąż wróci z pracy, i dojmująca samotność sprawiły, że na kolejne dziecko się nie zdecydowała. To nie była łatwa decyzja. Czuła powinność. „Chyba jesteśmy ostatnim pokoleniem, które myśli w kategoriach: róbmy, co trzeba, inni dali radę, zaciśnijmy zęby, dla dziecka lepiej, żeby miało rodzeństwo, żeby miał nam kto podać na starość szklankę wody" – mówi.

Marta, żeby podjąć decyzję, poszła po pomoc do terapeutki. Ania mimo trudnego pierwszego porodu podjęła decyzję o kolejnym dziecku i nie żałuje. Sylwia się nie zdecydowała na drugie, bała się ryzyka chorób genetycznych. Martyna i jej mąż źle wspominają kłótnie swoich rodziców z rodzeństwem i od razu chcieli mieć tylko jedno.

Według dr hab. Małgorzaty Sikorskiej z UW, socjolożki, na decyzje prokreacyjne ma wpływ wiele czynników: „Duże znaczenie mają różne rodzaje kosztów związanych z posiadaniem pierwszego dziecka, które, mimo rosnącego zaangażowania ojców, ponoszą przede wszystkim matki. Organizują codzienne życie rodziny, podejmują decyzje dotyczące najrozmaitszych kwestii związanych z opieką i wychowywaniem dziecka. (...) Koszty macierzyństwa mają także wymiar ekonomiczny i są związane z gorszą pozycją kobiet na rynku pracy, wynikającą z przerw na urlop macierzyński czy wychowawczy, z brania dni wolnych w sytuacji, gdy dziecko jest chore.

Tę opinię potwierdzają najnowsze badania, które pokazują, że matki w Europie są przeciążone. Według WHO około 10 proc. kobiet w ciąży i 13 proc. kobiet, które właśnie urodziły dziecko, cierpi na problemy ze zdrowiem psychicznym, w szczególności na depresję. Badanie Make Mothers Matter, obejmujące 9600 matek w 12 krajach europejskich, mówi o tym, że matki zgaszają lęki, depresję i wypalenie zawodowe. Dla wielu kobiet pogodzenie opieki nad dziećmi z pracą zawodową oraz z faktem, że muszą samodzielnie wykonywać większość obowiązków domowych, okazuje się zbyt trudne. Czy kogoś to dziwi? Jedno to dla wielu z nas dużo. ▲

Aleksandra Lubańska-Czubak – redaktorka „Wysokich Obcasów"

JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA"

- **TEMAT NUMERU:** Kultura wstydu. Skąd się bierze kobiecy brak akceptacji i jak się go pozbyć?
- **NA OKŁADCE** Joanna Brodzik: Nie boję się odsłonić i pokazać swojego miękkiego brzucha.
- **PSYCHOLOGIA:** Obrażanie się jest zgubną strategią.
- **TWARZE:** Magdalena Steczkowska: Nie jestem numerem sześć.

„Wysokie Obcasy Extra" już w sprzedaży z prezentem – skarpetkami złuszczającymi skórę lub maską w płacie.

www.wysokieobcasy.pl wysokieobcasy wysokieobcasy.pl listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Aleksandra Lubańska-Czubak

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska
Marta Rozenbajgier
Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Anna Woźniakowska
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylwia Sass

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska
INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Katarzyna Seiler
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEFOWA PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stożek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.
Na stronach 2-3, 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 8 (1379)
NA OKŁADCE:
MARIANNA ZYDEK
FOTY I CONCEPT
URSZULA OPITEK@URSZ.O

WŁOSY: ILYA BAHDANOVICH @FLOWERBASTARD, PRACA NA PRODUKTACH ORIBE;
STYLE: KATIA OLES @KATIAOLES; MAKE UP: YANA TERESHCHUK @YANKA_TERESHCHUK

eprasa.pl 7b63c07719

Wybierz bohaterkę 2025 roku – zagłosuj na www.wysokieobcasy.pl/superbohaterka, uzasadnij swój wybór i wygraj nagrodę!

14 historii, 15 wyjątkowych kobiet

Przeczytajcie o nominowanych na www.wysokieobcasy.pl/superbohaterka i zagłosujcie w plebiscycie „Wysokich Obcasów". To bohaterki, które spotkaliście na naszych łamach w zeszłym roku. Kobiety, które swoim życiem, postawą, wartościami rozpaliły waszą i naszą wyobraźnię. Które swoją śmiałością, swoją wizją zmieniają świat. Zarażają energią, siłą i niezłomnością. Potrafią przezwyciężać zarówno osobiste bariery, jak i społeczne czy polityczne ograniczenia. Czasami to osoby znane ze sceny, świata nauki, biznesu. Czasami rozpoznawane jedynie lokalnie czy tylko w swoim środowisku. Głosując na nasze Superbohaterki, możecie wygrać nagrody. Regulamin akcji jest dostępny na *www.wysokieobcasy.pl/superbohaterka*

NOMINOWANE W PLEBISCYCIE:

KATARZYNA BUTOWTT
URSZULA DUDZIAK
GIZELA JAGIELSKA
JULIA KAMIŃSKA
JOANNA KOWALCZUK
KLARA KOWALCZYK
WERONIKA MLICZEWSKA
SABINA OBWIOSŁO-BUDZYŃ
ANNA PRZEDPEŁSKA-TRZECIAKOWSKA
MAGDALENA RÓŻCZKA
NATALIA SKOCZYLAS I URSZULA CHOWANIEC
KATARZYNA SŁOMIŃSKA
ZUZANNA STAŃSKA
JOANNA TALEWICZ

5× Naszyjnik z mosiądzu pozłacanego kolekcja BeLoved od YES

5× Apaszka SOLAR x Wysokie Obcasy i Voucher o wartości 300 zł do wydania w sklepach stacjonarnych SOLAR

5× Zestaw fizjoterapeutyczny od GEDEON RICHTER

5× Kolekcja do pielęgnacji paznokci od NEONAIL

5× Zestaw kosmetyków NEO MAKE UP do makijażu

5× Zestaw 3 kosmetyków Anti-Âge Global od Yves Rocher

eprasa.pl 7b63c07719

Superbohaterka 2025

Wybierz bohaterkę 2025 roku, zagłosuj na www.wysokieobcasy.pl/superbohaterka

Świat jest pełen wspaniałych kobiet, Polska jest pełna wspaniałych kobiet. W każdym numerze przedstawiamy wam osoby, które robią rewolucję w świecie i zmieniają go na lepsze.

Co roku spośród naszych bohaterek wybieramy Superbohaterkę „Wysokich Obcasów”. Doceniamy odwagę, empatię, wrażliwość, wiarę w to, że można żyć inaczej. Bo Superbohaterka ma w sobie nieustępliwość, determinację, wyobraźnię. I potrzebę działania.

Superbohaterka inspiruje. Czasem wychodzi z siostrami na ulicę, innym razem walczy z systemem samotnie, w domowym zaciszu. Czasem musi wykrzyczeć swoją złość, innym razem wystarczy szczera opowieść, przełamanie tabu, by dokonać zmiany.

Przedstawiamy wam 14 historii i 15 kobiet nominowanych do tytułu Superbohaterki 2025 roku. Są wśród nich kobiety, które inspirują tym, co mówią, tworzą, śpiewają. Są kobiety, które pomagają innym i nie zostawiają nikogo bez wsparcia. Są podróżniczki, działaczki społeczne, sportowczynie. O tych bohaterkach mogłyście i mogliście przeczytać w zeszłym roku w „Wysokich Obcasach”. To one mają odwagę, by działać, naprawiać, przeciwstawiać się przemocy i językowi nienawiści.

Wybierzcie swoją Superbohaterkę. Czekamy na wasze głosy. ▲

JULIA KAMIŃSKA

aktorka, aktywistka
– za bezkompromisowość i odwagę w działaniu na rzecz praw kobiet w Polsce

URSZULA DUDZIAK

artystka, światowa ikona jazzu
– za śmiałość twórczą i inspirowanie kobiet, by miały odwagę żyć pełniej, radośniej

ANNA PRZEDPEŁSKA -TRZECIAKOWSKA-

powstanka
– za to, że nigdy nie milczy, gdy dzieje się krzywda

MAGDALENA RÓŻCZKA

aktorka
– za Fundację Ukochani, za walkę na rzecz rodzicielstwa zastępczego w Polsce

GIZELA JAGIELSKA

lekarka
– za to, że idzie jasną ścieżką w niejasnym prawie

eprasa.pl 7b63c07719

NATALIA SKOCZYLAS I URSZULA CHOWANIEC

aktywistki, autorki książki „Grubancypacja. O grubości bez przepraszania”
– za wyciąganie grubości ze sfery wstydu

ZUZANNA STAŃSKA

historyczka sztuki
– za aplikację Dailyart i jej międzynarodowy sukces

JOANNA KOWALCZUK

podróżniczka
– za zdobycie sześciu z siedmiu najwyższych wulkanów świata

JOANNA TALEWICZ

prezeska Fundacji W Stronę Dialogu
– za to, co robi na rzecz Romek w Polsce

KATARZYNA BUTOWTT

modelka, ikona polskich wybiegów
– za odważną opowieść o rodzinie i przełamanie tabu

KATARZYNA SŁOMIŃSKA

modelka, psycholożka, pacjentka onkologiczna
– za opowieść o tym, że kobiecość nie znika z usuniętymi piersiami

WERONIKA MLICZEWSKA

reżyserka filmu „Dziecko z pyłu”
– za wybitny film dokumentalny, świadectwo wielkiej wrażliwości i nietuzinkowego talentu

KLARA KOWALCZYK

pierwsza Polka w programie kartingowym F1 Academy
– za śmiałość w ściganiu się na torze wyścigowym

SABINA OBWIOSŁO-BUDZYŃ

założycielka Fundacji „Zapisane w mózgu”
– za książkę „Niewidzialna”, za upominanie się o osoby z alzheimerem

FOT. RAFAŁ MASŁOW, WOJCIECH OLKUŚNIK/DZIEŃ DOBRY TVN/EAST NEWS, WERONIKA ŁAWNICZAK/NETFLIX, HUBERT KOMERSKI, MACIEJ JEDRZEJEWSKI, KAROLINA JACKOWSKA, KAROL GRYGORUK, DAWID GRZELAK, ŁUKASZ GIZA/AGENCJA WYBORCZA.PL, ARCHIWUM PRYWATNE (4), VIPHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl 7b63c07719

eprasa.pl 7b63c07719

Jedno i *koniec*

Gdy syn skończył trzy lata, odetchnęliśmy z ulgą. Czuliśmy się tak, jakby ktoś nas wreszcie wypuścił z potwornych kleszczy.

eprasa.pl 7b63c07719

TEKST **IZABELA O'SULLIVAN**
RYSUNEK **JOANNA GNIADY**

Ponad połowa polskich rodziców wychowuje jedynaka lub jedynaczkę. To dominujący model rodziny w naszym kraju. Tymczasem z badań CBOS wynika, że najbardziej pożądana przez nas liczba dzieci to dwoje, na drugim miejscu troje, a tylko 11 proc. deklaruje, że chciałoby mieć jedno. Nasze wyobrażenia i aspiracje rozjeżdżają się z faktycznym stanem. Dla wielu osób decyzja o drugim dziecku jest trudna. Dlaczego decydujemy się na kolejne dzieci albo zostajemy przy jednym? Kilka par opowiada nam o swoich doświadczeniach.

SPRZECZNOŚĆ

Kilka lat po urodzeniu syna Marta zaczęła odczuwać presję, żeby pomyśleć o drugim dziecku. Pytania o kolejną ciążę były nieodłącznym elementem większości towarzyskich spotkań. Męczyło ją to do tego stopnia, że części znajomych zaczęła unikać.

Konsultacje już po kilku spotkaniach przyniosły klarowne odpowiedzi. Ekspertka pokazała Marcie kontrast pomiędzy tym, co mówią „zewnętrzne warunki" (nie ma żadnego obiektywnego przeciw), a jej własnymi potrzebami (nie chcę się w to znowu pakować). Wtedy uświadomiła sobie, że decyzja o dziecku jest subiektywnym wyborem i że to w stu procentach OK. – To było dla mnie totalne odcięcie i uwolnienie. Nabrałam pewności, że nie chcę mieć kolejnego dziecka. Mąż też poczuł ulgę, że nie będziemy już wracać do tematu – mówi.

Ich syn ma teraz osiem lat i nie wspomina, że chciałby mieć rodzeństwo. W rodzinie jest sporo dzieci, ma też z kim się bawić w sąsiedztwie. Marcie czasami zdarza się rozczulać – na przykład, gdy patrzy, jaki Filip jest opiekuńczy wobec maluchów, ale podjętą podczas terapii decyzję potraktowała jako finalną. Ich nowym domownikiem został pies i okazało się, że właśnie on był brakującym elementem. – Dla jedynaka posiadanie zwierzęcia to wspaniała sprawa. A ja dzięki długim spacerom z Brunem mocno się reguluję. Podczas nich mogę przejść się po lesie i pobyć sama. I mam usprawiedliwienie, bo to stworzenie ma swoje potrzeby – mówi Marta.

DOPASOWANI

Nieodkładalne – takim dzieckiem okazał się Franek, syn Agaty i Przemka. Długo też nie przesypiał nocy, co mocno nadszarpnęło ich biologiczny zegar. Gdy skończył dwa lata, wybuchła pandemia i z trudem radzili sobie w dwupokojowym mieszkaniu, próbując pogodzić domowy chaos z pracą. Na pomoc dziadków nie mogli liczyć, bo najpierw seniorzy bali się, że dziecko zbyt małe i kruche, a potem, że zaatakuje ich wirus.

Marzymy o dwójce, ale większość z nas decyduje się na jedno. *Społeczną powinność i presję na drugie odczuwamy prawie zawsze*

Ale temat istniał nie tylko na zewnątrz. W myślach też długo się z nim konfrontowała. – Czułam, że powinnam mieć drugie dziecko, ale nie wiedziałam, czy chcę. Obiektywne czynniki przemawiały na „tak", bo nie miałam żadnych problemów w pierwszej ciąży, syn rozwijał się dobrze i był spokojnym dzieckiem, stać nas było na opłacenie prywatnego żłobka i przedszkola, mieliśmy duży dom. Moja niepewność co do kolejnej ciąży wydawała się egoistyczną fanaberią, bo jedynym argumentem przeciw było to, że na urlopie macierzyńskim doskwierała mi ogromna samotność. Miałam też wrażenie, że w tamtym czasie spadło mi IQ – wyznaje 39-letnia Marta. Partner zapewniał, że jemu jedno dziecko wystarczy, ona ciągle czuła wewnętrzny niepokój. – Jestem osobą, która szybko podejmuje decyzje, a wtedy pierwszy raz byłam w miejscu, w którym nie potrafiłam tego zrobić. Stwierdziłam, że potrzebuję pomocy psychologa – opowiada.

– Poza tym moja mama to nie typ, który przychodzi i proponuje, że ugotuje zupę, tylko taki, który oczekuje herbatki i ciastka – śmieje się Agata. Właśnie brak wsparcia z zewnątrz sprawił, że pierwsze lata macierzyństwa wspomina jako przytłaczające i trudne. Wbijanie syna w zimowy kombinezon, nerwowe szukanie kąta do karmienia, gdy byli na spacerze, wpatrywanie się w tykający zegar w oczekiwaniu, aż mąż wróci z pracy. I dojmująca samotność, bo koleżanki albo były zajęte, albo na innym etapie życia. – Gdy syn skończył trzy lata, odetchnęliśmy z ulgą. Pamiętam rozmowę z mężem, w której oboje stwierdziliśmy, że czujemy się tak, jakby nas ktoś wypuścił z potwornych kleszczy. Z Frankiem już można było się dogadać i wreszcie poczuliśmy, że jesteśmy we trójkę dopasowani – opowiada.

Pojawiające się od czasu do czasu myśli o drugim dziecku tłumili racjonalnymi argumentami: za małe mieszkanie, kolejne koszty, bardziej skomplikowana logistyka. Do tej listy do-

eprasa.pl 7b63c07719

chodził strach przed urodzeniem chorego dziecka, bo Agata jest po czterdziestce. Biologia i instynkty wciąż jednak czają się pod spodem. – Miewam tak zwane momenty. Zdarzało mi się popłakać, gdy jakaś słodka dwulatka wdrapała mi się na kolana, bo zawsze bardzo chciałam mieć córeczkę – wyznaje. W takich chwilach stara się sobie szybko przypomnieć swoje macierzyńskie początki i wtedy już jest pewna, że ponowna decyzja o dziecku to byłby zły wybór. – Część ludzi chyba zapomina, jaka to była droga przez mękę, innymi może kieruje poczucie powinności. Chyba jesteśmy ostatnim pokoleniem, które myśli w kategoriach „róbmy, co trzeba, przecież inni też dali radę, zaciśnijmy zęby, dla dziecka lepiej, żeby miało rodzeństwo, kto nam poda na starość szklankę wody?". Zdecydowaliśmy z mężem, że zostajemy przy jedynaku, chociaż to trudna decyzja, patrząc na to, co dzieje się wokół. Nasi znajomi najczęściej mają dwójkę – mówi Agata.

Ile obecnie jest w Polsce gospodarstw z jednym dzieckiem i czy widać zmianę w dominującej wielkości rodziny na przestrzeni ostatnich lat? Dr hab. Małgorzata Sikorska z Wydziału Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, która zajmuje się socjologią życia rodzinnego oraz przemianami współczesnego społeczeństwa polskiego, powołuje się na ostatnie dane z Narodowego Spisu Powszechnego z 2021 roku: – 54 proc. rodziców wychowuje jedynaka lub jedynaczkę, 35 proc. ma dwoje dzieci, a 11 proc. troje lub więcej. Dane z poprzedniego spisu, przeprowadzonego w 2011 roku, są bardzo podobne. Różnice stają się wyraźniejsze dopiero wtedy, gdy sięgniemy do starszych danych. Wyniki ze spisów z 2002 i 1988 roku pokazały, że rodzin wychowujących jedynaków i jedynaczki było mniej niż połowa (odpowiednio: 47 proc. i 40 proc.). Oznacza to, że w dłuższej perspektywie rośnie odsetek rodzin z jednym dzieckiem wśród wszystkich rodzin z dziećmi. Jeśli weźmiemy pod uwagę spadający wskaźnik urodzeń, który w ostatnich kilku latach zmniejsza się szczególnie dynamicznie, można zaryzykować tezę, że obecnie rodzin z jednym dzieckiem jest więcej niż w 2021 roku – analizuje specjalistka.

KUMPLE

Młody lekarz, KTG bez zapisu, decyzja o cesarce w ostatniej chwili. Syn Ani dostał dwa punkty w skali Apgar. W piątej minucie reanimacji złapał oddech, a potem leżał w inkubatorze, mimo ponad trzech kilogramów wagi. Miał martwicę skóry – u rąk do łokci i u nóg do kolan. Przez pierwszy miesiąc Ania prawie nie zmrużyła oka, bo Krystian po reanimacji miał uszkodzoną krtań i powiedzieli jej, że jeśli zaniesie się płaczem, to może się udusić. Czuwała przy nim bez ustanku.

Po traumatycznym porodzie długo dochodziła do siebie psychicznie, ale też fizycznie. Nie pomagały okoliczności zewnętrzne, bo mąż na wieść o ciąży postanowił zapisać się do wojska. Wrócił dopiero, gdy mały miał pół roku, a niedługo potem okazało się, że życie w koszarach nauczyło go nie wylewać za kołnierz.

Krystian dochodził do siebie i rozwijał się dobrze, ale Ania w ogóle nie myślała o kolejnym dziecku. Tak było przez cztery lata, do momentu pogrzebu. – Kuzyn, który jest jedynakiem, stracił rodziców. Najpierw zmarł wujek, a pół roku później ciocia. W dniu jej pochówku, gdy zoba-

tołpa.®
liquid needles therapy
NOWOŚĆ
MIKROIGIEŁKOWA PIELĘGNACJA.
+41% elastyczność*
+56% nawilżenie*
-22% szorstkość*

TECHNOLOGIA DOSTARCZANIA SKŁADNIKÓW AKTYWNYCH
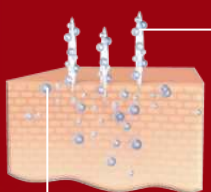

mikroigiełki II generacji z kwasem hialuronowym do 100 tysięcy** w całym produkcie
Tylko tu!
ROSSMANN Moja Drogeria
i na tolpa.pl
Odkryj wszystkie produkty
*badania aparaturowe, maksymalne wyniki **dotyczy liftingującego serum z mikroigiełkami
OGŁOSZENIE

eprasa.pl 7b63c07719

czyłam Marcina w rozpaczy nad grobem, pomyślałam, że nie chciałabym, żeby mój syn tak po nas płakał i nie miał z kim tego bólu podzielić – opowiada. Zaświtało jej w tamtym momencie, że chciałaby mieć drugie dziecko, ale nie poruszyła tematu z mężem. – To już nie było fajne małżeństwo. Czułam coraz większy żal i wstręt do tego człowieka – wyznaje.

Sprawy potoczyły się same, a kolejnym przełomowym momentem znowu był pogrzeb – tym razem najlepszego przyjaciela Ani. Dwa tygodnie później dowiedziała się, że jest w ciąży. Dziś Krystian i młodszy o sześć lat Marcel są parą najlepszych kumpli. Obaj dorośli, lecz ciągle w kontakcie, dostępni dla siebie o każdej porze dnia i nocy. Ania rozstała się z mężem, ale czuje dumę i radość, że wtedy podjęła decyzję o drugim dziecku.

W 2023 roku CBOS zapytał Polaków, jaka jest najbardziej pożądana przez nich liczba dzieci.

– 47 proc. respondentów odpowiedziało, że dwoje, 18 proc. deklarowało, że chciałoby troje dzieci, a jedynaka – tylko 11 proc. Na podstawie tych danych widzimy, że wyobrażenie o „typowej", „modelowej" rodzinie odnosi się do tej z większą niż jedno liczbą dzieci, niezależnie od faktycznych trendów demograficznych – zauważa dr hab. Małgorzata Sikorska.

WARUNKI

Sylwia instynkt macierzyński poczuła po trzydziestce. W jej planach od razu było dwoje dzieci, najlepiej z małą różnicą wieku. Gdy urodziła córkę, była w trakcie robienia specjalizacji diagnostycznej. Okazało się, że rzeczywistość nie jest tak różowa jak w pierwotnych wyobrażeniach. – Finansowo układało się różnie, dyżurowałam w kilku miejscach, mąż trafił w tamtym okresie na niezbyt dobrego pracodawcę, który ostatecznie go oszukał. Doszliśmy do wniosku, że nie możemy pozwolić sobie na drugie dziecko, mając jednocześnie kredyt na mieszkanie – wyjaśnia. Kilka lat później, gdy materialnie byli w lepszej sytuacji, górę zaczęły brać obawy przed chorobami genetycznymi i Sylwia nie zdecydowała się na kolejną ciążę.

Pocieszała się, że Adzie brak rodzeństwa rekompensuje kuzynka, bo siostra Sylwii urodziła córkę dwa lata po niej. Mieszkają w jednym bloku, dzieli ich jedno piętro. Na dodatek ich mężowie to również bracia, więc wszyscy są naprawdę blisko. Dziewczynki nieraz mówiły o sobie jak o siostrach, a ich mamy kupowały podwójne ubrania i zabawki.

Ada ma dziś 17 lat i Sylwii przykro, gdy pomyśli, że córka lada moment wyprowadzi się z domu.

– Jest świetną, mądrą kobietą, ciekawą świata, z oryginalnymi pasjami. Ostatnio zainteresowała się lutowaniem, gra na basie w kapeli. Jest też działaczką młodzieżowej rady powiatu. Cudownie byłoby mieć jeszcze jedną tak wspaniałą osobę jak ona. Pod takim kątem do tej pory mi szkoda, że nie mamy drugiego dziecka – mówi Sylwia.

Według dr hab. Małgorzaty Sikorskiej na decyzje prokreacyjne ma wpływ wiele czynników i trudno wyróżnić ten dominujący. – Moim zdaniem duże znaczenie mają różne rodzaje kosztów związanych z posiadaniem pierwszego dziecka, które, mimo rosnącego zaangażowania ojców, ponoszą przede wszystkim matki. Organizują codzienne życie rodziny, podejmują decyzje dotyczące najrozmaitszych kwestii związanych z opieką i wychowywaniem dziecka,

ponoszą odpowiedzialność za dziecko i w tym sensie ponoszą koszty emocjonalne. Ojcowie, choć angażują się w nieporównywalnie większy sposób niż poprzednie pokolenia, wciąż często pełnią rolę „pomocników matek" oraz specjalistów, ale w jednym obszarze: zabaw z dziećmi. Poza tym wciąż istnieje presja społeczna dotycząca roli matki, od której oczekuje się stawiania potrzeb dziecka ponad własnymi aspiracjami zawodowymi i osobistymi. Koszty macierzyństwa mają także wymiar ekonomiczny i są związane z gorszą pozycją kobiet na rynku pracy, wynikającą z przerw na urlop macierzyński czy wychowawczy, z brania dni wolnych w sytuacji, gdy dziecko jest chore itd. Doświadczenie tak rozumianych kosztów przy pierwszym dziecku sprawia, że wiele kobiet i wiele par nie decyduje się na kolejne – wyjaśnia socjolożka.

DZIEDZICTWO

Martyna i jej mąż byli zgodni i nigdy nie mieli wątpliwości: chcieli mieć jedno dziecko i koniec. Na tę decyzję wpłynęły doświadczenia z domu. Oboje jej rodzice pochodzą z rodzin wielodzietnych, a Martyna z dzieciństwa pamięta głównie napięcia i konflikty. Bywało, że kończyły się w sądzie. Kość niezgody stanowiły pieniądze, ale też wzajemne oczekiwania, na przykład dotyczące pomocy.

– Jestem jedynaczką, rodzice nie izolowali mnie od tych problemów. Przesiąkałam nerwowością, a z czasem zaczęłam zauważać i rozumieć więcej. Człowiek wyciąga wnioski z pewnych sytuacji – podkreśla. Jej przeżycia nie okazały się odosobnione, bo teściowa również miała na pieńku z rodzeństwem. Przed tego typu okolicznościami postanowili więc z mężem uchronić swoje dziecko.

Gdy Bartek skończył dwa lata, zaczęły się pytania, kiedy drugie, i nawet przemknęło im przez myśl: „może jednak?". Postanowili jednak trzymać się pierwotnego planu. Ulżyło im, gdy się okazało, że syn nie przejawia żadnego zainteresowania posiadaniem rodzeństwa. – Stwarzamy mu możliwości budowania relacji z rówieśnikami i myślę, że nie odczuwa braku towarzystwa. Jesteśmy zaangażowanymi rodzicami, ale nie mamy poczucia, że jakoś specjalnie musimy dbać o niego, bo jest jedynakiem. Bycie we troje pozwala za-

eprasa.pl 7b63c07719

chować równowagę. Cieszę się, że nie musimy przechodzić od nowa różnych etapów – stwierdza Martyna.

A co z rodzinami, w których rodzeństwa dogadują się świetnie i są dla siebie wsparciem? Czy taka wizja i nadzieja nigdy nie była dla nich kusząca? – Nie znam nikogo, kto miałby w tym zakresie pozytywne doświadczenia. Otaczam się ludźmi, którzy w najlepszym razie mają z rodzeństwem relacje neutralne – mówi.

Decyzja Martyny i jej męża nakierowana jest na dobro dziecka, ale co ze społecznym odbiorem? Czy rodzice wychowujący jedynaka postrzegani są w Polsce jako egoistyczni? Zdaniem dr hab. Małgorzaty Sikorskiej tak nie jest, bo w naszym kraju model rodziny dwa plus jeden to wzorzec dominujący, przez co trudniej go dyskryminować. – Gdy rodzice jedynaka widzą, że w grupie przedszkolnej lub w klasie w szkole większość koleżanek i kolegów ich dziecka nie ma rodzeństwa, raczej będą mieli poczucie, że ich wybór albo sytuacja życiowa mieści się w tym, co powszechne, a przez to „normalne" – zauważa ekspertka. – Co więcej, wydaje mi się, że w dyskursie publicznym widoczny jest raczej negatywny obraz rodzin wielodzietnych. Było to szczególnie wyraźne, gdy wprowadzono program 500 plus. Wtedy pojawiło się wiele negatywnych opisów takich rodzin – mówiono o rodzinach „patologicznych", w których rodzice nie zajmują się dziećmi, nie pracują i liczą na pieniądze od państwa. Jeśli więc któryś z modeli rodziny miałby być w Polsce postrzegany negatywnie, to raczej byłyby to duże rodzin niż rodziny z jednym dzieckiem – dodaje.

PRZESTRZEŃ

Kamila i Grzegorz do tematu dzieci podeszli z porządnym planem. Postanowili poczekać z zakładaniem rodziny do momentu, aż oboje skończą trzydziestkę, by dać sobie przestrzeń na rozwój zawodowy i osiągnięcie finansowej stabilizacji. – Zależało nam, żeby zadbać o takie zaplecze. W momencie, gdy pojawi się dziecko, chciałam móc wszystko odstawić i zająć się macierzyństwem – podkreśla Kamila. I rzeczywiście, od pierwszych dni po porodzie całkowicie poświęciła się Zosi. Pierwszy rok życia córki wspomina jako sielsko-anielski. – Nie doświadczyliśmy kolek ani nieprzespanych nocy. Mocno rozluźniło się nasze życie towarzyskie, ale to było dla mnie naturalne i nigdy nie miałam dylematu: iść na imprezę czy zostać z dzieckiem – opowiada. Gdy Zosia skończyła rok, Kamila znów mogła zawodowo się rozwijać, ale zupełnie zmieniła kierunek. Wcześniej pracowała jako wykładowczyni akademicka, teraz pojawił się pomysł, by założyć fundację i zająć się tematami parentingowymi. – Mogłam mnóstwo rzeczy zrobić z córką. Uczestniczyła w naszych fundacyjnych działaniach, ale nie wykorzystywałam jej jako narzędzia, tylko swoją rolę matki traktowałam jako narzędzie do stworzenia czegoś wartościowego dla innych rodziców – wyjaśnia.

Gdy Zosia skończyła cztery lata, pomyśleli, że cudownie byłoby mieć jeszcze jedno dziecko, ale trudno im było się na nie zdecydować. Byli już na etapie, gdzie mogli znów zadbać o karierę, wrócili do spotkań ze znajomymi i małżeńskich randek, na nowo przywykli do komfortu. Z rachunku prawdopodobieństwa wychodziło im też, że drugie dziecko może już nie być tak spokojne i trochę się bali, że dostaną w kość. Po dwóch latach wątpliwości i zadawania sobie pytań Kamila ustaliła datę graniczną: jeśli ma być drugie dziecko, musi zajść w ciążę do czterdziestki. Uwinęli się szybciej, bo urodziła w wieku 39 lat.

Stasiu okazał się równie spokojny jak siostra, a Kamila znów poświęciła się macierzyństwu w stu procentach. – W ważnych dla siebie chwilach nie lubię być na pełnych obrotach. Świadomie zrezygnowałam z innych przestrzeni, żeby być w tej – zaznacza. Stasiu ma teraz dwa lata, Zosia dziewięć, a Kamila mówi, że czas po ich urodzeniu był w obu przypadkach najcudowniejszym doświadczeniem w jej życiu. ▲

*** Imiona niektórych bohaterek zostały zmienione na ich prośbę.**

OGŁOSZENIE

Duch prababci Ireny

Cały czas muszę pracować nad pewnością siebie. Nad tym, że mam prawo odmówić, wyjść bez tłumaczenia się albo w ogóle nie wchodzić w interakcję

eprasa.pl 7b63c07719

Z **MARIANNĄ ZYDEK**, AKTORKĄ, ROZMAWIA **SANDRA ZAKRZEWSKA**
FOTY I CONCEPT
URSZULA OPITEK @URSZ.O

Spotykamy się w ØL3, twoim barze. Trudniej utrzymać się z aktorstwa czy gastronomii?
– Zacznę od tego, że angażując się w sprawy baru, powiedziałam sobie, że to ma być tylko przyjemność.

To jest możliwe?
– Stwierdziłam, że jeśli zacznie mi to w jakikolwiek sposób doskwierać, będzie zbyt dużo pracy albo stresu, to zrezygnuję. Nie traktuję tego miejsca typowo biznesowo, zależy mi, żeby zachowało swój charakter i było przestrzenią, gdzie różni ludzie mogą się spotkać i porozmawiać przy dobrym winie. Niewiele rzeczy jest w stanie mnie tu wyprowadzić z równowagi.

Zawsze marzyłaś o własnym lokalu?
– Odkąd pamiętam, lubiłam kawiarnie i bary. Kiedy przeprowadziłam się z Łodzi do Warszawy, w taki sposób oswajałam się z nowym miastem. Szukałam miejsc, gdzie mogłabym poznać nowych ludzi. Tak było z barem, w którym teraz jesteśmy. Szybko stał się moim ulubionym miejscem. Poznałam tu mnóstwo osób, z którymi do dziś się przyjaźnię. A miejsce, które tak polubiłam, założył człowiek, z którym się związałam, mój obecny partner.

I poczułaś, że chcesz się sprawdzić w prowadzeniu baru?
– Po dwóch latach naszego związku pojawiła się ważna decyzja do podjęcia w sprawie tego miejsca. Postanowiłam w to wejść. Ta decyzja zapadła półtora roku temu i cieszę się z niej, bo widzę, że przetrwaliśmy w takiej formie, w jakiej to sobie założyliśmy. Przychodzi tu dużo osób z zagranicy, nawiązują się znajomości. Czują się tu bezpiecznie.

To zupełnie inny rodzaj satysfakcji niż ten po skończonych zdjęciach?
– Absolutnie. Dzięki temu, że mogę dbać o to miejsce, mam dobrą równowagę pomiędzy tym, co się dzieje w zawodzie, co jest bardzo oderwane od rzeczywistości, a tym, z czym mam do czynienia tutaj, czymś bardzo przyziemnym.
Nie prowadziłam nigdy żadnego biznesu, nie zajmowałam się liczeniem, budżetami, a teraz muszę się orientować. To dobrze wpłynęło na moje życie. Czuję się przez to bardziej dorosła.

Do aktorstwa też podchodzisz jak do biznesu, czyli z chłodną głową i nic nie jest w stanie wyprowadzić cię z równowagi?
– Staram się mieć takie podejście. Tu rzeczy ciągle się zmieniają. Coś przychodzi, coś przepada. Nie dostaniesz jednego projektu, to zagrasz w innym. Ostatecznie twój wpływ na tę sytuację jest dość niewielki, a nigdy nie wiadomo, co tak naprawdę złapie cię za serce. Liczy się dla mnie bardziej flow niż ambicjonalne patrzenie na rozwój kariery. To, co najbardziej kocham w tym zawodzie, to że w głowie jesteś w nieustannej podróży. Nowi ludzie, rola, z którymi się mierzysz, wciąż coś nowego.

Domyślam się, że przy pierwszych filmach, kiedy wchodziłaś do tego świata, o dystans było trudniej.
– Miałam to szczęście, że pierwszy film, w którym zagrałam, został bardzo dobrze odebrany. Zresztą dalej spotyka się z dobrymi reakcjami. Później było różnie, ale nie mam nawyku czytania komentarzy na mój temat. Najbardziej obchodzi mnie, co powie mój chłopak i co pomyślą moi przyjaciele. Reszta jest na szarym końcu. Zresztą wiele z tych opinii dotyczy mojego wyglądu, więc nie ma możliwości, żeby się do tego odnieść. Ładna czy brzydka? Ha, no co zrobisz, opinie zawsze będą różne. Z tym wiąże się ten zawód.

Czy praca aktorki albo czas spędzony w szkole filmowej sprawiły, że masz jakieś kompleksy?
– Tak naprawdę to nigdy nie pozbyłam się tych, które miałam od zawsze. I niekoniecznie jest to spowodowane tym, że ktoś mnie ocenia – ja sama to robię. Jeśli chodzi o szkołę, to był dla mnie bardzo dobry czas. Nie miałam traumatycznych doświadczeń, które by się na mnie odbiły, ale byłam świadkinią kilku niechlubnych zachowań profesorów, którzy już tam nie uczą, więc wiem, że doświadczenia mogą być różne. Ja przeżyłam czas bogatej eksploracji i zawiązywania przyjaźni, więc lubię tam wracać.

Zadebiutowałaś jeszcze podczas szkoły nagradzanym filmem „Kamerdyner". Pierwsze zderzenie z filmowym światem i popularnością było trudne?
– „Kamerdyner" faktycznie był pokazywany na festiwalach, dostał nagrody, ale nie mam poczucia, żeby był masowo oglądany. Najtrudniejsza chyba była do przepracowania chęć, żeby ten stan, ten wytworzony siłą wyobraźni świat, trwał cały czas. Pierwsze przeżycie tego rodzaju potrafi być tak silne, że długo się po nim zbierasz. Minęło trochę czasu, zanim nauczyłam się nie wytrącać z mojego rytmu. To jest trudne, by z tak intensywnego trybu przejść do zwykłego życia: wstawać rano bez adrenaliny, bez emocji, które musisz mieć na wierzchu cały czas w trakcie zdjęć. Żeby wyjść rano z psem i powiedzieć sobie, że dzisiaj w planach możesz nie mieć nic szczególnego i to dalej będzie dobry dzień.

Był już moment, że miałaś dość, że czułaś znużenie?
– Chyba nie. Może kiedyś czułam żal, że nie każdy projekt jest napisany tak, jakbym chciała. Że nie każdy opowiada „wielką historię". To idealistyczne podejście cechuje całą moją rodzinę, muszę z tym czasem walczyć. Teraz jest inaczej. Lubię to, że projekty są różne, otwierają mnie na różne perspektywy.

Nie ma ról, których żałujesz?
– Oczywiście, że są, ale nie będę wymieniać tytułów (śmiech). Chociaż „żałuję" to chyba nie jest właściwe słowo. Na pewno są produkcje, z którymi się nie afiszuję. Podjęcie decyzji o wzięciu udziału w projekcie nie jest łatwe, bo nigdy nie wiesz, jaki będzie efekt końcowy ani co czeka za rogiem. Ale lubię moją filmografię, bo jest różnorodna i pozwoliła mi pracować na wielu planach, a to cenne.

Czy dziś, kiedy mamy tak dużo platform, tych ciekawych ról dla kobiet jest więcej?
– Z jednej strony jest o wiele więcej projektów na rynku i w związku z tym ról dla kobiet, i to jest super; z drugiej jest sporo takich filmóe, które są spłaszczone i sformatowane pod konkretnego widza, i ta tendencja jest dla twórców ciężka. Sama niedawno zagrałam w dwóch produkcjach Netfliksa, gdzie miałam możliwość zmierzyć się z różnorodnymi postaciami kobiecymi, i bardzo jestem ciekawa, jaki kształt przyjmą oba te filmy w ostatecznym montażu.

Jeden z nich to „Czarna Wołga", film, który przybliża mroczne życie w PRL-u. Spotkałaś się na planie z reżyserem Piotrem Subbotką, co było twoim marzeniem.

WŁOSY: ILYA BAHDANOVICH @FLOWERBASTARD. PRACA NA PRODUKTACH ORIBE; STYLE: KATIA OLES @KATIAOLES; MAKE UP: YANA TERESHCHUK @YANKA_TERESHCHUK

eprasa.pl 7b63c07719

– Tak, to wynik serii ciekawych przypadków. Kilka lat temu na festiwalu filmowym w Gdyni mój brat, którego gust filmowy bardzo cenię, obejrzał większość filmów z konkursu i powiedział, że jego zdaniem najlepszy to „Dziura w głowie" Piotra Subbotki. Nie miałam wtedy dużo czasu, więc zobaczyłam ten film jako jeden z niewielu, i się zachwyciłam. Obraz nie trafił do szerokiej publiczności, ale widziałam go potem jeszcze kilka razy w różnych okolicznościach i za każdym razem przemówił do mnie na innym poziomie. Niektóre kadry zrobiły na mnie duże wrażenie. Śmieję się, że wryły mi się w tytułową „dziurę w głowie". Więc kiedy wiosną zeszłego roku dostałam zaproszenie na casting do filmu „Czarna Wołga" w reżyserii Piotra Subbotki, świetnie się do niego przygotowałam. Myślę, że moja determinacja zaskoczyła zarówno reżyserkę castingu Nadię Lebik, jak i reżysera. Później okazało, że to ona zaproponowała mnie do tej roli. Ale moje przeczucie, że to rola dla mnie, się sprawdziło.

Jak wspominasz pracę na planie?
– Niestety jako pierwsze przychodzą mi zawsze do głowy momenty, w których czuję, że mogłam coś zrobić lepiej, a dopiero potem miłe wspomnienia. Takim było na przykład spotkanie z operatorem, Pawłem Edelmanem, który swoją spokojną, pewną energią motywuje wszystkich dookoła do sięgania po szczyty profesjonalizmu.
W moim przypadku utrudnieniem było to, że wielu rzeczy, na przykład sztuczek karcianych, musiałam nauczyć się na krótko przed rozpoczęciem zdjęć. Ciężko było połączyć skupienie na planie z precyzyjnym wyrzuceniem asa wprost przed obiektyw. Na szczęście miałam wsparcie mojego partnera filmowego, Michała Balickiego, i wielu wspaniałych ludzi z ekipy. To jeden z takich planów, które się dobrze wspomina.

O jakiej roli marzysz?
– Mój brat, który jest pilotem – od razu dodam, że mam trzech braci, ale znowu mówię o tym, o którym już wspominałam – zabrał mnie ostatnio na lekcję latania Cesną. I potem pomyślałam, że nasze zawody mają coś wspólnego – mam na myśli zmianę perspektywy. W aktorstwie przechodzisz ją, mentalnie, wchodząc w postać, a jako pilot wybijasz się ponad warstwę chmur i patrzysz na szeroki horyzont, skąd wszystko wygląda inaczej. Ciężko mi sobie wyobrazić lepsze przygotowanie do roli niż nauka latania, więc mogę powiedzieć, że marzę o zagraniu jakiejś fajnej pilotki. Chociaż wolę, jak coś przychodzi do mnie samo.

MARIANNA ZYDEK

aktorka filmowa i teatralna, rocznik 1993, Gdańszczanka. Jest absolwentką PWSFTviT w Łodzi. Uznanie przyniosły jej role: w filmach „Kamerdyner" i „Simona Kossak" oraz w serialach „Skazane" i „Warszawianka"

À propos rodzeństwa, byłaś wychowywana na grzeczną dziewczynkę?
– Uczono mnie, żeby zawsze mieć swoje zdanie i go bronić, ale był też ten sznyt, który wymagał dobrego wychowania, szacunku dla dorosłych i tak dalej. Myślę, że były w tym dobre intencje, ale cały czas muszę pracować nad pewnością siebie. Nad tym, że mam prawo odmówić, wyjść bez tłumaczenia się albo nie wchodzić w interakcję. Że wbrew temu, co mam zaprogramowane, nie jestem odpowiedzialna za czyjeś uczucia.

Rola Glorii, stanowczej, chwilami brutalnej siostry Simony Kossak, pomogła ci w budowaniu pewności siebie?
– Tak, bo mogłam postawić się w sytuacji kogoś, kto robi wszystko, na co ma ochotę, do tego stopnia nawet, że świadomie krzywdzi ludzi. Fascynował mnie jej brak granic, zwłaszcza że to prawdziwa postać. To była mikroskopijna rola, ale czułam, że znacząca. Pomyślałam potem: „Okej, skoro umiałam to zagrać, to znaczy, że mam coś z tego w sobie".
Często łączę grane przeze mnie postaci z kobietami w mojej rodzinie. Podobnie było w „Czarnej Wołdze". Moja postać, Irena, nosi imię mojej prababci, która jest mi bliska. To nic konkretnego, ale bardzo pomaga w tworzeniu postaci mieć jakiegoś „ducha", który nad nią czuwa.

Czy kobiety w twojej rodzinie były związane ze sceną?
Im więcej starszych ludzi w mojej rodzinie odchodzi, tym bardziej wszystko jest owiane tajemnicą. Praprababcia śpiewała w operze, ale matka jej zakazała, więc używała innego nazwiska. Podobno jak jej postać umierała w trakcie przedstawienia, nie wychodziła na oklaski. Moja babcia pięknie gwizdała i śpiewała, ale głównie dzieciom. Na mojej mamie umiejętności wokalne niestety się kończą. Ale chyba jest spora szansa, że te ciągoty są u mnie odziedziczone.

Czy masz obawy, że możesz dostać łatkę „trudnej aktorki"?
– Bardzo możliwe, że już teraz ją mam (śmiech). Zaraz po studiach bardzo mi zależało, żeby nie dostać takiej łatki. Chciałam pokazać, że jestem na równi ze wszystkimi i chcę pracować. Trochę mnie to wywiodło w pole, bo bardziej myślałam o zadowoleniu kogoś niż wypracowywaniu satysfakcjonującego kompromisu. Zdarzały się więc projekty, gdzie nosiłam kostiumy, których szczerze nienawidziłam i które oddalały mnie od postaci, bo bałam się o tym mówić, żeby nie wejść w konflikt. Teraz zależy mi na dojściu do czegoś wspólnie, nawet jeśli ma to kosztować więcej czasu i energii.

Zagrałaś w krótkometrażowym filmie „Czwartek", który opowiada o dniu z życia dziewczyny przeprowadzającej aborcję. Propozycji zagrania w nim nie przyjęłaś od razu. Dlaczego?
– Zależało mi na tym, żeby temat aborcji nie został przedstawiony czarno-biało, jako dobry lub zły wybór. Chodziło o ukazanie złożonego spektrum uczuć, które mogą się pojawić w kontekście aborcji. Dla mnie to są delikatne kwestie. Każda kobieta ma prawo czuć coś innego w tej sytuacji. Dalej wiele kobiet się nie przyzna, że miało aborcję. Nie chciałyśmy tym filmem mówić, co jest dobre, a co złe, ale że temat istnieje, mimo że wiele osób wolałoby go przemilczeć. Bren, reżyserka filmu, poprzez rozmowy z kobietami w różnym wieku zebrała duży materiał dokumentalny, żeby wiarygodnie oddać to doświadczenie w filmie. Wiele z nich pierwszy raz o tym opowiedziało właśnie jej. Dzięki temu miałam poczucie, że moją rolą opowiadam historię wielu kobiet, których nikt do tej pory nie wysłuchał.

Jesteś zadowolona z ostatecznego efektu?
Myślę, że to udany film. Zarówno w warstwie przekazu, jak i wizualnie. Kręciliśmy go na taśmie, co było z jednej strony trudnością (jeden, maksymalnie dwa duble na ujęcie), a z drugiej było bardzo motywujące. Jako aktorka wiesz, że musisz się mocno skupić, zwłaszcza w emocjonalnych scenach. Ale wiesz też, że nikt cię nie zamęczy czterdziestoma dublami ujęcia, jak płaczesz. I to jest dobra wiadomość. Bren i cała ekipa, złożona głównie z kobiet, wypracowała świetny rytm i skupienie. Myślę, że film mimo krótkiego metrażu, potrafi miejscami zaskoczyć, bo dość często zmienia charakter, co w moim odczuciu oddaje huśtawkę nastrojów bohaterki.

eprasa.pl 7b63c07719

Nie tylko fragmenty z „Czwartku", ale też scena z filmu „Simona Kossak" z udziałem Glorii była emocjonalna. Masz swoje sposoby na radzenie sobie z trudnymi emocjami swoich postaci?
– Chciałam pisać pracę magisterską na temat „wychodzenia z roli". Od profesora zdobyłam nawet numer do Agaty Kuleszy i wysłałam do niej SMS-a z pytaniem, jak ona to robi. Odpisała, że nie ma w tym temacie nic do powiedzenia, bo po prostu wychodzi i już. Napisałam w końcu magisterkę na inny temat, ale dalej mnie to nurtuje. Z każdym kolejnym projektem jest łatwiej, ale gdy kończę emocjonalny dzień zdjęciowy, to zazwyczaj muszę wrócić do domu, położyć się i przez dłuższy czas patrzeć w sufit.

Pomagają ci jakieś nawyki, rutyna?
– Staram się po prostu wyciszać. Robię dzban rumianku, włączam zmywarkę, żeby szumiała, robię ćwiczenia oddechowe. Ale najbardziej pomocne są zwierzęta. Mam psa i kota, których zabawę mogę obserwować bez przerwy. To jest lepsze niż reelsy. Ostatnio udało mi się też wdrożyć trochę zdrowszy tryb życia, w tym chodzenie na siłownię, i jestem w szoku, ile dobrego zadziało się w moim życiu, dzięki temu. Regularność ćwiczeń, a zwłaszcza podnoszenie ciężarów, świetnie oczyszcza z ciężkich emocji.

Nie masz problemu ze scrollowaniem?
– Jasne, że mam. Szczerze mówiąc, nie znam człowieka, który nie ma obecnie tego problemu, nawet starsze pokolenia to robią. Nie oglądają może Instagrama, ale sprawdzają wiadomości, Facebooka etc. Mnie dość mocno wciągnęło Vinted, a ostatnio rozmowy z chatem GPT. Czasem staram się świadomie odkładać telefon i się ponudzić.

Wracasz czasem do rodzinnego Gdańska, żeby nad morzem oczyścić głowę?
Wracam do Gdyni. Gdynię kocham najbardziej. Idę na spacer ze Wzgórza Świętego Maksymiliana lasem w dół do morza. Potem bulwarem po chleb i kawę do Tłoku.

Jakie masz marzenia? Nie muszą być tylko te związane z aktorstwem.
– Chciałabym kupić stary dom z sadem. Odbudować go i zadbać o sad. Może zasadzić winorośl. ▲

eprasa.pl 7b63c07719

„KOPNĘŁABYM CIĘ, GDYBYM MOGŁA”, reż. Mary Bronstein, wyst. Rose Byrne, Conan O’Brien, A$AP Rocky, Christian Slater. W kinach od 20 lutego

FOT. LOGAN WHITE

FILM

Wszystkie nasze lęki i niepokoje

Nie potrzeba od razu spadającego na głowę sufitu i chorego dziecka, żeby mieć wszystkiego dosyć i być zmęczonym życiem. W filmie „Kopnęłabym cię, gdybym mogła” Mary Bronstein to jednak dopiero preludium do opowieści, która jest emocjonalną udręką na najwyższym poziomie.

Bronstein, amerykańska reżyserka i aktorka, luźno oparła scenariusz swojego drugiego filmu na własnych doświadczeniach. Kiedy jej córka miała siedem lat, poważnie zachorowała, co sprawiło, że Bronstein musiała przeprowadzić się z nią z Nowego Jorku do Kalifornii, gdzie dziewczynka miała być leczona. Ojciec dziecka, ze względu na pracę, został na wschodnim wybrzeżu, a reżyserka z córką przez osiem miesięcy mieszkały w obskurnym motelu na drugim końcu Stanów Zjednoczonych.

„Kiedy gasło światło, a moja córka zasypiała, szłam do malutkiej motelowej łazienki, zamykałam drzwi, zapalałam światło, piłam tanie wino i kompulsywnie jadłam. Robiłam co mogłam, żeby uciec od rzeczywistości” – mówiła reżyserka w rozmowie, którą przeczytacie w marcowym wydaniu miesięcznika „Wysokie Obcasy Extra”.

Filmowa Linda (grana brawurowo przez Rose Byrne, która za tę rolę dostała już Złoty Glob i nominację do Oscara) jest zmęczona i wypalona. Jej córka choruje na tajemniczą chorobę, właśnie dosłownie zawalił się jej w domu dach, terapeuta (świetny Conan O’Brien) jej nie rozumie, a praca ją wyczerpuje. Lekarka córki cały czas podważa jej zdolność do zajmowania się dzieckiem, co biorąc pod uwagę stan, w jakim znajduje się Linda, nie jest przesadnie zaskakujące. Jakby tego było mało, musi radzić sobie z tym wszystkim sama, bo z nieobecnym mężem (Christian Slater) porozumiewa się jedynie przez telefon. Do czasu naprawienia ziejącej dziury w dachu Linda przeprowadza się z córką do podrzędnego motelu, gdzie z butelką wina w ręce próbuje odzyskać jako takie panowanie nad własnym życiem, nie zwariować i przynajmniej sprawiać wrażenie osoby, która jest w stanie z powodzeniem funkcjonować w społeczeństwie.

W „Kopnęłabym cię, gdybym mogła” Mary Bronstein i Rose Byrne zabierają widzów na emocjonalną przejażdżkę kolejką wysokogórską, taką najgorszą z możliwych, która z zawrotną prędkością mknie tylko w dół. Ciasne kadry i wiecznie skupiona na Byrne kamera powodują, że całość jest klaustrofobiczna, niewygodna i piekielnie drenująca.

Gdyby nie to, że scenarzystka zadbała także o momenty zjadliwego, inteligentnego humoru, ten film mógłby być nie do zniesienia. Precyzyjnie zbudowała też postacie drugoplanowe, które są wyraziste, ale głównie pomagają widzom lepiej wczuć się w żałosną dolę Lindy. Oprócz wspomnianego już O’Briena w filmie zobaczymy też amerykańskiego rapera A$AP Rocky’ego, który daje popis subtelnego aktorstwa w roli motelowego dozorcy, starającego się pomóc Lindzie, a przy tym nadziewającego się na zbudowany ze złośliwości mur, który ta próbuje wokół siebie postawić.

Film Bronstein otwiera tamę, przez którą wlewają się wszystkie możliwe lęki i niepokoje. Niezależnie od tego, czy ktoś ma doświadczenia z rodzicielstwem, czy ich nie ma, i tak jakoś się w tym filmie odnajdzie. ▲ **(Joanna Wróżyńska)**

eprasa.pl 7b63c07719

SERIAL

Kolejne trupy w raju

Przepis jest prosty: rajska miejscówka, kameralny posterunek policji, którego załogę można policzyć na palcach jednej ręki, i przyjazna, niewielka społeczność, w której wszyscy się znają i lubią. Do tego mamy oczywiście przenikliwego, możliwe, że neuroatypowego inspektora, który zostaje przeniesiony do tego lokalnego posterunku z deszczowego Londynu i musi odnaleźć się w nowym miejscu. Zostaje już tylko wypatrywać nieboszczyka, którego niewątpliwie ktoś prędzej czy później znajdzie, i tajemnicy, jaka wiąże się z jego śmiercią. „Powrót do raju" ma wszystkie te nieodzowne składniki, a do tego jeszcze szczyptę romantycznego uczucia z gatunku tych, które nigdy nie rdzewieją. Inspektor Mackenzie Clarke (Anna Samson) wraca do rodzinnego Dolphin Cove z Londynu, po tym, jak została oskarżona o fałszowanie dowodów. Sześć lat wcześniej w pośpiechu wyjechała z Australii, porzucając przed ołtarzem swojego narzeczonego Glenna (Tai Hara), który, tak się składa, jest też patomorfologiem sądowym i synem starszej sierżant Philomeny Strong (Catherine McClements), szefowej lokalnego posterunku, w którym kiedyś pracowała Mac. Przez lata jej nieobecności Glenn na nowo ułożył sobie życie. Pojawienie się Mackenzie wywołuje zdziwienie i niezręczność, ale zdaje się nie wpływać na nowy związek Glenna. To o tyle istotne, że ocean wyrzuca na brzeg ciało. Mackenzie zostaje wciągnięta w śledztwo, które wymaga od niej współpracy z Glennem. Jak nietrudno się domyślić, na początku drugiego sezonu decyduje się jednak nie wsiadać w samolot do Londynu i zostać jeszcze w Dolphin Cove.

Właściwie całe kryminalne pasmo, które w ofercie ma BBC Lifestyle, to przyjemna, rodzinna rozrywka. Zagadki są na tyle nieskomplikowane, że da się je rozwiązać przez godzinę trwania odcinka, a jednocześnie na tyle wciągające, żeby utrzymać uwagę widza.

Choć serialowe Dolphin Cove nie istnieje – „Powrót do raju" kręcono w okolicach Sydney i regionie Illawarra – australijskie krajobrazy i tak zachwycają, stając się drugoplanowym bohaterem serii.

▲ (Joanna Wróżyńska)

„Powrót do raju". Nowe odcinki w poniedziałki o godz. 21 w BBC Lifestyle. Serial dostępny też w BBC Player

FILM

Wrrrrr! Skóry, motory i seks

Pillion to miejsce z tyłu motocyklu, dla pasażera. Film Harry'ego Lightona „Pillion" to dramat komediowy, a wręcz komedia romantyczna, o pewnym młodym mężczyźnie, Colinie (w tej roli rewelacyjny Harry Melling), który poznaje w barze arcyprzystojnego, bardzo skrytego i tajemniczego motocyklistę Raya (w tej roli równie rewelacyjny Alexander Skarsgård) i wchodzi z nim w układ erotyczny o charakterze sadomasochistycznym. Film obfituje w gejowskie sceny erotyczne (zwłaszcza niezapomniana jest scena z pikniku gangu motocyklowego). Lightonowi udało się w niesłychanie zgrabny sposób połączyć przegięty humor z zupełnie prostolinijną, wzruszającą opowieścią, nawet nie tyle o szukaniu miłości, ile o odkrywaniu własnych pragnień i dawaniu sobie przestrzeni na ich realizację, wbrew ocenie innych. Film przedstawia związek dwóch mężczyzn jako zupełną oczywistość, o jaką nie trzeba walczyć, a zadaje pytania o to, czy mamy prawo oceniać pragnienia i układy, które, choć mogą się wydawać niestandardowe, przynoszą rozkosz i zadowolenie. To opowieść o dominacji i poddaniu. O tym, czego pragniemy, czego potrzebujemy w związku, co nam daje szczęście i jak się tego dowiedzieć. To również opowieść o tym, jak niebezpieczna może być miłość. Skarsgårdowi odzianemu w skórę motocyklową nie można się oprzeć. A Melling skradnie wasze serca – gwarantuję. **▲ (Paulina Reiter)**

„PILLION" reż. Harry Lighton, w kinach

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

Piękna młynarka

Wczoraj szedłem przez pustynię,
już po ciemku, i coś na mnie
zawarczało z cicha. Wrażenie
nie byle jakie, serdeczności, M.

Lęk jak ze starej książki: ona się boi, że może stać się panterą
i wcale jej to nie podnieca, bo co robi pantera? Czy pantera może
nie zamykać ust do zdjęcia, czy może iść spać w swoich nowych
butach?
Pantera czerstwi chleb, na który spojrzy, ma taki dar.
Młynarka ma dar też fajny, że ożywia mięso.

Ale jedno chciałaby mieć z pantery: gdy ktoś przychodzi i mówi
pociąg, który istnieje tylko w rozkładzie, właśnie odszedł, umieć
powiedzieć ach, tak? A nie próbować zjeść słońce, żeby nie zaszło.

JUSTYNA BARGIELSKA jest poetką i pisarką. Powyższy wiersz pochodzi z domeny Wolne Lektury.

MAGDALENA KILARSKA RYSUJE

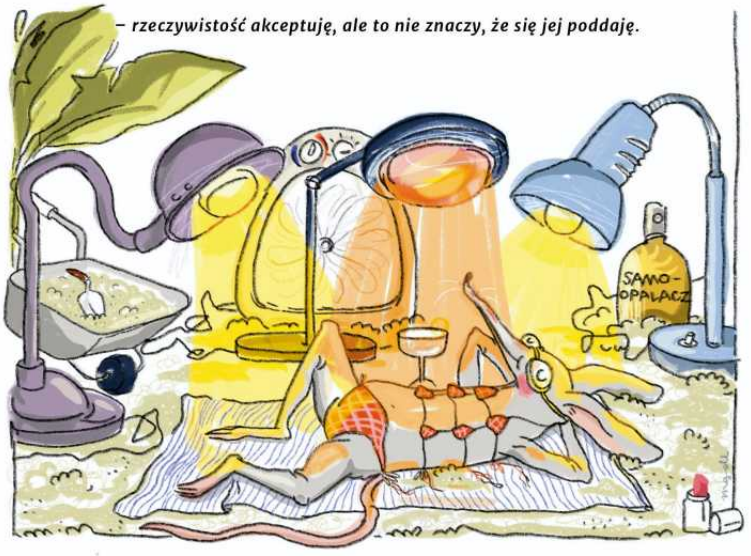

FOT. BBC STUDIOS PROD AUSTRALIA/ RED PLANET PICTURES/JOHN PLATT, GUTEK FILM

eprasa.pl 7b63c07719

Ciekawość wygrywa z *lękiem*

Benedict Cumberbatch zachwycał się jej wiolonczelą i kompozycjami, w których można się zanurzyć, a Hania Rani nagrała z nią płytę

eprasa.pl 7b63c07719

Z **DOBRAWĄ CZOCHER**, KOMPOZYTORKĄ I WIOLONCZELISTKĄ, ROZMAWIA **JOANNA WRÓŻYŃSKA**

Benedict Cumberbatch wspomniał jakiś czas temu w wywiadzie dla magazynu NME, że twoja płyta „Dreamscapes" była jednym z najczęściej słuchanych przez niego albumów. Powiedział, że „to najbardziej niezwykłe wykorzystanie wiolonczeli jako instrumentu perkusyjnego", chwalił „bogate filmowe faktury dźwiękowe" i dodał, że „to coś wspaniałego, w czym można się zanurzyć".

– Pięknie to powiedział. Poza ostatnim zdaniem – bo głupio by mi było tak o sobie mówić – to wydaje mi się, że bardzo trafnie opowiedział o tym, co robię jako artystka. Zrobił mi niesamowitą niespodziankę. Dowiedziałam się o tym z rolki w serwisie społecznościowym i na początku myślałam, że ktoś robi sobie ze mnie żarty, że to może AI, ale okazało się, że to prawdziwa wypowiedź. Później połączyłam kropki. Znam dość dobrze Volkera Bertelmana, kompozytora nagrodzonego m.in. Oscarem za „Na Zachodzie bez zmian", który zaprosił mnie, żebym otworzyła jego koncert w Londynie. Podejrzewam, że właśnie tam mógł mnie słyszeć Benedict Cumberbatch. To był jeden z takich koncertów, kiedy przeklinałam, że jestem wiolonczelistką. Musiałam wstać w środku nocy i złapać poranny lot do Londynu, żeby zdążyć jeszcze zrobić próbę dźwięku. Dla supportu był tak mały budżet, że wszystko trzeba było ogarnąć samemu i liczyć na wsparcie techników z konkretnego miejsca. Przeklinałam ten koncert, ale później oczywiście już się cieszyłam, zwłaszcza jak zobaczyłam Volkera. Sam koncert też poszedł bardzo dobrze, miałam nawet taką myśl: „Dobrawa, jednak to wszystko ma sens – te cierpienia, które czasami przeżywasz w trasie w samotności, te nieprzespane noce". To zawsze jest coś za coś. Ale później zdarza się, że dostajesz gratyfikację w postaci takiej miłej wypowiedzi od jednego z najwspanialszych aktorów.

Poza tym, że to bardzo przyjemne, jest z tego jakaś namacalna korzyść? Czy taka wypowiedź przekłada się na przykład na większe zainteresowanie twoją muzyką?

– Takie docenienie przez kogoś z zagranicy robi duże wrażenie głównie w Polsce, ale nie tylko tu. Brałam niedawno udział w pewnym projekcie w Holandii i czułam, że dzięki tej wypowiedzi inaczej tam na mnie patrzą. Kiedy tak znana osoba cię zauważy, to inni też zaczynają cię zauważać. Wolałabym oczywiście, żebyśmy byli sami w stanie dostrzec coś wartościowego, nawet jeśli to jest niszowe. Ale świat rządzi się takimi prawami, że kiedy dostaniesz prestiżową nagrodę, wydasz album w cenionym wydawnictwie, tak jak my z Hanią Rani w Deutsche Grammophon, albo Benedict Cumberbatch wypowie się pozytywnie na twój temat, to dopiero robi duże wrażenie na ludziach.

O artystach z Polski jest coraz głośniej. Ty, Hania Rani, ale też Jimek czy Jakub Józef Orliński, coraz mocniej przebijacie się za granicą.

– Chyba nasze pokolenie jest po prostu odważniejsze. Kiedyś tylko najwybitniejszym jednostkom się to udawało. Raz na jakiś czas zdarzał się Leszek Możdżer czy Michał Urbaniak, który uznawał, że zaszaleje, postawi wszystko na jedną kartę i wyjedzie za granicę. Teraz, w dobie platform społecznościowych i Internetu, jest nieco łatwiej trafić do odbiorcy. Chociaż jest też dużo więcej twórców.

Jako muzyczka klasyczna miałam możliwość, żeby podczas studiów w Warszawie wyjechać na Erasmusa, przekonać się, że świat rzeczywiście stoi otworem, że za granicą ludzie są niezwykle otwarci i ciekawi mnie jako artystki. Dzięki temu zdecydowałam się na studia w Detmold w Niemczech. To mnie bardzo dużo nauczyło – otwartości i odwagi, żeby wychodzić ze swoim do ludzi.

Wyjechałaś z rodzinnego Tczewa zaledwie jako trzynastolatka.

– Tak, do internatu Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej im. Feliksa Nowowiejskiego w Gdańsku.

Bardzo cię to pewnie usamodzielniło.

– Z jednej strony dużo mi to dało, z drugiej – dużo zabrało. Kiedy zbyt wcześnie odcina się od rodziców, to wiąże się to z pewnymi konsekwencjami dla psychiki. Trzeba się usamodzielnić, ale w moim przypadku to było jednak trochę za szybko. Pojawiły się we mnie różne emocje, z którymi musiałam poradzić sobie na terapii. Przez lata wydawało mi się, że to jest normalne, że dzieciństwo kończy się w wieku 13 lat. Później dopiero pojęłam, że to było dla mnie za dużo. Ale też jestem dzięki temu bardzo samodzielna, bardziej...

...odważna?

– Też. Dało mi to też rzemiosło. Bo wyjechałam do internatu, żeby grać na wiolonczeli w klasie najlepszej pedagog na Pomorzu. W jakimś sensie więc, to, że jestem w tym miejscu, w którym jestem, zawdzięczam temu, że wyjechałam wtedy z Tczewa. Że nie zostałam w małym mieście, gdzie pewnie bym się nie rozwinęła tak, jak w Gdańsku. Ale poniosłam tego koszty emocjonalne, psychiczne. Już to zrozumiałam i dlatego mogę dzisiaj tak swobodnie o tym mówić. Jeszcze kilka lat temu nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Benedict Cumberbatch słusznie zauważył, że wykorzystujesz bardzo umiejętnie wiolonczelę jako instrument perkusyjny. To jeden z twoich znaków rozpoznawczych.

– W świecie muzyki klasycznej, z którego się wywodzę, to jest rzadkość. Po prostu się tego nie robi. Zaczęłam eksplorować wiolonczelę w sposób nieklasyczny, czasami szalony, trochę dziwny. A ponieważ bardzo długo byłam sama na scenie i ten instrument był jedynym narzędziem mojego artystycznego wyrazu, to musiałam sobie radzić, żeby nie wszystkie utwory były liryczne. Chciałam, żeby na moich koncertach było trochę życia, więc zaczęłam się zastanawiać, jak mogę to osiągnąć. Spróbowałam wykorzystywać pudło rezonansowe wiolonczeli w sposób niekonwencjonalny. Teraz, wraz z wydaniem mojego nowego albumu „State of Matter", jeszcze poszerzyłam instrumentarium i oprócz mnie na scenie będzie Natalia Czekała, która będzie grać na syntezatorach, i czasami będzie mnie też wspierać brzmienie altówki, na której zagra Agnieszka Podłucka.

Wzbogaciłaś nie tylko instrumentarium, ale sięgnęłaś też po swój wokal.

– Poczułam, że mój głos staje się coraz silniejszy i coraz mniej boję się wyrażać siebie, coraz mniej jestem grzeczną dziewczynką, a staję się pewną siebie kobietą. Tę ewolucję słychać też w mojej muzyce. A głos ma niesamowitą moc docierania do ludzi, tworzenia nici porozumienia. Choć znowu – nie wykorzystuję go w sposób konwencjonalny. Nawarstwiam głos, co daje chóralne, niemalże organowe akor-

FOT. OLGA ANNA MARKOWSKA

eprasa.pl 7b63c07719

dy, ale wiolonczela wciąż wiedzie... pierwsze skrzypce. Wokal jest tłem.

Wspomniałaś, że tym razem podczas koncertów będą z tobą na scenie jeszcze dwie osoby. Jak to zmienia twój sposób pracy z muzyką?
– Muszę pomyśleć o innych aranżacjach, bo na płycie nie ma altówki. Na albumie to ja robię wszystko – gram na wiolonczeli, na syntezatorach i też śpiewam. Na koncercie to niemożliwe, dlatego było dla mnie bardzo ważne, żeby znaleźć osoby, które nadają ze mną na podobnych falach. Nie było to łatwe, ale się udało. Z Natalią znamy się od studiów, jest też kompozytorką, dzięki czemu słyszy muzykę trochę inaczej i bardzo dużo proponuje od siebie.

Mam bardzo konkretną wizję artystyczną, a ponieważ od siódmego roku życia szkoliłam się na odtwórcę, to wykonawstwo jest moim ogromnym zasobem. Jest dla mnie ekstremalnie ważne, żeby rezultat był dokładnie taki, jak zaplanowałam, każda nuta była zagrana tak, jak ja ją słyszę. Więc o ile podczas koncertów jestem otwarta na propozycje koleżanek, wręcz ich oczekuję i mnie ekscytują, tak podczas tworzenia albumu chcę, żeby to była tylko moja wypowiedź.

Twoją nową płytę podobno zainspirował roczny wyjazd nad morze?
– Tak, przeprowadziliśmy się z moim partnerem na rok do Sopotu. Z okien mieszkania widzieliśmy Bałtyk, a obok mieliśmy las. Wydaje mi się, że taki widok żadnej osoby wrażliwej, twórczej, nie może pozostawić obojętną.

Morze majaczyło w tle, codziennie miało inny kolor, inaczej padało na nie światło, inaczej odbijały się chmury, wiało z innej strony, zmieniała się temperatura. Każdego dnia wyglądało inaczej. To były wszystkie odcienie błękitu. Bałtyk czasami był spokojny, innym razem miotał się od sztormu, który po raz pierwszy widziałam z tak bliska. Bywał przerażający, brutalny, albo cichy i spokojny. A ja to wszystko obserwowałam i siłą rzeczy to ze mną rezonowało, skłaniało do zadawania sobie filozoficznych pytań. Takim podstawowym, na kanwie którego stworzyłam cały album, było to, co jest po drugiej stronie tego metaforycznego morza. Można to było odnieść do wszystkiego, czego jako ludzie próbujemy się dowiedzieć. Począwszy od tego, kim jesteśmy, skończywszy na tym, czym w ogóle jest świat, istnienie, czym jest śmierć i życie, które przecież też zaczyna się w wodzie. Fascynuje mnie to, że wciąż nie wiemy, co się z nami dzieje po śmierci.

Ten album jest właśnie taką podróżą przez morze, żeby dowiedzieć się, co jest po drugiej stronie. A sama wyprawa już jest zmianą, czymś, co nas wzbogaca.

W opisie teledysku do singla „Blue" pojawia się zdanie, że to „moment, kiedy ciekawość przezwycięża strach, a bohaterka wyrusza w nieznane w poszukiwaniu odpowiedzi". Ciekawość wygrywa u ciebie ze strachem?
– Zawsze, chociaż w moim życiu jest dużo strachu. Jestem jednocześnie odważna i lękliwa. Wydaje mi się, że moja odwaga wynika z tego, że prę naprzód pomimo lęku. Próbuję się dowiedzieć, co jest dalej. Tak było choćby z przeprowadzką nad morze, z porzuceniem orkiestry i rozpoczęciem kariery na własną rękę. To są właśnie te momenty, kiedy zadawałam sobie pytanie, co jest po drugiej stronie.

Tytuł płyty „State of Matter" można przetłumaczyć jako „stan skupienia". Co się za nim kryje?
– Opowiedziałam ci o koncepcie albumu, o tych wszystkich odcieniach wody, strukturze morza i jego ruchu. Zastanawiałam się, jak to ubrać w słowa, ale wiedziałam, że nie chciałam nazwać tej płyty po prostu „the sea", czyli „morze". Szukałam czegoś bardziej poetyckiego, co ma więcej znaczeń. Spodobała mi się gra słów, bo jak słusznie zauważyłaś, „State of Matter" to „stan skupienia", a skupienie jest stanem koncentracji, czyli według mnie czymś, w co trzeba się wprowadzić, żeby podjąć ryzyko, zdecydować się na zmianę. To wszystko się dla mnie łączy.

Album ukaże się pod szyldem nowej dla ciebie wytwórni 130701. Co ci dała ta zmiana?
– 130701 to część brytyjskiej wytwórni FatCat Records, która zajmuje się muzyką instrumentalną, a cyfry odpowiadają dacie jej powstania. Zmiana wytwórni daje mi przede wszystkim wejście na brytyjski rynek. Wcześniej, kiedy byłam związana z niemieckim labelem, bardzo dużo koncertowałam w Niemczech, tam też mieszkałam przez pewien czas. Chciałam zmienić kierunek. FatCat reprezentuje niszę, którą uwielbiam, i muzykę, której słucham na co dzień. Lata temu wydali najlepsze albumy Sigur Rósa, Hildur Guðnadóttir, a nawet Maxa Richtera. Kiedy okazało się, że są zainteresowani współpracą ze mną, długo się nie wahałam. To dla mnie prestiż i duża nobilitacja.

Wspomniałaś Hildur Guðnadóttir. Skomponowała właśnie muzykę do sztuki teatralnej, wcześniej współpracowała też m.in. przy nagradzanym filmie „Tár" z Cate Blanchett. Ciebie też ciągnie do komponowania muzyki scenicznej, filmowej.
– Ilustracyjnej. Tak. Film zawsze mnie pociągał, od niedawna ciągnie mnie też w stronę teatru. Odkąd lepiej rozumiem, jakim językiem się posługuje, czerpię jeszcze większą przyjemność z odczytywania jego metafor. Poza tym wiolonczela ma ogromny potencjał sceniczny i narracyjny skłaniający do przemyśleń, spaja się naturalnie ze światem opowieści. Choć nie tylko wiolonczela, bo jestem otwarta na szerokie spektrum brzmień. Każdy projekt jest oczywiście inny i trzeba znaleźć do niego klucz, ale mam w tym coraz większe doświadczenie.

Spędziłam ostatnio pięć tygodni w Holandii, gdzie występowałam w spektaklu „Graan/Zerno" o wojnie w Ukrainie i historii tego kraju. Uświadamia społeczeństwu holenderskiemu, że połączenie między Holendrami i Ukraińcami nie jest wcale takie nikłe, jak mogłoby się wydawać. Byłam towarzyszką trzech głównych postaci, cały czas obecną na scenie. Bohaterowie ciągle ze sobą rozmawiali, oczywistym było więc dla mnie, że muszę podejść do konstruowania świata muzycznego w sposób nieinwazyjny, być tłem dla dialogów – intensywnych i trudnych. Wychodziłam na pierwszy plan, kiedy oni milkli, muzyka prowadziła wtedy widza. Czasami musiałam się nagimnastykować, żeby odnaleźć wytrych do scen, ale te poszukiwania lubię chyba najbardziej.

Brzmienie wiolonczeli skłania do refleksji, tworzy aurę, która nie jest głupkowata, ale też tego nie wyklucza. To jej fenomen, że pozwala tworzyć rzeczy śmieszne, ale bardzo łatwo zbudować też refleksyjną atmosferę.

To nie było twoje pierwsze zetknięcie ze sceną, bo w 2024 r. zrobiłaś z Krystianem Ladą operę „D'Arc".
– Byłam jedną z trzech bohaterek, z trzech Joann. Joannę średniowieczną, a właściwie Giovannę, grała sopranistka, śpiewaczka operowa Gabriela Legun, współczesną

eprasa.pl 7b63c07719

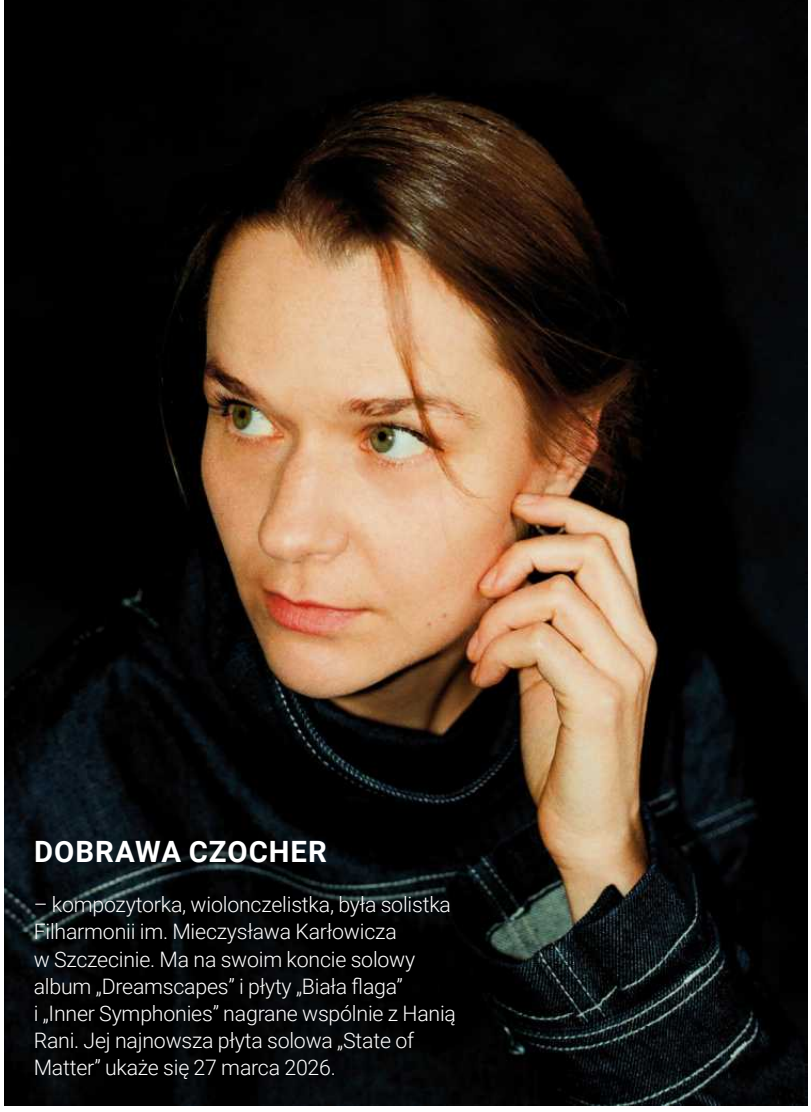

DOBRAWA CZOCHER

– kompozytorka, wiolonczelistka, była solistka Filharmonii im. Mieczysława Karłowicza w Szczecinie. Ma na swoim koncie solowy album „Dreamscapes" i płyty „Biała flaga" i „Inner Symphonies" nagrane wspólnie z Hanią Rani. Jej najnowsza płyta solowa „State of Matter" ukaże się 27 marca 2026.

FOT. BARBARA LIRO

Joan – Agnieszka Grochowska, a ja wcieliłam się w powstankę Joannę, babcię postaci granej przez Agnieszkę.

Byłaś jednocześnie aktorką i kompozytorką muzyki.
– Skomponowałam sonatę dla Joanny i zagrałam w finałowej scenie, ensemblu dziesięciu wiolonczelistek w różnym wieku. To było jedno z ciekawszych doświadczeń w moim życiu, i też takie, które powodowało ogromny lęk. Ale tu też ciekawość okazała się silniejsza.

To było też spełnienie dziecięcych marzeń. Podobno jako mała dziewczynka chciałaś być aktorką?
– Bardzo. Dzięki temu mogłam zobaczyć, na czym aktorstwo polega, i zrozumiałam, że jednak pisana jest mi muzyka.

Ale to doświadczenie dużo mi dało. Gram na wiolonczeli od dzieciństwa, jestem w tym bardzo skrupulatna, rzemiosło jest dla mnie ważne, kontroluję i rozwijam swój warsztat. Poświęciłam mnóstwo czasu, żeby moja technika była na jak najwyższym poziomie. A dzięki temu spektaklowi znów stałam się w czymś amatorką. Dzięki temu zdałam sobie sprawę, że ta ciągła kontrola moich ruchów, kiedy gram podczas koncertu – ułożenia ręki czy skupienia, żeby zawibrować jakiś dźwięk – zabiera mi coś, co chyba jest w ogóle istotą bycia artystą, czyli obecność i kontakt z publicznością. Zrozumiałam, że pora to już puścić i rozgościć się w tej obecności z widzem, poczuć jego energię.

Mówiłaś o spektaklu, który miał przybliżyć Holendrom historię i teraźniejszość Ukrainy. Na ile twoim zdaniem sztuka powinna być polityczna? Czy w takich czasach jak dzisiaj wystarczy, że jest piękna i sprawia radość, czy powinno być w tym coś więcej?
– Dobrze, żeby było miejsce na jedno i drugie. Bo nie możemy ciągle tylko mówić o tym, jak jest trudno i źle, musi być też miejsce, w którym możesz o tym zapomnieć, nakarmić się czymś innym, czymś pięknym, szlachetnym, co cię zbuduje i da siłę, żeby walczyć później z umownym systemem, ze złem, które jest wokół. Ale również muszą powstawać takie filmy, spektakle czy inne dzieła, które pomogą nam zrozumieć, co się dzieje. Nie wiem, jak ty to czujesz, ale dla mnie trudne jest to, że zalewają mnie różne informacje, które muszę nieustannie przesiewać. Do tych ważnych trzeba się dokopać. Czujemy, że świat się wali, i nie do końca wiemy, co z tym zrobić dalej.

Przeraża mnie zrobotyzowanie świata, bo wyznaję wartości humanistyczne, emocje płynące z serca. Świat nie może istnieć bez sztuki i polityki, i ja jestem otwarta na obie te dziedziny. Moje koncerty absolutnie nie są związane z polityką, ale biorę też udział w spektaklach, które w sposób bardziej bezpośredni nawiązują do tego, co się dzieje na świecie. Było dla mnie bardzo ważne, że mogłam mówić na przykład o powstaniu warszawskim, bo chociaż moja rodzina nie pochodzi z Warszawy i nie brała w nim udziału, to mój dziadek był w dwóch obozach koncentracyjnych. Więc to miało dla mnie też wymiar osobisty i czułam odpowiedzialność, żeby zrobić to jak najlepiej, czy to za pomocą słów, czy muzyki.

Pozostając jeszcze przy sztukach wizualnych, to twoją wiolonczelę słychać też w ścieżce dźwiękowej do nominowanej do dziewięciu Oscarów „Wartości sentymentalnej" Joachima Triera. To pierwszy film, przy którego soundtracku pracowałaś?
– Wiele razy wcześniej grałam muzykę napisaną przez kogoś innego. Współpracowałam m.in. z Hanią Rani przy wszystkich jej filmowych ścieżkach dźwiękowych czy z Maćkiem Dobrowolskim. Ale to było w czasach, kiedy nie pisałam jeszcze swojej muzyki. Teraz coraz mocniej czuję, że jestem kompozytorką i chciałabym sama stworzyć od podstaw szatę dźwiękową do filmu.

Mam wrażenie, że „State of Matter" to właśnie taki album filmowy, bardzo plastyczny.
– Mam nadzieję, że słychać wielowymiarowość tej muzyki, bo myślę o tej płycie właśnie jako o filmowej opowieści budowanej za pomocą dźwięków.

Zanim jednak filmy, to trasa koncertowa.
– Tak. Powoli się do niej przygotowuję, ale też myślę, co dalej. Jestem otwarta na różne projekty, przede wszystkim właśnie kompozytorskie, bo to mnie teraz interesuje najbardziej. Zobaczymy, dokąd zaprowadzi mnie życie. ▲

eprasa.pl 7b63c07719

Depresja. Dowody na *leczenie*

Przełomem jest to, że nie musimy już czekać na efekty leczenia kilka tygodni. Są już substancje, których podanie przynosi niemal natychmiastowy efekt

Z PROF. DR HAB. N. MED. **DOMINIKĄ DUDEK**, PSYCHIATRĄ, ROZMAWIA **EWA PĄGOWSKA**
RYSUNEK **PIOTR CHATKOWSKI**

Za cztery lata depresja ma być najczęstszą chorobą na świecie. Tak szacuje WHO. Czy wiemy już, co jest przyczyną tej choroby?
– Niestety nadal nie wiemy. Czy może raczej: znamy coraz więcej potencjalnych przyczyn i coraz lepiej rozumiemy, dlaczego nie da się wyłonić tej głównej. Po pierwsze nie ma jednej depresji. Po drugie w psychiatrii stawiamy diagnozę na podstawie objawów. Stwierdzamy, że ponieważ są takie i takie symptomy, w takim i takim natężeniu, trwają tyle i tyle, to mamy do czynienia z taką i taką chorobą. Nie ma natomiast badań z krwi czy obrazowych, które pozwalałyby powiedzieć np.: „to są zaburzenia lękowe".

A wiadomo, czy decydujący wpływ na to, że zachorujemy na depresję, ma to, co się dzieje w naszym organizmie, czy raczej to, co się dzieje w naszym życiu?
– Tego nie da się rozdzielić. Od wielu lat wiemy, że w przypadku zaburzeń psychicznych, zwłaszcza tych cięższych, czyli m.in. schizofrenii, zaburzeń dwubiegunowych czy klinicznej depresji, człowiek ma pewną podatność na te choroby i na to nakładają się czynniki środowiskowe – traumy, stres, codzienne obciążenia.

Podatność, czyli geny?
– Geny także, ale większa podatność może wynikać również z mikrouszkodzeń jeszcze z okresu prenatalnego czy z problemów okołoporodowych. To wszystko może dostarczyć odpowiedzi na pytanie: „Jak nasz mózg zareaguje na to, co się wydarzy w naszym środowisku?". Przełomem były badania Avsholoma Caspiego, z których wynikało, że u pacjentów z pewnym wariantem genu transportera serotoniny wydarzenia traumatyczne zwiększają ryzyko depresji i podjęcia próby samobójczej. Nie jesteśmy więc zdeterminowani przez nasze geny do zachorowania na depresję, ale możemy być na to uwrażliwieni. Jednego kryzys życiowy wzmocni, a drugiego jakaś większa przykrość załamie. Czasami do rozwoju depresji bardziej przyczyni się jakieś wydarzenie, a czasami to, co się dzieje w naszym organizmie, np. niedobory hormonalne lub stan zapalny.

Jest zresztą zapalna teoria depresji.
– Tak. Ona nie mówi o tym, że stan zapalny w prosty sposób prowadzi do depresji, natomiast u niektórych pacjentów, np. tych, którzy mają także chorobę otyłościową, stan zapalny nasila objawy depresyjne. Natomiast klasycznymi teoriami są te związane z neuroprzekaźnikami: serotoniną i noradrenaliną. Są dobrze znane i znajdują nawet odzwierciedlenie w rozmowach pacjentów – ktoś mówi np. „Choruję na depresję, bo mam za mało serotoniny". Te teorie są bardzo stare i niepełne, bo gdyby wszystko sprowadzało się do zbyt małej ilości serotoniny w szczelinie synaptycznej, to leki, które tę ilość zwiększają, przynosiłyby natychmiastowy efekt, tymczasem zwykle trzeba na niego czekać dwa-trzy tygodnie.

> *Uczciwy lekarz nie powie:* „To jest nowy, genialny lek, który na pewno u pana zadziała", deprecjonując inne jako przestarzałe

Mówi pani o popularnych dziś lekach z grupy SSRI, czyli selektywnych inhibitorach wychwytu zwrotnego serotoniny?
– Między innymi o nich. To jednak nie znaczy, że teoria serotoninowa jest fałszywa, tyle że ona jedynie w niewielkiej części wyjaśnia mechanizm depresji.

Co w myśleniu o tej chorobie było dla pani ostatnio przełomem?
– Na pewno postrzeganie depresji jako stanu upośledzonej plastyczności mózgu.

Co to znaczy?
– Mózg traci zdolność do adaptacji, czyli gorzej dostosowuje się do zmieniających się warunków i wyzwań. Zresztą w depresji mamy do czynienia z zaburzeniem regulacji wielu systemów, m.in. osi stresu: podwzgórze – przysadka – nadnercza.

Kolejnym zwrotem w myśleniu o depresji jest znalezienie powiązań między różnymi sytuacjami psychospołecznymi, jak np. osamotnieniem czy traumą, a różnymi procesami biologicznymi w organizmie. Takie sytuacje mogą np. aktywować procesy zapalne lub zmieniać reakcję organizmu na stres. Dlatego właśnie brak wsparcia społecznego zwiększa ryzyko nawrotu depresji.

Czy te odkrycia przekładają się na nowe, lepsze metody leczenia?
– Tak, ale też dostarczają dowodów na to, że to, co zalecamy pacjentom, napraw-

eprasa.pl 7b63c07719

eprasa.pl 7b63c07719

dę ma sens. Podam przykład badań, które przeprowadzono jeszcze w latach 90., ale wspominam je, bo ich wyniki były przełomowe. One udowodniły, że psychoterapia zmienia przepływy krwi i metabolizm w różnych regionach mózgu. Nie jest więc „czczym gadaniem" ani „głaskaniem po główce", tylko procesem, który prowadzi do poważnych zmian w mózgu.

Czy chodzi o to, że kiedy podczas psychoterapii uczymy się np. inaczej interpretować rzeczywistość i jeśli wielokrotnie to zrobimy, wytworzymy nowe połączenia neuronalne, nowe ścieżki w mózgu?

– O to też. Pokazały to już badania Erica Kandela – laureata Nagrody Nobla, który wykazał na ślimakach morskich, że uczenie się zwiększa liczbę połączeń synaptycznych. Wraz z rozwojem metod neuroobrazowania mogliśmy obserwować wiele tych zmian, np. na skutek psychoterapii niektóre struktury mózgu zwiększały objętość i zwiększały albo zmniejszały aktywność. Oczywiście te efekty są możliwe pod warunkiem, że pacjent trochę się podczas sesji wysili i będzie gotów zaangażować się w nie emocjonalnie.

A co panią zaskoczyło, jeśli chodzi o najnowsze badania?

– Ostatnio zdobyliśmy dowody na to, że zalecenia typu: lepiej się odżywiaj, ćwicz i wysypiaj się są nie tylko takimi „dobrymi babcinymi radami", ale mają kluczowe znaczenie w terapii. Badania pokazały m.in., że wyregulowanie snu to interwencja, która w leczeniu lekkiej depresji przynosi podobne efekty jak łagodne leczenie farmakologiczne. Jeszcze kilkanaście lat temu zaburzenia snu traktowaliśmy przede wszystkim jako objaw depresji. Dziś wiemy, że one często ją wyprzedzają. Jeśli w porę się nimi zajmiemy – zadbamy o stałe pory snu, także w weekendy, o poranną ekspozycję na światło dzienne, to możemy zapobiec rozwojowi choroby. Dlatego przestrzegamy pacjentów przed pracą zmianową, zarywaniem nocy i częstymi podróżami do innych stref czasowych. Kolejny, mogłoby się wydawać, banał, to aktywność fizyczna.

Wciąż słyszymy, że ruch świetnie wpływa na nasz dobrostan, ale nie wiem, czy wszyscy w to wierzymy.

– Badania naukowe nie pozostawiają wątpliwości, że podejmowany 3-5 razy w tygodniu wysiłek aerobowy (taki, który trochę przyspiesza oddech i tętno) z elementami siłowymi ma działanie przeciwzapalne i poprawia neuroplastyczność mózgu. Podnosi nastrój i zmniejsza ryzyko nawrotu depresji. Ja zawsze rozmawiam z pacjentami o wysiłku fizycznym. Często słyszę: „Mam depresję, to mi się nie chce, nie sprawia mi przyjemności" i wtedy zaczynamy szukać aktywności, którą podejmują z najmniejszym obrzydzeniem. Coś w końcu znajdujemy. Nawet jeśli to nie jest wysiłek aerobowy, na początek to wystarczy. Często też proponuję pacjentom, by rozważyli opiekę nad jakimś psiakiem. Ona przynosi wiele efektów terapeutycznych, m.in. zmusza do ruchu i pomaga wyregulować rytm dobowy.

PROF. DR HAB. N. MED. DOMINIKA DUDEK

jest psychiatrą, kierowniczką Katedry Psychiatrii i Psychoterapii UJ CM oraz prezesem-elektem Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

A co pani poleca, jeśli chodzi o dietę?

– Są randomizowane badania, które dowiodły, że zmiana diety może doprowadzić do zmniejszenia objawów depresji. Nie chodzi o to, żeby przyjmować jakieś suplementy, chociaż akurat to pacjenci lubią najbardziej. Zwykle wystarczy dieta śródziemnomorska z odpowiednią ilością białka, regularne posiłki i jak najmniej wysokoprzetworzonej żywności. Kolejną interwencją, jaką może podjąć pacjent, są działania, które zapobiegają samotności. Ona na wiele sposobów zwiększa ryzyko depresji. Są tego korelaty behawioralne i biologiczne.

Co to znaczy?

– Po pierwsze samotność, wpływając na zachowanie, pośrednio przyczynia się do rozwoju depresji. Jeśli ktoś jest osamotniony, zwykle mniejszą wagę przywiązuje do tego, co je, i częściej sięga po to, co najłatwiej przygotować, a co niekoniecznie jest najzdrowsze. Podobnie jest z aktywnością. Samemu trudniej się zmobilizować do wyjścia na spacer niż wtedy, gdy mamy towarzystwo. Osoby osamotnione są bardziej podatne na uzależnienia, bo mogą starać się regulować trudne emocje, np. sięgając po alkohol. Natomiast jeśli chodzi o biologię – izolacja społeczna wpływa negatywnie na działanie osi stresu, zwiększa ryzyko wystąpienia nieprawidłowej reakcji zapalnej.

A jeśli chodzi o zupełnie nowe metody leczenia depresji – co jest dla pani przełomem?

– Przełomem jest to, że nie musimy już czekać na efekty leczenia kilka tygodni. Są substancje, jak ketamina i esketamina, których podanie przynosi niemal natychmiastowy efekt. To ma znaczenie zwłaszcza dla pacjentów, którzy mają ciężkie objawy i kiedy jest zagrożenie samobójstwem. Szybko działają także neurosteroidy. FDA (Amerykańska Agencja ds. Żywności i Leków) zarejestrowała je do leczenia depresji poporodowej. W Polsce jeszcze nimi nie dysponujemy.

Jakiś czas temu pojawiły się nowe metody neurostymulacji. Są już dostępne nie tylko elektrowstrząsy, ale także nieinwazyjna stymulacja przezczaszkowa: magnetyczna i prądem stałym. Wielkich zachwytów jednak nie słychać. Raczej ostrożne: „niektórym pomaga, można spróbować".

– Ale to jest prawda: niektórym pomaga, można spróbować. Tak jest w przypadku wielu interwencji. Weźmy elektrowstrząsy, czyli najbardziej skuteczną metodę neurostymulacji. O niej też możemy powiedzieć: niektórym pomaga, można spróbować.

Myślałam, że ona jest superskuteczna, ale mało popularna, bo jest inwazyjna, wymaga podania narkoz. Poza tym pacjent musi przebywać w szpitalu.

– Nie tylko o to chodzi. Nie ma jednego leku, jednej metody terapeutycznej, która świetnie działa na każdego pacjenta i w przypadku każdego typu depresji.

Co zmieni psychiatria spersonalizowana, o której rozwoju teraz dużo się mówi? Jak laik może sobie to wyobrazić?

FOT. AGNIESZKA DIAKÓW/ARCHIWUM SU

eprasa.pl 7b63c07719

– To, co laik sobie zwykle wyobraża, nie nastąpi. Nic nie zapowiada tego, że będziemy pobierać krew, oznaczać jakiś marker i na tej postawie stwierdzać: „Jest niski, więc dajemy taki lek". Badania genetyczne też nam nie dadzą takiej odpowiedzi. Dzisiaj badania farmakogenetyczne mają sens tylko w wyjątkowych przypadkach, np. kiedy pacjent reaguje nietypowymi skutkami ubocznymi na leczenie. Kolejne wskaźniki mogą nam pomóc zawęzić wybór, ale nie dadzą jednoznacznej odpowiedzi, co dla danej osoby będzie najlepsze. Ja zresztą uważam, że w spersonalizowanym leczeniu kluczowe są relacja z pacjentem i porządny wywiad kliniczny. To metoda oldschoolowa, ale według mnie lepszej nie ma. Dlatego jestem przerażona chęcią leczenia pacjentów wyłącznie przez telefon i online. Oczywiście telemedycyna ma swoje dobre strony – jeśli znamy pacjenta, jesteśmy z nim w częstym kontakcie i chodzi tylko o przedłużenie recepty, możemy to zrobić online, ale pierwsza wizyta, wizyta po dłuższej nieobecności czy wtedy, gdy pacjent zgłasza problemy, musi się odbyć w gabinecie. Kiedy pacjent wchodzi, widzę, jak nawiązuje kontakt wzrokowy, jak jest ubrany, czy jest zadbany. Poza tym każdy człowiek ma wokół siebie coś, co nazywam rodzajem aury. Absolutnie nie mam na myśli nic czarodziejskiego, żadnej obwódki wokół siebie, tylko coś trudnego do zwerbalizowania, co czujemy w osobistym kontakcie.

Skąd mamy wiedzieć, że nowy lek lub nowa metoda leczenia, którą proponuje psychiatra, jest dobra, a nie jest, jak sugerują niektórzy, efektem współpracy lekarzy z firmami farmaceutycznymi? Pytam o to, bo to jest wątek, który co jakiś czas wraca w różnych artykułach i komentarzach pod tekstami o zaburzeniach psychicznych.

– Dla mnie skandalem jest to, że o farmakoterapii w sposób autorytarny i podważający zaufanie do lekarzy wypowiadają się osoby bez wykształcenia, które by do tego uprawniało. Natomiast oczywiście, że lekarze współpracują z firmami farmaceutycznymi. Badania kliniczne, rejestracja leków, rozwój nowych technologii – to wszystko nie wydarzyłoby się bez tej współpracy. Przemysł farmaceutyczny często zaprasza tzw. liderów opinii do różnych ciał doradczych i zadaje ważne kliniczne pytania, np. o to, jak optymalizować leczenie. Tak dziś wygląda rozwój medycyny. Oczywiście, że na konferencjach są wykłady sponsorowane przez firmy farmaceutyczne, ale to nie znaczy, że prelegent podaje nieprawdziwe treści. Zresztą podczas prelekcji czy w publikacjach badań naukowych są informacje o możliwym konflikcie interesów. To jednak absolutnie nie podważa wiarygodności eksperta, chociaż, jak w każdym zawodzie, tutaj też są osoby uczciwe i nieuczciwe. Myślę, że uczciwy lekarz, rozmawiając z pacjentem, wskazuje nie tylko na zalety, ale także na ograniczenia danego leczenia. Nie powie: „To jest genialny lek, który na pewno u pana zadziała", jednocześnie deprecjonując inne jako przestarzałe. Wiarygodny ekspert nie obiecuje złotych gór. ▲

23 lutego obchodzony jest Światowy Dzień Walki z Depresją

OGŁOSZENIE

MIASTO jutra

REPORTERSKA PODRÓŻ PRZEZ MIASTA,
które w centrum stawiają człowieka
i jego codzienne potrzeby

Odwiedzamy m.in.:

BILBAO
Tu ruchome schody łączą dzielnice położone na różnych wysokościach.

BERNO
Tu mieszkańcy pakują ubrania do szczelnych toreb, wskakują z nimi do wody i spływają z nurtem rzeki Aare.

SINGAPUR
Królestwo samochodów, którym towarzyszy najlepiej zorganizowany transport publiczny na świecie.

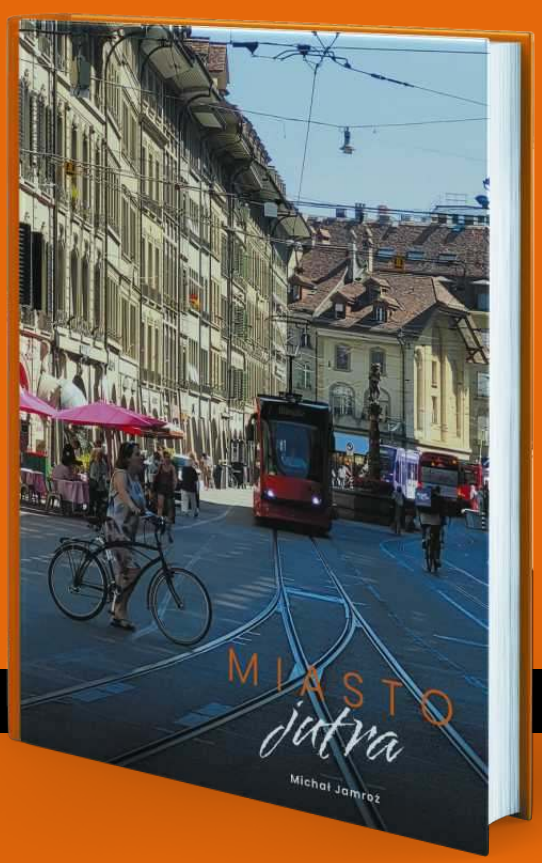

Książka do nabycia: KULTURALNY SKLEP.PL w dobrych księgarniach oraz ebook na publio.pl

WYDAWCA Gazeta Wyborcza

PARTNER Gdańsk Lech Wałęsa Airport · ACG Airport City Gdańsk

eprasa.pl 7b63c07719

W SPRZEDAŻY

wysokie obcasy extra

TEMAT NUMERU: KULTURA WSTYDU.
SKĄD SIĘ BIERZE TEN KOBIECY BRAK AKCEPTACJI?
CZYJ TO GŁOS TAK NAPRAWDĘ?

JOANNA BRODZIK: Nie boję się odsłonić
i pokazać swojego miękkiego brzucha

PSCYHOLOGIA: Karanie ciszą, Obrażanie się jest
zgubną strategią. Obniża satysfakcję z relacji
i może prowadzić do jej rozpadu

Numer dostępny z prezentem:
skarpetkami złuszczającymi Silcatil
lub maseczką w płacie SKU FaceBoom – SUPERSTAR

eprasa.pl 7b63c07719